

**15 SIERPNIA GŁÓD KULTURY | BOHATERKI Z DPS | ROK 1920: BEZ CUDÓW
NASZ ROWEROWY RAJ | CZEMU LUBIMY BŁĘKIT | KOŃSKA DAWKA MIŁOŚCI
TRZASKA: JAK DOBRZE BYĆ NIKIM | 104 STRONY NA ŚRODEK LATA**

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 16 sierpnia 2020 nr 33 (3710)

cena 10 zł (w tym 8% VAT)

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Matka Mocna

**Wolność,
natura, ciało,
Wniebowzięcie**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480000



xABO KSIĄDZ BONIECKI

xABO

W KINACH

SCENARIUSZ I REŻYSERIA ALEKSANDRA POTOCZEK
 PRODUCENT ALEKSANDER KARDYS PRODUCENT WYKONAWCZY AGNIESZKA ISKRA
 ZDJĘCIA ADAM PALENTA, SZYMON SINOFF KIEROWNICTWO PRODUKCYJNE LIDIA BARANKIEWICZ
 MONTAŻ MARCIN SUCHARSKI DZWIĘK TOMASZ KOCHAN MUZYKA HANIA RANI

PRODUKCJA:
 FUNDACJA
 TYGODNIA
 POWSZECHNEGO



PATRONI MEDIALNI:



KS. ADAM

Boniecki: Matka Boska

JESTEŚMY MARYJNI. POŚWIADCZA TO SAM wieszcz w III części „Dziadów”. Jest Wigilia Bożego Narodzenia, grupa więźniów w celi Konrada. Jankowski, nieco podпиты, śpiewa piosenkę zakończoną bluźnierczym refrenem: „Nie uwierz, że nam sprzyja / Jezus Maryja”. Wtedy Konrad się budzi z odrętwienia i wypowiada słowa, które potem będą przypomniane przez niezliczonych kaznodziejów i zapiszą się w narodowej pamięci: „Słuchaj, ty! – tych mnie imion przy kielichach wara. / Dawno nie wiem, gdzie moja podziła się wiara, / Nie mieszam się do wszystkich świętych z litanii. / Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi”.

Jesteśmy maryjni. Nawet dziś, w dobie laicyzacji, na Jasną Górę i do innych sanktuariów Matki Boskiej w jej święta i poza świętami wędrują tysiące ludzi starych i młodych. No i nadal „nie dozwalamy bluźnić imienia Maryi”. Dlatego się oburzamy na tęczową aureolę domalowaną Częstochowskiej. Chociaż... Niedawno osoba mądra, wierząca, religijna i nie LGBT powiedziała mi, że dla niej ta aureola bluźnierstwem nie jest. „Według mnie – powiedziała – to znak, że i dla tych od tęczy Matka Boska jest matką. Tęczowa aureola jest jak przytulenie się do matki. A matka, jak to matka, najczulej kocha dziecko przez innych nie lubiane”. Pewnie to właśnie tak drażniło przeciwników tęczowej aureoli: kocha jak matka ICH? I to kto? Matka Boska!

Teraz, czytając w tym numerze „Tygodnika” znakomitą rozmowę Zuzanny Radzik z teologką prof. Tiną Beattie, myślę o naszej polskiej maryjności. Ciekawe – myślę sobie – co z przemyśleń brytyjskiej teolożki znajdzie oddźwięk w polskiej, maryjnej duszy. A ponieważ, jak mawiali starożytni: *lex orandi – lex credendi* (treści wiary wyrażają się w tekstach modlitw), zagłębiłem się w lekturę polskich pieśni maryjnych, żeby tam odnaleźć obraz Matki Boskiej naszej polskiej wiary.

Więc jaka jest? „Cicha i piękna jak wiosna”, „śliczna bez zmaryz lilija”, „Panienka święta”, „wdzięczna Estera”. Jak żyła?



„Prosto, zwyczajnie jak my”. „Boga na świat nam przyniosła”. Jest „Matką, która wszystko rozumie, sercem ogarnia każdego”, umie w nas zobaczyć dobro i jest z nami „w każdy czas”. Co robi? Bierze w swą opiekę „nasz Kościół Święty”; Ojca Świętego (Franciszka) „od nieprzyjaciół zasadzki chroni”, troszczy się o zbawienie „całego naszego kraju” (Polski) i „ludu wiernego”.

Mało tego. Ponieważ zasłużyliśmy na gniew Boży, to „kiedy Ojciec rozgniewany siecze, / Szczęśliwy, kto się do Matki uciecze”. Owszem, ten tekst, kojarzący się z przemocą w patologicznej rodzinie, zastąpiono innym: „Dla Twego Syna wszystko Bóg uczyni, / Daruje plagi, choć człowiek zawini (...) // Ratuj nas, ratuj, Matko ukochana, / Zagniewanego gdy zobaczysz Pana” – czyli wychodzi na to samo.

Jeśli chodzi o Polskę, to „od Bałtyku po gór szczyty” kwitnie chwała Maryi i kraj nasz jest „Jej płaszczem okryty”. „W Częstochowie tron swój wzniosła / Wielka, można i wyniosła”, choć jednocześnie „najczulsza z matek [na całej] ziemi”. Niestety, „nasza” Maryja, mimo uszczęśliwiającej wizji, wciąż okrutnie „cierpi razem z dziećmi swymi”.

A my? „Panience swej [śpiewamy] piosenkę na dobranoc (...) w ostatnią chwilę dnia”. Ale też „z otwartą stajemy przyłbicą, i serca [Jej] niesiem i krew”, żeby „siać miłość (...) wśród burzy i słoń”. Teologowie utrzymują, że autentyczny kult maryjny powinien posiadać cztery elementy: cześć – ponieważ jest Ona Matką Bożą; miłość – bo jest także naszą Matką; przyzywanie i prośbę – ponieważ Jej wstawiennictwo jest skuteczne, oraz naśladowanie – gdyż jako święta jest wzorem Kościoła. Teologowie zaś i głosiciele słowa Bożego winni w rozwijaniu nauki o Matce Chrystusa unikać dwóch skrajności: strzec się „wszelkiej fałszywej przesady” i unikać „nadmiernej ciasnoty umysłu”.

Tu mogłem zacytować zaledwie kilka naszych maryjnych pieśni. Poczytajcie i się zastanówcie, jaka jest nasza polska Matka Boska.

© P

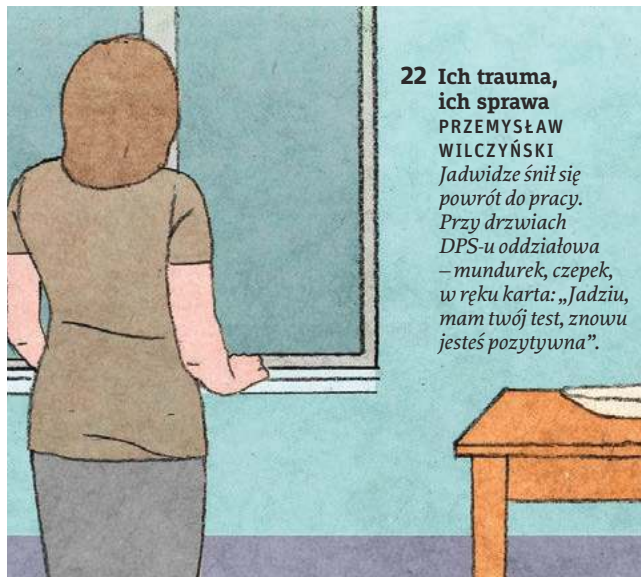
Weź, czytaj online!

Zamów prenumeratę cyfrową i zobacz, **jak wygodnie** jest mieć nieograniczony dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl

- w każdą środę – do bieżącego wydania
- do ponad 60 tys. tekstów archiwalnych, dodatków i podkastów

Wybierz idealny dla siebie czas dostępu –
na 1, 3 lub 12 miesięcy na powszech.net/cyfra
i czytaj „Tygodnik” bez ograniczeń!

TYGODNIK
POWSZECHNY



**22 Ich trauma,
ich sprawa**
PRZEMYSŁAW
WILCZYŃSKI
*Jadwidze śnił się
powrót do pracy.
Przy drzwiach
DPS-u oddziałowa
– mundurek, czepek,
w ręku karta: „Jadziu,
mam twój test, znowu
jesteś pozytywna”.*

44 Kwiaty będą też w niebie

ROZMOWA
Z TINĄ BEATTIE,
TEOLOŻKĄ:
*Dziewictwo Maryi
postrzegam jako zerwanie
władzy patriarchalnego
świata nad kobiecym ciałem.
Ale nie z seksem,
jako czynnością
wyrażającą miłość.*



90 Detoks

ROZMOWA
Z MIKOŁAJEM
TRZASKĄ,
MUZYKIEM:
*Kimkolwiek jesteś,
musisz wiedzieć,
kim jesteś i kto był
twoim przodkiem.*



76 Wszyscy lubią niebieski

KASPER KALINOWSKI
*To, co żywe, przykuwa uwagę i zachwyca. Ale właściwie
dlaczego?*



**102 Krótki tekst
o miłości**
DOROTA KOZIŃSKA
*Myślałam: może
lepiej poczekać
i kupić ułożonego
konia z zaufanej
hodowli? Miękkam
stopniowo.*

DODATEK HISTORYCZNY

**65 1920. Bitwa
warszawska**
*O cudzie nad Wisłą
piszą
TADEUSZ A.
OLSZAŃSKI,
KRZYSZTOF
PIĘCIAK,
KAROLINA
PUCHAŁA-ROJEK
I ANDRZEJ
CHWAŁBA*



INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate. WYDAWCA

6 Białoruski zryw
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Ich trauma, ich sprawa
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

27 Jak przekonać większość
ROZMOWA
Z KATARZYNĄ JAŚKO:
Trudno znaleźć właściwą metodę protestowania

30 Kraj w sakwach
KRZYSZTOF STORY:
Długodystansowe trasy rowerowe liczymy już w Polsce w tysiącach kilometrów

■ ■ **WIARA**

34 Przykład idzie z Anglii
ARTUR SPORNIĄK:
Czego można nauczyć się od Kościołów, w których współrządzą świeccy

38 Misja za wszelką cenę
MARTA ZDZIEBORSKA Z USA:
W walce o obronę życia ks. Pavone sprzymierzy się nawet z Trumpem

40 Czy Bóg jest mściwy
JÓZEF MAJEWSKI:
Pandemia to nie kara boska

■ ■ **MATKA MOCNA**

44 Kwiaty będą też w niebie
ROZMOWA Z TINĄ BEATTIE

48 Lokatorka
MARIUSZ SEPIOŁO:
Odrapane piękno warszawskich kapliczek

TEMAT TYGODNIKA



KRZYSZTOF BIELIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

12 Komu to służy

DARIUSZ KOŚCIŃSKI:

Znów trzeba stawiać podstawowe pytania o kulturę. Nie chodzi tylko o ministerstwo i jego politykę, ale o nas, o nasze potrzeby, pragnienia i możliwości. O nasze życie.

16 Spoidło wielkie

ROZMOWA Z PAWEŁEM POTOROCZNYM, DYPLOMATĄ I MENADŻEREM KULTURY

Twórcy czują się jak pszczoły, które muszą tłumaczyć niedźwiedziom, że nie mogą być rozliczane tylko z ilości wyprodukowanego miodu. Że znacznie ważniejsze jest zapyłanie.

■ ■ **W NUMERZE DODATKI** ■ ■

65 1920. BITWA WARSZAWSKA

81 WŁÓCZYKI I POWSINOGA

■ ■ **FELIETONY** ■ ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER 80 ANDRZEJ STASIUK

101 PAWEŁ BRAVO

106 STANISŁAW MANCIEWICZ

106 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: MIRIAM WARBURG
FOT. Hadas Parush / Flash90 / Forum
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ ■ **ŚWIAT**

52 Lato na Wyspach
PATRYCJA BUKALSKA
Z LONDYNU: *Mimo brexitu i pandemii, Brytyjczycy cieszą się wakacjami*

56 Trzy oblicza kryzysu
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z IZRAELA:
Złota klatka premiera Netanjahu trzęsie się coraz bardziej

59 Krymskie dzieciństwo
MONIKA ANDRUSZEWSKA
Z KIJOWA:
Mimo rosyjskich represji Tatarzy zachowują godność

■ ■ **NAUKA**

76 Wszyscy lubią niebieski
KASPER KALINOWSKI

78 Mistrz osobowości
EDWARD NECKA:
Pożegnanie prof. Jana Strelaua

■ ■ **KULTURA**

90 Detoks
ROZMOWA Z MUZYKIEM
MIKOŁAJEM TRZASKĄ

95 Genialny błąd
MACIEJ TOPOLSKI:
Co kryje archiwum jednego z najśłynniejszych polskich fotografików

98 Freud w fezie
ANITA PIOTROWSKA
o „Arab Blues” Manele Labidi

100 Skandal sprzed lat
LEKTOR o książce
Wojciecha Szota
„Panna doktor Sadowska”

■ ■ **ZMYŚŁ**

102 Krótki tekst o miłości
DOROTA KOZIŃSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata**

Ulicnej rewolucji w Mali boją się nie tylko władze w Bamako – o rosnących wpływach imama z Timbaktu – pisze WOJCIECH JAGIELSKI powszech.net/strona-swiate

➔ **17 mgnień Rosji**

Procesy, aresztowania, marsze sprzeciwu – przegląd najnowszych wydarzeń z Rosji przedstawia na swoim blogu ANNA ŁABUSZEWSKA powszech.net/17mgnien



WOŚ SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

BIAŁORUSKI ZRYW

Sfałszowanie wyborów doprowadziło do największych w historii niepodległej Białorusi protestów. Do ich pacyfikacji reżim angażuje milicję i wojsko.

WOJCIECH KONOŃCZUK

WPRZEDEDNIU BIAŁORUSKICH WYBORÓW prezydenckich wszystko wskazywało na to, że antyreżimowa opozycja, której twarzą stała się była nauczycielka Swiatłana Cichanouska, jest silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Masowy udział Białorusinów w wiecach opozycji w całym kraju pokazywał, że poparcie dla rządzącego od 26 lat Alaksandra Łukaszenki jest rekordowo niskie. Jednak władze demonstracyjnie ignorowały tę nową rzeczywistość, intensywnie przygotowując się do wyborów. Zadbały m.in. o to, aby nie zaprosić obserwatorów międzynarodowych i zminimalizować liczbę dziennikarzy zagranicznych, nie wydając akredytacji.

W dniu głosowania białoruski prezydent prezentował pewność siebie, stwierdzając, że nie uważa „tej biedulki” za swego główne-

go konkurenta. Po zamknięciu lokali wyborczych rządowy *exit poll* pokazał, że rzekomo poparło go 80 proc. głosujących. Po kilkunastu godzinach wynik ten potwierdziła Centralna Komisja Wyborcza. Tymczasem niezależny sondaż – i przede wszystkim protokoły z części komisji, które wyciekły do niezależnych mediów – pokazują coś dokładnie przeciwnego. Cichanouska wygrała – i to najprawdopodobniej w pierwszej turze.

Już w niedzielę wieczorem na ulicę Mińska i innych miast wyszły tysiące ludzi, protestujących przeciwko fałszerstwu. W samej stolicy demonstrowało kilkadziesiąt tysięcy osób, choć władze od kilku dni ściągały tam oddziały wojskowe. Duża część społeczeństwa nie dała się jednak zastraszyć. Protesty wybuchły od Pińska przez Słonim po Homel. Nigdy niczego podob-

*Mężczyzna
protestujący
przeciwko wynikom
wyborów.
Mińsk,
9 sierpnia 2020 r.*

nego na Białorusi nie obserwowano. Stało się jasne, że Białorusini będą walczyć w obronie prawa do głosu i godności.

W noc powyborczą świat obiegły zdjęcia milicjantów bijących demonstrantów. Kilkadziesiąt osób zostało rannych, jedna zginęła pod kołami wojskowej ciężarówki. Tylko w pierwszych godzinach do aresztów trafiło kilka tysięcy osób. Władze zablokowały internet, a także dostęp do opozycyjnych mediów. Na taką skalę jest to operacja niemająca analogii w Europie, włączając putinowską Rosję. Sytuacja przypomina nieogłoszony stan wojenny.

Wynik starcia między białoruskim społeczeństwem a dyktatorskim reżimem nie jest przesądzony. Z jednej strony widać, że Białorusini obudzili się z długiego snu i są zdeterminowani, by walczyć o swoje prawa. Ten zryw jest spontaniczny, a przez to autentyczny, ale jego efektywność będzie osłabiać brak koordynacji ze strony silnego przywództwa politycznego. Z drugiej jednak strony reżim nie zamierza się poddać – co sugeruje, że w kolejnych dniach represje będą się nasilać.

Nie ma wątpliwości, że Łukaszenka ostatecznie utracił legitymizację do sprawowania władzy. Kluczowe pytanie, na ile Białorusinom wystarczy determinacji i siły, aby kontynuować protesty. Jeśli okaże się – co jest bardzo prawdopodobne – że nie będą one wygasać, lecz narastać, wtedy pojawi się kolejne ważne pytanie: o postawę organów siłowych i nomenklatury. Analogie do ukraińskiego Majdanu wydają się na razie bezzasadne – przede wszystkim dlatego, że każdy taki ruch społeczny ma własną specyfikę.

Sytuacji bacznie przygląda się też Rosja, która zawsze wspierała Łukaszenkę. Jeżeli w starciu ze społeczeństwem silniejszy okaże się reżim, skutkiem tego będzie dalszy wzrost zależności Białorusi od Rosji oraz kryzys w – i tak kruchych – relacjach z Zachodem.

Nie zmieni to faktu, że Białorusini piszą nowy rozdział swojej historii. Będzie to mieć długoterminowe skutki – także dla wzrostu ich świadomości narodowej i przekonania o własnej podmiotowości. ©

Tekst ukończono 10 sierpnia w południe.

Liban: dzień wściekłości

WYBUCH W BEJRUCKIM porcie to wynik wieloletnich zaniedbań skorumpowanej elity politycznej kraju. Dla Libańczyków – powód, by wznowić osłabioną epidemią rewolucję.

We wtorek, 4 sierpnia, stolicą Libanu wstrząsnęła potężna eksplozja w głównym porcie kraju, która zrujnowała zabudowania w promieniu paru kilometrów. Zginęło co najmniej 158 osób, 6 tys. zostało rannych, a 300 tys. zostało bez dachu nad głową. Burmistrz Marwan Abboud ocenia, że straty materialne mogą sięgać 15 miliardów dolarów.

Bejrut po raz kolejny padł ofiarą zaniedbań i niedziałających instytucji państwa. Eksplozować miał magazyn z azotanem amonu – substancją używaną przy produkcji nawozów i materiałów wybuchowych, która w Libanie jest nielegalna. Skonfiskowano ją w 2013 r. na statku płynącym pod banderą Mołdawii do Mozambiku. Władze Libanu były wielokrotnie informowane, że 2750 ton niebezpiecznej substancji leży zmagazynowane w bejruckim porcie.

Teraz ulice stolicy pokryły tony szkła i gruzu. Bejrutczycy szybko ruszyli do oczyszczania miasta. Choć władze ogłosiły stan wyjątkowy i obiecały pomoc, to sami mieszkańcy ratowali miasto. A potem, w sobotę 8 sierpnia, trzymając w rękach miotły i łopaty, którymi odgruzowywali ulice, ruszyli na centralny plac Męczenników, gdzie od października zeszłego roku protestują przeciw korupcji władz i niewydolnemu systemowi politycznemu.

Demonstracje szybko przerodziły się w starcia z policją. Uczestniczyło w nich do 10 tys. osób, a służby odpowiadały gazem łzawiącym i gumowymi pociskami. 728 osób zostało rannych, zmarł jeden policjant. Wie-



AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

czorem grupa protestujących pod przywództwem emerytowanych generałów zajęła budynki kilku ministerstw, ale po paru godzinach policja usunęła protestujących siłą.

Eksplozja w bejruckim porcie zbiegła się w czasie z najgorszym od lat kryzysem gospodarczym i *de facto* bankructwem państwa, a także z nasilającym się kryzysem zdrowia publicznego spowodowanym pandemią. Nawet 60 proc. Libańczyków żyje poniżej granicy ubóstwa.

W wyniku nasilającego się kryzysu dewięciu parlamentarzystów i dwóch ministrów złożyło rezygnację, a w sobotę premier Hassan Diab zapowiedział rozpisanie wyborów. W niedzielę, podczas internetowej konferencji zainicjowanej przez ONZ i Francję, społeczność międzynarodowa zobowiązała się do udzielenia Libanowi pomocy w wysokości prawie 300 milionów dolarów. Jej wydatkowaniem nie zajmie się jednak libański rząd, lecz ONZ i organizacje pomocowe.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA
z Bejrutu

Saudowie: książę znów oskarżony

KSIAŻĘ MOHAMMED BIN SALMAN, następca tronu Arabii Saudyjskiej i *de facto* jej władca, jest dziś ponownie oskarżony o zlecenie zabójstwa. Tym razem przez byłego wysokiego rangą oficera saudyjskich tajnych służb.

Mieszkający obecnie w Kanadzie Saad al-Jabri, przez lata oficer łącznikowy Rijadu z wywiadami państw zachodnich, złożył w sądzie w Nowym Jorku pozew, w którym twierdzi, że w 2018 r. książę wysłał za nim agentów, którzy mieli go zabić. Miało się to stać dwa tygodnie po zabójstwie w saudyjskim konsulacie w Stambule

dziennikarza Jamala Khashoggię. Jednak służby na lotnisku w Toronto nabrały podejrzeń i nie wpuściły członków grupy do Kanady.

Trzy lata wcześniej Al-Jabri, został zwolniony z pełnionej funkcji, a w 2017 r. opuścił Arabię Saudyjską. Od tego czasu książę Mohammed próbuje go ściągnąć do kraju: a to wystawiając międzynarodowy list gończy (uchylony przez Interpol jako motywowany politycznie), a to aresztując jego brata i dwójkę dorosłych dzieci. Sprawa jednak nie jest czarno-biała: prasa amerykańska pisze o domniemanej korupcji Al-Jabriego i przypomina, że podobne oskarżenia bywają u Saudów elementem walki o wpływ w ich zmieniającym się szybko państwie. © P ZYM



PIOTR MOLECKI / EAST NEWS.

Ostatni dzwonek

PRZED IŚCIE DIABELSKĄ ALTERNATYWĄ stoją politycy decydujący o otwarciu szkół. Z punktu widzenia czyisto epidemiologicznego – najlepiej, gdybyśmy siedzieli w domach aż do upowszechnienia szczepionki. Z drugiej strony dla rodziców praca z domu sama z siebie generuje wiele problemów. W połączeniu z koniecznością opieki nad dziećmi i problemami z dostępnością sprzętu do zajęć zdalnych – wywołuje zrozumiałe oczekiwanie, że we wrześniu szkoły ruszą starym rytmem.

Konferencja ministra edukacji Dariusza Piontowskiego wpisała się w przedwyborczą myśl premiera, że wirus jest w odwrocie. Uczniowie wrócą do szkół, nie będzie obowiązku noszenia maseczek. Sale mają być często wietrzone, a uczniowie nie będą mogli dzielić się przyborami. Nie będzie zmniejszania liczby ławek czy – jak choćby we Włoszech – piłowania ławek na pół.

Wielu nauczycieli to osoby starsze, z chorobami kardiologicznymi czy cukrzycą; w ich przypadku zakażenie wiąże się z ryzykiem śmierci. Tacy pedagodzy czują się wypuszczeni na pierwszą linię bez uzbrojenia. W czasie, kiedy za brak maseczki w sklepie można zapłacić karę, kiedy konferencje dyrektorów z kuratorami odbywają się przez internet, oni mają być codziennie przez wiele godzin ekspozowani na koronawirusa. Dlaczego nie wprowadzić obowiązku zasłaniania twarzy przynajmniej podczas przerw?

Dyrektorzy są w nie lepszym położeniu. Rząd zrzuca na nich odpowiedzialność za decyzje o trybie prowadzenia lekcji, ale nie daje do rąk żadnych wytycznych opartych na statystykach epidemicznych. Rozporządzenie o oznaczaniu najbardziej zainfekowanych powiatów na żółto i czerwono wprowadza ostrzeżenia dotyczące organizacji weseł, konferencji czy transportu, ale nie nauki szkolnej. Dyrektorom, według ministra, powinna wystarczyć konsultacja z szefem lokalnego sanepidu. O zapowiedziach Piontowskiego dotyczących „sytuacji wyjątkowych” będzie można powiedzieć cokolwiek dopiero po ich przełożeniu na język rozporządzeń.

© P MACIEJ MÜLLER

KRAJ W SKRÓCIE

PREZYDENT

Andrzej Duda rozpoczął drugą kadencję. Podczas uroczystości zaprzysiężenia przed Zgromadzeniem Narodowym stroje postanek lewicy układały się w tęczową flagę, wielu przedstawicieli opozycji trzymało w rękach konstytucję, a wielu po prostu nie przyszło. Sam zaprzysiężony deklarował, że chce być prezydentem polskich spraw, a demokracja w Polsce jest silniejsza niż kiedykolwiek.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

PILOT

W Polsce nie zmienił się nie tylko prezydent, ale także bezpieczeństwo jego podróży: TVN24 ustalił, że podczas niedawnego lotu z Zielonej Góry załogę prezydenckiego samolotu tworzyła kapitan z dwuletnim stażem i bez aktualnych uprawnień (towarzyszył jej instruktor), a start odbył się mimo informacji o zakończonej służbie kontrolera lotów.

PREZES

Nie zmieniło się również medialne zaplecze głowy państwa: prezesem TVP został ponownie Jacek Kurski.

PODRÓŻNIK

Niezmiennie zaradny jest też inny polityk tego obozu, Ryszard Czarnecki. Europejscy śledczy kwestionują kwotę 100 tys. euro, które Parlament Europejski zwrócił mu za podróże. Z rozliczeń europościa wynika, że spędzał w Brukseli kwadrans dziennie, a podróżował m.in. zezłomowanym już fiatem punto.

Pracowite wakacje Ziobry

OD WYBORÓW PREZYDENCKICH minister sprawiedliwości próbuje wymusić na PiS zaostrenie kursu. Wszystko po to, aby pozbyć się premiera.

Policja zatrzymała w Warszawie osobę, na której ciąży kilka zarzutów w związku z atakiem na działacza Fundacji Pro-Prawo do Życia oraz zniszczeniem furgonetki z hasłami zrównującymi homoseksualizm z pedofilią. W piątek 7 sierpnia, podczas brutalnej interwencji, policja zatrzymała również niemal 50 innych osób, które nie chciały pozwolić na aresztowanie aktywistki. Tak, aresztowanie – na dwa miesiące. Prokuratura przekonała sąd, że osoba ta będzie mataczyć. Tyle że prokuratura ma nagranie z ataku na działacza konserwatywnej fundacji i na jej furgonetkę, a zatem mataczenie nie jest możliwe.

Dlaczego więc Ziobro zdecydował się na demonstrację siły? Bo potrzebował tego do swych politycznych intryg. Nie trzeba być jasnowidzem, by przewidzieć, że decyzja o aresztach doprowadzi do starć z osobami popierającymi postulaty środowiska LGBT. Od wyborów prezydenckich Ziobro realizuje plan obliczony na radykalizację swych postulatów wewnątrz koalicji rządowej. Zwrot w prawo miałby wzmocnić go i umożliwić mu pozbycie się premiera Morawieckiego, z którym toczy wojnę o panowanie na prawicy po odejściu prezesa Kaczyńskiego na polityczną emeryturę.

Ziobro ma już na koncie całą serię żądań. W minionym tygodniu pojawiło się kolejne. Resort sprawiedliwości przedstawił projekt rejestru organizacji pozarządowych, które dostają pieniądze z zagranicy. To sugestia, iż NGO-sy ukrywają zagraniczne granty, a może wręcz przeznaczają pieniądze z tych źródeł na uprawianie działalności politycznej. A przecież każda organizacja pozarządowa składa sprawozdanie do sądu lub do odpowiedniego ministerstwa, a zatem państwo ma instrumenty weryfikacji jej finansów. W dodatku kontrola wygląda wizerunkowo nie najlepiej, bo podobne przepisy wprowadzili u siebie Putin i Orbán.

Dlatego też PiS szybko – ustami wicepremiera Piotra Glińskiego – zdystansował się od pomysłów Ziobry. Ale na pewno minister w najbliższych dniach nie pozwoli tak łatwo o sobie zapomnieć.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”

Prawo i empatia

WIELE OKOLICZNOŚCI sprawy aresztowania aktywistki Margot każe się obawiać, że prokuratura nadużyła wniosku o areszt tymczasowy jako środka represji, co zdarza się w Polsce nagminnie także w sprawach neutralnych obyczajowo. Policja zachowywała się tak, by zatrzymanie przeprowadzić spektakularnie i wzbudzić łatwą do przewidzenia gniewną reakcję aktywistów. Co z kolei było wygodnym pretekstem, by zastosować – na użytek rządowych mediów i na postrach – przemoc nieadekwatną do stopnia zagrożenia porządku publicznego.

Żadna partyjna rozgrywka nie może być racją dla bezsensownego pokazu siły, który podkopuje autorytet państwa. W ślad za erozją autorytetu idzie też uzasadniona nieufność, której przejawem jest np. oskarżanie aparatu państwa o okrucieństwo wynikające z lekceważenia tego, z którą płcią utożsamia się aresztowana osoba.

Warto jednak zwrócić uwagę, że władza działa w granicach prawa (art. 7 konstytucji), prawo mamy zaś takie, że nie przewiduje autodefinicji płci i osoba, którą przy urodzeniu,



ADAM STĘPIEN / AGENCJA GAZETA

z racji fenotypu, zarejestrowano jako mężczyzną, musi być przez organa państwa traktowana jako mężczyzna aż do sądowego potwierdzenia zmiany płci.

Wierność literze prawa nie oznacza jednak, że nie należy oczekiwać wyjścia przez państwo naprzeciw potrzebom osoby niebinarnej w przeważająco binarnym środowisku. A od instytucji i środowisk, których nie wiążą prawne przepisy – np. mediów – należy oczekiwać już pełni empatii i uszanowania cudzych odczuć. Zadaniem mediów jest relacjonowanie faktów. W całej tej sprawie wyjątkowo istotnym faktem jest kobieca tożsamość zatrzymanej osoby, a nie jej męski fenotyp czy wpis w akcie urodzenia.

© P PAWEŁ BRAVO

Pandemia netto i brutto

ORGANIZACJE PRZEDSIĘBIORCÓW nie ustają w straszeniu opinii publicznej katastrofą ekonomiczną, jaka spadnie na Polskę wskutek pandemii. Właśnie trwa kolejny akt tego spektaklu – tym razem po ogłoszeniu przez rząd wstępnej stawki przyszłorocznej płacy minimalnej.

Wysokość płacy minimalnej przekłada się nie tylko na pensje milionów najsłabiej wynagradzanych pracowników, ale też obciążenie składkami na ZUS ludzi prowadzących działalność gospodarczą. Kiedy więc rząd zaproponował w ramach konsultacji społecznych, że pensja minimalna od stycznia wzrośnie z 2,6 do 2,8 tys. zł brutto (o 200 zł mniej, niż planowano na początku roku), ze strony lobbystów organizacji biznesowych popłynęły ostrzeżenia przed

falą kilkunastoprocentowego bezrobocia, jaką wzbudzi decyzja rządu. Przedsiębiorcy domagają się utrzymania stawki na tegorocznym poziomie, w ostateczności – podwyżki o tzw. mechanizm ustawy do 2716 zł brutto.

Tymczasem bezrobocie maleje. W lipcu – jak wynika z pierwszych szacunków Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej – po raz pierwszy od początku epidemii COVID-19 zatrzymało się na identycznym poziomie, co w poprzednim miesiącu (6,1 proc.). Nie daje to oczywiście gwarancji, że polska gospodarka najgorsze ma już za sobą – zwłaszcza w obliczu jesiennej zaostrożenia sytuacji epidemicznej. Ale nie uzasadnia też kasandrycznych wizji świata biznesu, który na progu epidemii szacował, że jeszcze przed wakacjami bezrobocie w Polsce przekroczy 10 proc.

© P MAREK RABII

Jubileusz w brunatnym cieniu



MONIKA OCHĘDOWSKA

WĘGIESKI ZESPÓŁ HUNGARICA MIAŁ BYĆ gwiazdą obchodów stulecia Bitwy Warszawskiej organizowanych przez stołeczne CSW Zamek Ujazdowski. Węgierscy muzycy, znani polskiej publiczności głównie z protestów towarzyszących wzmiankom o ich odwiedzinach nad Wisłą, nie zagrają jednak koncertu w Warszawie, bo dyrekcja CSW w ostatniej chwili rozwiązała z nimi współpracę. Powodem tej decyzji była – jak twierdzi szef centrum Piotr Bernatowicz – zmiana składu zespołu, do którego w tym roku dołączył „kontrowersyjny” wokalista Sziva Balázs, znany z posługiwania się nazistowską symboliką. Zespół gości także na wiecach skrajnie nacjonalistycznej partii Jobbik, z którą dzieli kult strzało-krzyżowców.

Na liście artystów mających uświetnić pamięć o zwycięstwie z 1920 r. figuruje jednak nadal „ambasador polskiej kultury” – grająca „patrio rocka” grupa Contra Mundum, posiadająca w repertuarze wyjątkowo aktualny kawałek o „tęczowych ścieżkach”. Czeką nas „dużo mocnej muzyki i dobra zabawa” – obiecują organizatorzy. Najwyraźniej odbędzie się ona czymś kosztem. © P

Męczące lato

„CICHOOO! Ma być cisza!!! Czy nie wyraziłam się jasno?!”.

Dzieci musiały zdrętwieć, bo zanikł nie tylko ich gwar, ale nawet brzdęk sztućców. Głos opiekunki kolonii jest donośny – wydaje się jakby to on, nie wiatr, ruszał firankami w uchylonych oknach stolówki. Taśma, która oddziela ją od tarasu, to znak: podczas epidemii wakacje odbywają się pod specjalnym nadzorem.

W tych dniach, kiedy bijemy rekordy liczby nowych zachorowań, przepełnione plaże Władysława stają się symbolem naszego lekkoduchostwa. Z danych uzyskanych na podstawie analizy lokalizacji telefonów komórkowych wynika, że na urlop chętniej wybieramy bliskie regiony. Ale w kolejkach po lody i na korytarzach domów wczasowych kontakt jest nie do uniknięcia.

I tutaj, w jednej z wsi Beskidu Niskiego, izolacja nie jest możliwa. Para motocyklistów zatrzymała się właśnie przy pierwszej od granicy restauracji. Odczepiają taśmę, wchodzi do środka, dzieci z kolonii znów na moment milkną.

Pić im się chce.

© P ŻYM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ZASADY

Franciszek rozpoczął cykl katechez pt. „Uleczyc świat” poświęcony problemom społecznym. „Kościoł wypracował podstawowe zasady społeczne, które mogą nam pomóc przygotować przyszłość – podkreślił. – To zasady godności osoby, dobra wspólnego, preferencyjnej opcji na rzecz ubogich, powszechnego przeznaczenia dóbr, solidarności, pomocniczości, troski o nasz wspólny dom”.

BEZ BOGA?

W dokumencie „Humana Communitas” na temat kryzysu pandemii nie ma odniesień do Boga – zarzucił Papieskiej Akademii Życia włoski filozof Stefano Fontana. Według niego przedstawione propozycje nie różnią się od rozwiązań, jakie mogłaby przedstawić dowolna agencja społeczna. Akademia tłumaczy, że tekst był zredagowany w sposób, „który przemawia do jak najszerszej publiczności, do wierzących i niewierzących”.

SKRYPTORIUM

Rejin Valson, pracownik lotniska w Koczinie na pd. Indii, wykorzystał 113 dni przymusowego zamknięcia w domu z powodu pandemii na ręczne przepisanie całej Biblii. Zużył 2755 kart formatu A4 i 32 pióra. Jak powiedział, pracę zadedykował „dziecku, które jego żona nosi w swym łonie”. Oprawiony w skórę tom skryba ofiarował syromalabarskiemu kościołowi św. Antoniego w Ptn. Karammukku.



AGNIESZKA

PIKULICKA-WILCZEWSKA

opowie o pracy przymusowej na polach bawełny (reportaż z Uzbekistanu na s. 62)
Agnieszka Lichnerowicz
w „Światopodglądzie Radia Tok FM”, w środę 12 sierpnia o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Dwadzieścia lat bezduszności

ARTUR SPORNIAK



BYŁY PROBOSZCZ PARAFII W TYLAWIE KS. MICHAŁ M. otrzymał od Watykanu zakaz publicznego sprawowania mszy. Szesnaście lat temu duchowny został skazany na dwa lata więzienia w zawieszeniu na pięć lat za molestowanie seksualne sześciu dziewczynek. Była to pierwsza głośna sprawa o pedofilię w polskim Kościele. A jednocześnie „kliniczny”, typowy przypadek księdza-pedofila, który wykorzystywał swoją pozycję, dobierając ofiary z rodzin w trudnej sytuacji życiowej – oraz patologicznych mechanizmów, które uruchomiono w obronie samego księdza i kościelnych instytucji.

Sprawę molestowania dziewczynek w Tylawie nagłośniła „Gazeta Wyborcza” już w 2001 r. Ówczesny metropolita przemyski abp Józef Michalik szybko stanął po stronie proboszcza, oskarżając obrońców dziewczynki o niszczenie autorytetu Kościoła. I nigdy się z tej postawy nie wycofał (nawet gdy zapadł wyrok skazujący). Zaprzyjaźniony z metropolitą prokurator rejonowy w Krośnie, późniejszy poseł PiS Stanisław Piotrowicz, umorzył pierwsze śledztwo.

Dopiero po interwencji mediów sprawa znalazła finał w sądzie.

Ksiądz Michał M. przestał być proboszczem, ale nadal cieszył się poważaniem w strukturach kościelnych. W maju 2019 r. program „Czarno na białym” TVN24 pokazał szczegóły z kościelnej działalności księdza M., który m.in. zasiadał w honorowej Brzozowskiej Kapitułe Kolegiackiej, co tydzień prowadził różaniec w Radiu Maryja i bez przeszkód odprawiał publicznie msze. Dopiero po tym materiale zareagował następca (od 2016 r.) abp. Michalika – abp Adam Szal, przekazując informacje o wyroku dla byłego proboszcza do Watykanu (biskupi mają taki obowiązek od 2001 r.).

Ta pierwsza głośna sprawa o pedofilię duchownego zatem dopiero po blisko 20 latach znalazła swój finał w Kościele. Trudno nie podejrzewać, że katalizatorem w tym przypadku stały się wprowadzone przez Franciszka przepisy umożliwiające karanie biskupów za tuszowanie przypadków pedofilii. Na swój finał czeka jeszcze kościelny osąd postawy abp. Michalika.

©© ARTUR SPORNIAK

Ja ciebie chrzczę

„W OSTATNIM CZASIE

odbywają się celebracje Sakramentu Chrztu Św., udzielane ze słowami: »W imię ojca i matki, ojca chrzestnego i matki chrzestnej, dziadków, członków rodziny, przyjaciół, w imieniu wspólnoty, chrzczymy Was w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego«” – czytamy w nocie doktrynalnej Kongregacji Nauki Wiary dotyczącej zmiany sakramentalnej formuły mszy ogłoszonej w Watykanie 6 sierpnia. Kongregacja nie podaje, w których wspólnotach ma to miejsce, niemniej tych przypadków musi być wiele, skoro do Watykanu trafiły pytania o ważność takich chrztów. Na polecenie papieża Kongregacja stwierdza, że formuła „wspólnotowa” jest niepoprawna, a chrzest nieważny, choć jednocześnie rozumie motyw ludzi – podkreślenie wspólnotowego znaczenia chrztu, wyrażenie udziału rodziny oraz chęć uniknięcia „koncentracji świętej władzy w kapłanie ze szkodą dla rodziców i wspólnoty”. Jednak uświęconej tradycją formuły „Ja ciebie chrzczę...” nie można samowolnie zmieniać.



BLICKwinkel / ALAMY STOCK PHOTO

©© ASK

Dwa światy:
Wrocław i Toronto

PIERWSZY. KS. RAFAŁ KOWALSKI, rzecznik Archidiecezji Wrocławskiej na antenie Radia Rodzina: „Słuchajmy ekspertów ws. zakładania i noszenia maseczek. Grzechem jest lekceważenie wskazań. Jeżeli ten grzech popełniamy dobrowolnie i świadomie, powinniśmy się z niego spowiadać”.

Drugi. O. Kazimierz Kozicki, oblat Maryi Niepokalanej pracujący w polskiej parafii św. Kazimierza w Toronto podczas niedzielnej mszy 9 sierpnia: „Niejednokrotnie wyglądało na to, że łada moment łódź Kościoła zatoni. Dzisiaj przewala się nad nami burza spowodowana przez spisek przeciw ludzkości powzięty przez samozwańczych konstruktorów, a raczej majcherów nowego porządku świata. Spisek w postaci aborcji, eutanazji, ideologii LGBT, ideologii gender, pandemii i koronawirusa, kłamliwej teorii o ociepleniu klimatu i fałszywej troski o środowisko. Spisek mający na celu zmniejszenie liczby ludzi na Ziemi nawet o połowę”.

Jedna wspólnota katolicka. Dwa podejścia do rzeczywistości. Dwie wizje Kościoła. Czy nadal jedna wiara?

©© ARTUR SPORNIAK



MATERIAŁ PRASOWE

EKIPA WESZŁA NA PLAN. Aktorzy (w rolach głównych Kamila Urzędowska i Mirosław Baka) zagrają w pełnej inscenizacji, ale nakręcony materiał zobaczy tylko 50 artystów, którzy klatka po klatce (będzie ich ponad 70 tys.) przemalują film na obrazy olejne (na zdjęciu jeden z kadrów). Inspiracja: prace Józefa Chełmońskiego, Ferdynanda Ruszczyca i Leona Wyczółkowskiego. W ten sposób powstanie nowa ekranizacja „Chłopów” Władysława Reymonta w reż. Doroty Kobieli, autorki nominowanego do Oscara i Złotych Globów, opracowanego w tej samej technice, „Twojego Vincenta”. To pierwsze w historii kina pełnometrażowe animacje malarskie. ©P M O

Uczciwość pod kontrolą

U OSZUSTÓW kontrola poznawcza zwiększa uczciwość, zaś u uczciwych – skłonność do oszustwa. To wnioski z eksperymentu przeprowadzonego przez badaczy z Uniwersytetu Erazma w Rotterdamie, którzy za pomocą rezonansu magnetycznego obserwowali aktywność mózgu osób porównujących obrazki. Ich zadanie polegało na odpowiedzi, czy znaleźli trzy różnice. Na niektórych obrazkach zmieniono mniej detali, a za przytaknięcie badani otrzymywali pieniądze. To zachęcało do oszustwa. Donoszących o różnicach tam, gdzie ich nie było, określono „oszustami”, a prawdziwych – „uczciwymi”.

W trakcie podejmowania decyzji o odpowiedzi u osób w obu grupach aktywne były obszary mózgu związane z kontrolą poznawczą (pozwalającą np. powstrzymać się od jedzenia ciastek w czasie diety). Jednak w grupie oszustów tej aktywności towarzyszyło podjęcie decyzji o przyznaniu prawdy, a w grupie uczciwych – o kłamstwie.

Wybór: „zysk albo zgodność z normami moralnymi” dla każdego wiąże się z rozterką, bo złamanie zasad wymaga naruszenia dobrego mniemania o sobie. Okazuje się jednak, że w sytuacji takiego konfliktu „oszuści” w większym stopniu kierują się oczekiwaniem nagrody, a dla „uczciwych”, w świetle możliwości oszustwa, istotne jest zachowanie pozytywnego obrazu w swoich oczach. Kontrola poznawcza ułatwia zmianę „domyślnego” zachowania.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

KULTURA W SKRÓCIE

O TYM, CO ZBIERAMY

Do 23 sierpnia potrwa Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi. Ponieważ organizatorzy zdecydowali się na tzw. formułę hybrydową, większość wystaw dostępna będzie w sieci na stronie fotofestiwal.com/2020. Tematem przewodnim tegorocznej edycji jest kolekcjonowanie – jako sztuka, pasja i obsesja.

O TYM, CO CZYTAMY

Z kolei podczas Festiwalu Stolica Języka Polskiego w Szczepieszynie wręczono Nagrodę Wielkiego Redaktora. Laureatem został prof. Janusz Degler – literaturoznawca, historyk teatru, przewodniczący komitetu redakcyjnego wydania „Dzieł zebranych” Stanisława Ignacego Witkiewicza. Prof. Degler jest trzecim laureatem Nagrody Wielkiego Redaktora. W 2019 r. tytuł otrzymała Małgorzata Szczurek, rok wcześniej – Marianna Sokółowska.

O TYM, CO BĘDZIE

Poznaliśmy także nową dyrektorkę Muzeum Warszawy – od przyszłego roku instytucją pokieruje Karolina Ziębińska-Lewandowska, aktualnie kuratorka działu fotograficznego w paryskim Centre Pompidou. Ziębińska-Lewandowska jest doktorem historii sztuki, współzałożycielką Fundacji Archeologii Fotografii. Przez lata była związana z Narodową Galerią Sztuki Współczesnej Zachęta.



MARTA DAROWSKA / REPORTER / EAST NEWS

Wycinka trwa

OKOŁO 9 TYS. KM KW. pierwotnego lasu Amazonii zniknęło od początku sierpnia 2019 r. do końca lipca br. – wynika z danych brazylijskiego systemu DETER, prowadzącego obserwacje satelitarne. To wzrost o ponad jedną trzecią w stosunku do poprzedniego okresu. Większość wycinek prowadzono nielegalnie, za to przy cichym wsparciu urzędującego prezydenta Jaira Bolsonaro, nawołującego do gospodarczego rozwoju Amazonii i zwalczającego naukowców oraz instytucje przedstawiające alarmujące dane. Jedną z nielicznych pozytywnych zmian, jak zauważa „Science”, jest nowy zakaz wykorzystywania ognia podczas karczowania lasów, wprowadzony na najbliższe cztery miesiące. ©P ŁK



JOEDSON ALVES / EFE / FORUM

Przyszłość pandemii

NAUKOWCY Z UNIWERSYTETU HARVARDA zaprezentowali kilka możliwych scenariuszy rozwoju pandemii, zależnych od tego, czy infekcja SARS-CoV-2 lub szczepionka będą gwarantować długotrwałą odporność.

Jeśli tak będzie, wirus zniknie już w 2021 r., gdy wszyscy otrzymają szczepionkę lub przechorują. W najgorszym scenariuszu brak odporności i szczepionki spowoduje ciągły wzrost liczby zakażeń, a choroba na stałe będzie występować w populacji, podobnie jak np. malaria. Możliwe też, że wirus będzie atakował co roku lub co kilka lat, gdyż odporność na niego będzie krótkoterminowa (tak jak na inne poznane już koronawirusy), a ratować nas będą dystans społeczny, okresowe zamykanie gospodarki i sezonowa szczepionka. Nawet w takim umiarkowanym optymistycznym scenariuszu do czerwca przyszłego roku umrze jeszcze milion osób.

© BARTOSZ KABAŁA

TEMAT
TYGODNIKA

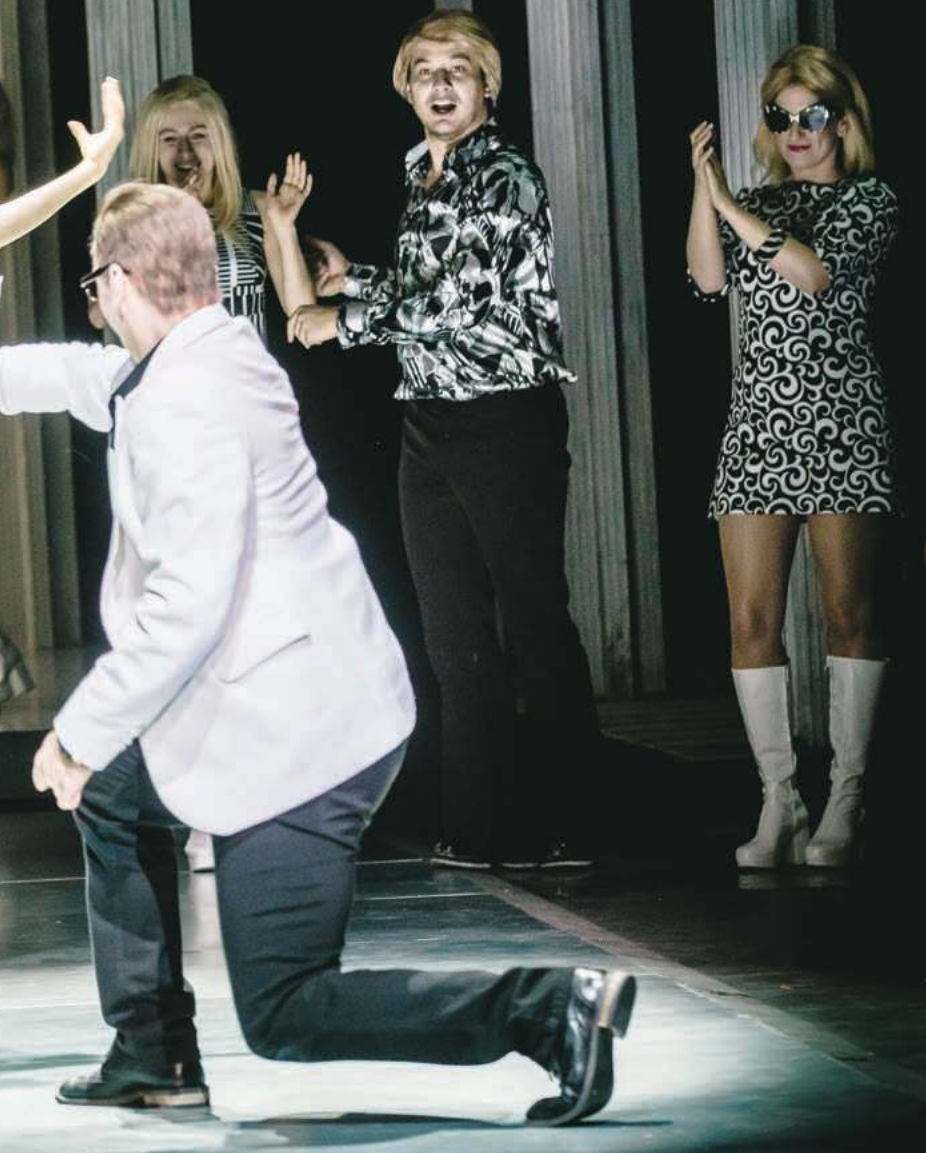


KOMU TO SŁUŻY

Znów trzeba stawiać podstawowe pytania o kulturę.
Tym razem nie chodzi tylko o ministerstwo i jego politykę,
ale o nas, o nasze potrzeby, pragnienia i możliwości. O nasze życie.

DARIUSZ KOSIŃSKI

„Halka” Stanisława Moniuszki
w reż. Mariusza Trelińskiego,
Teatr Wielki – Opera Narodowa, 2020 r.



KRZYSZTOF BIELIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

KULTURA I SZTUKA TO DZIEDZINY OPAR-
te na relacjach, na spotkaniu. Dlatego pandemia dotknęła je w sposób najgłębszy, bo zanegowała ich publiczny charakter, stawiając zarazem z całą mocą pytanie o sens ich istnienia.

Jego postawienie ma z jednej strony odświeżającą moc przypomnienia, że życie sprowadzone do sztuki przetrwania traci smak i wartość, ale z drugiej może prowadzić do zanegowania przyjętych za oczywiste zasad ich funkcjonowania,

w tym – funkcjonowania ekonomicznego. Czym innym jednak są powody, dla których pisze się wiersz, komponuje piosenkę lub maluje obraz, a zupełnie czym innym te, dla których postanawia się nakłonić kogoś do czytania, słuchania i oglądania, nie mówiąc już o powodach, dla których powinien za to zapłacić.

Właśnie pytanie o te powody to punkt, który wydaje się szczególnie dotkliwy w chwili, gdy twórcy kultury utracili oczywiste narzędzia uprawomocnienia swojej

działalności poprzez spotkania z publicznością. Jednocześnie zaś domagają się, by podtrzymać finansowanie swojej działalności ze środków publicznych.

A co ze mną?

Dla wyostrzenia i uniknięcia ułatwień postawmy to pytanie nie w odniesieniu do całej, ogromnej jednak dziedziny kultury, ale do jej najbardziej problematycznej części, czyli współczesnej profesjonalnej twórczości artystycznej. Nikt jednak nie wątpi, a nawet nie śmie pytać o konieczność finansowania wszystkiego, co dotyczy „dziedzictwa narodowego”. Nikt też nie neguje potrzeby wspierania działalności kulturowej o szeroko rozumianym charakterze amatorskim, stanowiącej dla wielu osób ważną część ich życia. Amator to jednak ktoś, kto tworzy „dla siebie”, nie trzeba więc pytać, „co mają z tego inni?”. Kwestia dotyczy szczególnie twórców zawodowych, którzy z działalności artystycznej żyją, domagając się finansowania jej i siebie na przyzwoitym poziomie, a zarazem aspirując do pozycji szczególnych ekspertów i autorytetów mających prawo nie respektować wymagań i oczekiwań tych, którzy im płacą.

W tym kontekście trzeba przypomnieć proces niejako podwójnego oddzielenia się świata sztuki od życia większości społeczeństwa. Oddzielenie pierwsze, będące wynikiem procesów zachodzących od końca wieku XVIII i związanych z tworzeniem się nowoczesnych społeczeństw, polegało na specjalizacji i instytucjonalizacji działalności artystycznej. Jej wynikiem było powstanie galerii, filharmonii, teatrów, bibliotek i muzeów – a więc miejsc nazywanych w dawnym języku „świątyniami sztuki”. Tworzono je dla ochrony sztuki przed nadmiernym wpływem mecenasów prywatnych, a potem także mas, w imię „wiecznotrwałych” wartości, które nowoczesne społeczeństwa uznały za konieczne dla zachowania i umacniania swojej tożsamości. Sztuka stawała się sferą coraz luźniej związaną z ludzkim życiem biegnącym własnym rytmem od poniedziałku do piątku, by w sobotę można się było „odchamić” w jednej z owych „świątyń”.



→ W lukę, która powstała między światem sztuki a „rzeczami, które służą” (by użyć formuły Antonina Artauda), wciśnięły się nowe zjawiska, rosnące gwałtownie i przyjmujące – także dzięki technologii – wciąż nowe formy. Z wyzyna świata sztuki mówi się o nich „kultura masowa” i marudzi, że reprodukowana na wielką skalę nie mają „aury”. Ale gdy jadę hałaśliwym pociągami i zakładam słuchawki, by posłuchać piosenki ulubionych Radioheadów, patrząc jak sąsiad odpala na laptopie kolejny odcinek „Wiedźmina”, wiem, że należę do grupy współtwórców kultury popularnej, do której zostałem zaproszony, by z ogromnej oferty wybrać to, co będzie mi służyć w sposób, jaki uznaję za najlepszy.

Kultura popularna, ściśle związana – co widać już po jej nazwie – z potrzebami dużych grup odbiorców, stała się narzędziem drugiego, może poważniejszego w skutkach oddzielenia twórczości artystycznej od większości, pełniącej wszak w społeczeństwach demokratycznych rolę suwerena. Dzięki niej owa większość kulturowo uniezależniła się od wytworów instytucji. Produkty, stanowiące podstawę popularnej twórczości kulturowej i zaspokajające wiele związanych z tą sferą potrzeb dawniej nazywanych „duchowymi”, są dostarczane bezpośrednio do domu lub w jego sąsiedztwo (np. do osiedlowego kina), bez konieczności udawania się do którejś z owych imponujących „świątyń”.

Nie bez racji więc przedstawiciele większości, często sami siebie nazywający „prostymi odbiorcami”, co jakiś czas pytają, co mają z tego, że finansują całą tę „wysoką kulturę”, skoro za każdym razem, gdy usiłują wejść w jej świat, natykają się na barierę niezrozumienia lub nudy. Nawet jeśli (co wcale nie zdarza się tak rzadko) przyjmują pozycję pokornego laika („ja się tam nie znam, ale...”), ponawiają – właśnie z pozycji „zwykłego człowieka” – pytanie: a co ze mną? Czemu mam wam płacić, skoro nie respektujecie moich gustów i oczekiwań?

W czym imieniu?

W efekcie tego podwójnego oddzielenia rodzi się napięcie – częściowo ukryte pod powierzchnią społecznego ceremoniału „życia kulturalnego”, ale tym silniejsze. Wynika ono z zasadniczej sprzeczności między finansowaniem sztuki ze środków wytwarzanych przez każdego podat-

nika a przyjmowaną mniej lub bardziej milcząco zasadą, że powstające z tych środków kreacje nie są „dla każdego”. Są „wysokie”, więc nieuchronnie i logicznie „elitarne”.

Słowo to zawsze było dwuznaczne i podejrzane, a dziś – za sprawą jasno deklarowanej walki z elitami i wrogości wobec nich – stało się wręcz wyrokiem. Ale świat sztuki współczesnej jest rzeczywistością na elitarność skazany, już choćby przez to, że musi odróżniać się od popkultury i uzasadniać decydującą o jego istnieniu niezależność od gustów masowych, która legła u podstaw jego instytucjonalnego oddzielenia.

Do filharmonii, opery,
galerii i teatru chodzi się,
ponieważ wciąż jest to znak
przynależności
do pewnej klasy.

**Świątynie sztuki stały się
fabrykami społecznych
dystynkcji.**

Istnieją też oczywiście powody głębsze: np. taki, że dla naszego dobra konieczne jest (i zawsze było) istnienie sztuki, która mówi nam rzeczy nieprzyjemne, pokazuje to, czego nie chcemy widzieć, lub udziwicznia to, czego sami usłyszeć nie jesteśmy w stanie. Na tę okazję zostawmy je jednak na boku, pozostając na poziomie środowiskowo-finansowym, gdzie działa ów wewnętrznie sprzeczny i bezskutecznie samonegujący się mechanizm elitarności.

Od samego początku istnienia zinstytucjonalizowanego „świata sztuki” trwa w nim walka o władzę między „zwykłymi odbiorcami” i „znawcami”. Pięknie pokazuje ją historia pierwszych dekad polskiego teatru publicznego, gdy znakomicie wyczuwający niesformułowane nawet oczekiwania swojej publiczności i niezwykle (w najlepszym tego słowa znaczeniu) popularny Wojciech Bogusławski (1757–1829) został zaatakowany i pozbawiony kierownictwa teatru

przez grupę wyznawców klasycyzmu, zrzeszonych w czysto środowiskowym Towarzystwie Iksów. Używali oni argumentów jawnie elitarystycznych, zgodnie z którymi tylko eksperci posiadający określoną wiedzę i doświadczenie mogą decydować o „prawdziwych” wartościach dzieł sztuki, bo są one prawdziwe właśnie dlatego, że nie zależą od gustów publiczności.

Od czasów Iksów wiele się zmieniło. Publiczność zinstytucjonalizowanej sztuki (może z wyjątkiem kina) nie jest już „masowa” i „popularna”, ale sama stała się gronem w jakiejś mierze „eksperskim” i wyróżnionym. Niezależnie od osobistej oceny, jakości przeżycia czy stopnia zrozumienia udział w wydarzeniach kulturalnych zapewnia określony kapitał społeczny. Do filharmonii, opery, galerii i teatru (w mniejszym stopniu do kina) chodzi się, ponieważ wciąż jest to znak przynależności do klasy wyróżniającej się m.in. w ten sposób. Świątynie sztuki stały się fabrykami społecznych dystynkcji.

Gdy więc twórcy mówią o „głosach publiczności”, przeciwstawiając je opinii krytyków, w rzeczywistości przeciwstawiają jedną grupę ekspertów drugiej, a cały ten zamknięty krąg oglądany z zewnątrz wytwarza obraz „kółka wzajemnej adoracji”, wywołujący u nienależących do niego „zwykłych widzów” odruch niechęci.

Co mi z tego?

Nieprzyjemne pytania i bolesne wątpliwości, które rodzi ta zapętlona sytuacja, po raz pierwszy dopadły mnie 30 lat temu, gdy wraz z upadkiem ustroju, w którym się wychowałem, upadła też podtrzymywana przezeń oczywistość wyróżnienia i konieczność ochrony sfery kultury. Identyfikowałem się z nią, odkąd pamiętam, a identyfikacja ta – co ważne – nie była czymś środowiskowo nabytym, ale stanowiła wybór motywowany czymś, czego nie ma sensu tutaj analizować. Był to wybór, któremu tamten świat nadawał znamię oczywistej pozytywności. Codzienna walka o przetrwanie była odczuwana jako sfera wymuszonego kompromisu bez nadziei na ostateczny, prawdziwy sukces. Ucieczka z niej – choćby do małego kina ze skrzyżowanymi drewnianymi fotelami – nie była kwestią rozrywki, ale dosłownie – przeżycia.

W roku 1989 to się skończyło. Ludzie związani ze sferą kultury działającą w warunkach poprzedniego systemu albo ją porzucali, przenosząc swoją kreatywność w inne obszary, albo zostali zmuszeni do radykalnej weryfikacji swoich uprawnień do pozostania w niej. Nie było to łatwe, bo atmosfera społeczna była przesiąknięta kultem przedsiębiorczości, a pytania o zysk z kultury i jej sens stawiano publicznie w sposób radykalny i drapieżny.

Jako początkujący teatrolog, a więc ktoś znajdujący się w niszy nisz, czułem dojmującą konieczność usprawiedliwienia swojego miejsca w sposób inny niż temperament czy osobiste skłonności. Znalazłem je w przeszłości. Nie tylko sam dla siebie, ale też wobec innych usprawiedliwiłem swoją pracę historyka teatru tym, że pomagam zapomnianym przeżyć, więc w jakiejś mierze sprzeciwiam się śmierci.

Ten sprzeciw wydawał mi się i nadal wydaje ważny, może wręcz podstawowy. Wciąż mam też wiele czułości dla tych kiedyś znanych, a dziś wyblakłych i zapomnianych gwiazd, którymi się wtedy zajmowałem, a czułość ta i dziś wystarcza mi osobiście, by usprawiedliwić własną pracę. Ale mam świadomość, że wszystkie te mechanizmy działają w odniesieniu do przeszłości i mieszczą się w obrębie „dziedzictwa”, które zwłaszcza z dodatkiem przymiotnika „narodowe” staje się natychmiast sferą niemal nietykalną.

W kraju, gdzie powstały „Dziady”, „służenia umarłym” nie trzeba specjalnie usprawiedliwiać i nic dziwnego, że ten obszar kultury stał się stosunkowo szybko sferą wyłączoną z kręgu podejrzanych.

Potwierdziła to przeprowadzona w roku 1999 zmiana w nazwie rządowego resortu: wykreślona z niej „sztukę” zastąpiło właśnie „dziedzictwo narodowe”. Zmieniło to w sposób znaczący kierunek działalności ministerstwa, które stopniowo, ale nieuchronnie zwróciło się ku przeszłości, polityce historycznej i czynieniu zmarłych wzorami życia.

Co to będzie?

Co ciekawe i warte głębszego namysłu, równolegle rozwijała się w Polsce dynamicznie sztuka tworzona w napięciu, często bolesnym związku z teraźniejszością. Sztuka niestanowiąca powtórzenia

Dziś dominuje niepewność co do przyszłości. I właśnie dlatego tak ważna jest teraz

**sztuka,
która nie respektuje
tego, co jest.**

znanych konwencji, ale rzucająca wyzwania, świadomie kwestionująca przyzwyczajenia i negująca oczywistości, w tym także te, o których mówi się, że są święte. Na przełomie wieków zwykło się ją nazywać „krytyczną”.

Gdy eksplodowała w latach 90., przyjęto ją jako wynik, objaw i reakcję na gwałtowne przemiany zachodzące w społeczeństwie. Rodziła się i znajdowała odzew w powszechnym poczuciu nieuchronnych zmian, zarówno wtedy, gdy je wspierała i dążyła do ich radykalizacji, jak i wtedy, gdy z różnych pozycji krytykowała je czy wręcz nawoływała do opamiętania.

Pod koniec pierwszej dekady nowego wieku sytuacja społeczna zaczęła się stabilizować, więc sztuka „krytyczna” stopniowo utraciła swoje zaplecze. W społeczeństwie zaczęły dominować postawy konserwatywne, niekoniecznie motywowane ideologicznie, ale wynikłe ze zmęczenia zmianami i oparte na pragmatycznym uznaniu, że w imię poczucia bezpieczeństwa, stabilnego rozwoju, wysokiej samooceny, pewności siebie, pozytywnego myślenia i wielu innych realnych potrzeb lepiej przyjąć podstawowe rozpoznanie konserwatywne. I uznać, że lepsze jest wrogiem dobrego, a jeśli nawet to, co znane, oznacza zgodę na pewien fałsz, to jest to fałsz fortunny i pożądaný. Po co szukać i zmieniać, skoro znaleziono już tyle, że życia nie wystarczy, by to wszystko poznać, a *sub sole* i tak w końcu *nihil novi*?

Pandemia podważyła pragmatyczną skuteczność tej postawy nie na poziomie „ideologii”, ale życiowego konkretnego. Od jej początków towarzyszy nam przede wszystkim pytanie: „Co będzie?” oraz poczucie, że nikt nie zna na nie odpowiedzi. Poczynamy się, że to się niedługo

skończy, że wrócimy do przeszłości. Co chwila jednak słyszymy, że powrotu nie ma, a choć nadal można obserwować w społeczeństwach wzrost tendencji reakcyjnych, to i on dowodzi, że dominującym elementem naszej współczesności jest niepewność co do przyszłości. I właśnie dlatego, a nie ze względu na „wartości” i środowiskowe dystynkcje, tak ważna jest dziś sztuka, która nie respektuje tego, co jest, i której nie jesteśmy ani odbiorcami, ani miarą.

Dominującą cechą współczesnej twórczości artystycznej jest to, że w wielu swoich przejawach z całą świadomością zgadza się na własną niegotowość. Sztuka współczesna nie jest skończonym dziełem danym wyłącznie do kontemplacji lub konsumpcji. Jej kreacje stanowią rodzaj otwartej na przyszłość propozycji, akceptującej do pewnego stopnia niewiedzę i niewładzę tych, których tradycyjnie uznaje się za „twórców”. Także „odbiorcy” nie mają w jej obszarze zapewnionego zrozumienia i panowania nad tym, co się wytwarza i wylania.

Ten niestabilny obszar współkreowania obejmującego nie tylko ludzkich uczestników i nie tylko to, co podmiotowe, ale też to, co relacyjne, co działa pomiędzy, staje się szczególnym laboratorium przyszłości. Tego, o co z trwogą pytamy i czego nie rozumiemy, bo dopiero powstaje i nie zawsze znajduje się pod naszą kontrolą.

Wbrew temu, co głosi ideologiczny i pragmatyczny konserwatyzm, dzisiejsza odpowiedź na potrzebę wspierania rozwoju sztuki ze środków publicznych nie wiąże się z tym, co znane i rozpoznane jako „wartość”, ale z tym, co zaskakujące, nieprzewidywalne, wręcz niejasne i niezrozumiałe. Jeśli nawet zgodzimy się, że życie codzienne wymaga uporządkowania i znanych reguł, to tym bardziej konieczna jest sfera od nich wolna. Sfera, w której wymuszane przez owe reguły zahamowania, wyparcia, fałsze i lęki znajdują swoje ujście, wytwarzając jednocześnie to, z czego codzienność poddana dyktowaniu pytania o przyszłość może twórczo korzystać.

Recept i pewnych rozwiązań w ten sposób może się nie uzyskać, ale przynajmniej będzie można być w pogotowiu. A jak mówił w decydującej chwili bohater naszej cywilizacji – na tym właśnie wszystko polega.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Spoidło wielkie

PAWEŁ POTOROCZYN, DYPLOMATY I MENADŻER KULTURY:

Twórcy czują się jak pszczoły, które muszą tłumaczyć niedźwiedzim, że nie mogą być rozliczane tylko z ilości wyprodukowanego miodu. Że znacznie ważniejsze jest zapylenie.

MAREK RABIJ: Założę się, że zna Pan anegdotę od Winstonie Churchill, któremu podczas wojny pokazano projekt budżetu skoncentrowanego na wydatkach wojskowych, bez pozycji „kultura”.

PAWEŁ POTOROCZYN: Churchill miał sarkastycznie zapytać: „To o co w takim razie toczymy tę wojnę?”.

Moim zdaniem boleśnie aktualna jest ta anegdota. Zwłaszcza gdy wtórują jej głosy podobne do tego, który znalazłem w jednym z portali pod tekstem o problemach artystów, których lockdown pozbawił środków do życia. „To zmieńcie pracę i weźcie kredyt” – doradził internauta.

Dodałbym jeszcze gigantyczny wstrząs, jaki zaaplikowała kulturze Cyfra. W ciągu dekady zmienił się nie tylko model kreatywny i model dystrybucji. To samo spotkało model uczestnictwa w kulturze i model jej finansowania.

Na domiar złego zmiany, o których Pan mówi, odzwierciedlają starą zasadę świata cyfrowego, zgodnie z którą zwycięzca bierze wszystko.

Do tego zmierzamy. Już w tej chwili o tym, co obejrzymy w popularnym serwisie streamingowym i jakiej muzyki posłuchamy, decydują w znacznej mierze algorytmy. Do nich należy nawet decydujący głos w sprawie doboru reklam wydarzeń kulturalnych, które wyświetlą się nam na smartfonie. To wszystko oznacza, że w sferze uczestnictwa w kulturze jesteśmy zredukowani do czegoś w rodzaju białkowego interfejsu służącego maszynom do komunikacji.

Jeśli nałożymy to na pańską uwagę, że zwycięzca bierze wszystko, zobaczymy prawdziwą skalę problemów kultury. Bo ona uległa rozwarstwieniu. I nie chodzi mi o podział na kulturę wysoką i ni-

ską, bo to rozróżnienie nie ma większego sensu, a bywa obraźliwe dla porządnej jakości rozrywki. Z jednej strony mamy kulturę dostępną online i na ogół za darmo, z drugiej tę, która tylko w realu ma wartościowy, poznawczy i społeczny wymiar i nadal trzeba za nią płacić. Coraz więcej płacić. Wszystko wskazuje na to, że ten podział w kolejnych latach będzie się utrwał. Aż zostaną ci nieliczni, którzy potrzebują i jeszcze ich stać. Oraz ci, którzy jeszcze potrzebują, ale już ich nie stać. I ci, których nie stać, więc nie potrzebują.

Nieliczni? Darmowe kąski w wielu sferach kultury dostarczają przecież twórcom odbiorców gotowych płacić za dostęp – i to dużo.

Bezpłatna muzyka w internecie nakręca np. zapotrzebowanie na koncerty.

To dotyczy przede wszystkim globalnych fenomenów, bo w internecie, jak sam pan zauważył, zwycięzca bierze wszystko.

Twórcy działający na mniejszą skalę, choćby w niszach językowych, już nie mają takiego komfortu. Prosty przykład: odpływ widzów z komercyjnych teatrów sprawia, że drożeją bilety, bo stałe koszty instytucji nie maleją proporcjonalnie do spadku frekwencji. W ten sposób dochodzi do sprzężenia zwrotnego: wyższe ceny zawężają i tak już wąską grupę potencjalnych odbiorców. W trakcie pandemii, gdy przepisy epidemiczne ograniczyły liczbę widzów, sytuacja teatrów stała się jeszcze trudniejsza. Dlatego kultura, która dostała podczas lockdownu bardzo silny cios, podnosi się po nim z takim trudem. To już nie jest kryzys rozumiany tradycyjnie, jako zmiana cyklu koniunktury. Obawiam się, że jesteśmy świadkami wymierania pewnego gatunku.

Gatunku zawodowego twórcy, który uprawia kulturę w ramach umowy o pracę zawartej z instytucją finansowaną z pieniędzy podatników? To rzeczywiście dość młody twór epoki państwa dobrobytu.

Nie widzę większej różnicy między statusem współczesnego artysty na „państwowym garnuszku” a twórcą utrzymywanym niegdyś przez księcia, dożę czy papieża. Wszystkie światłe wspólnoty już rozwiązały problem, czy warto wspierać talent. Niektóre bardzo dawno temu. Chodzi o to, żeby państwo rozumiało korzyści tkwiące w „garnuszku”. O ile dobrze pamiętam, Jan Sebastian Bach miał obowiązek chodzenia w liberii, a w siatce płac służby na zamku w Koethen jego uposażenie było równe poborom lokaja. Czym to się różni od współczesnego muzyka na etacie w filharmonii?

Tym, że pieniądze na pensję wydzielają z budżetu politycy, którzy co cztery lata muszą się poddać testowi wyborczemu przed podatnikami. A ci coraz częściej uważają, że finansowanie kultury ze środków publicznych to fanaberia elit, na którą pogrążone w kryzysie państwo nie powinno sobie pozwalać.





JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

Katarzyna Nosowska z grupą Hey. Kraków, grudzień 2017 r.

Moment. Pan też tak uważa? Przecież kultura nie jest kosztem. Jest inwestycją. To jasne.

Ale jeśli obawia się pan cięć wydatków na kulturę, to od razu zastrzegam, że nie to mnie martwi najbardziej.

W latach 2009-14 budżet centralny wydał na ten cel tylko 10,5 mld zł.

Tyle co nic.

A ja proponuję, żeby dać sobie spokój z narzekaniem na wysokość wydatków na kulturę. One zawsze były zbyt niskie i takie pewnie pozostaną. Za to coraz częściej będziemy musieli zadawać sobie pytanie: na jaką kulturę idą te pieniądze. A raczej – na czyją kulturę?

Władza, która uważa, że kultura jest kosztowna, prędzej czy później przekonuje się, że droższa jest ignorancja. Inwestycje w kulturę – rozumianą także jako edukacja – pozwalają bowiem rozwiązywać jednocześnie wiele problemów: od kwestii związanych z ochroną środowiska, kapitału społecznego, aż po służbę zdrowia. Pominę już, że kultura i edukacja do kultury są jedynymi skutecznymi szczepionkami przeciwko populizmowi, bo na tym akurat politykom zależy najmniej.

Obecnie rządzącym czy wszystkim?

Od 30 lat czekam na formację, która zrozumie, że bez kultury, owszem, możliwy jest wzrost, ale już nie rozwój. W ostatnich latach wiele uwagi poświęcano w Polsce tzw. pułapce średniego rozwoju i pułapce średniego dochodu, która jest m.in. konsekwencją niskich marż. A te są pochodną niewielkiego udziału intelektualnej wartości dodanej w cenie. Znikoma intelektualna wartość dodana zawarta w cenie to skutek deficytu innowacyjności i kreatywności. Ten deficyt zaś bierze się z ograniczonej zdolności do myślenia abstrakcyjnego, czyli dokładnie tego, czego uczy obcowanie z kulturą, umiejętność czytania jej kodów i rozumienia jej toposów.

W polskim przypadku pułapkę średniego rozwoju tworzą więc przede wszystkim deficyty kultury?

Bez inwestycji w kulturę i edukację do kultury nie będziemy grali w ekstraklasie. Edukacja, która uczy rozwiązywania problemów zamiast rozwiązywania problemów, nie będzie silnikiem nowoczesnej gospodarki. Lekceważenie kultury może na jakiś czas zapewnić prosty wzrost, ale nie zapewni rozwoju. Zatrzymamy nas na poziomie dostawców niezbyt złożonych komponentów i części zamiennych. Nawet teraz ta niedoinwestowana polska kultura wnosi

do PKB więcej niż hojnie subsydiowane rolnictwo. Dla jasności – w tym porównaniu nie chodzi o to, ile wydajemy na uprawy i hodowle, lecz o to, ile moglibyśmy wszyscy zyskać, gdybyśmy jednocześnie doinwestowali kulturę.

Obawiam się, że tego typu argumenty jedynie podsycają przekonanie o niezrozumieniu elit dla potrzeb tzw. zwykłego Polaka.

A ja szukam w pamięci i nie potrafię sobie przypomnieć ani jednego twórcy, który przekonywałby, że dla dobra kultury trzeba poświęcić edukację, opiekę zdrowotną czy wydatki na bezpieczeństwo. Ludzie kultury też mają dzieci, chorują i boją się czasem wyjść w nocy na ulicę. Więcej: nie przypominam sobie również żadnego koryfeusza kultury okazującego pogardę ludziom, których kultura kompletnie nie interesuje.

Być może na problem trzeba spojrzeć w inny sposób. Nie trzeba być obiektem pogardy, żeby się czuć pogardzanym.

Zgoda. Tylko odróżnijmy niezgodę na brutalną, cyniczną, schamiałą politykę, którą to niezgodę manifestuje dziś wielu ludzi kultury, od rzekomej pogardy wobec ludzi, którzy nie z własnej winy weszli w dorosłość i w skomplikowany świat z deficytami niewyrównanymi przez kulturę, edukację albo media publiczne. Widzimy przecież wyrzuty sumienia u ludzi kultury, którzy czują współodpowiedzialność za ten stan rzeczy.

Politycy żadnych wyrzutów sumienia nie mają.

Bo nie ma już polityki, w której chodzi o idee, wartości, dobro wspólne. Jest postpolityka, w której gra toczy się tylko o zwycięstwo w kolejnych wyborach. W terminie „polityka kulturalna” PiS stawia akcent na pierwszym słowie. To nie polityka ma dbać o rozwój i pluralizm kultury, lecz kultura ma wspierać realizację doraźnych celów politycznych, a w efekcie – wzmacniać obóz władzy.

Państwo PiS nie jest mecenasem, jest oberkuratorem, który decyduje o tym, „czyja kultura”, a nie o tym, „na co wspólnocie kultura”. Kultura w takim państwie nie jest silnikiem rozwoju, spoiwem społecznym ani częścią gospodarki. Nie jest nawet aparatem pojęciowym czy

→ zasobem poznawczym. Jest skrzynką z narzędziami do zdobywania, sprawowania i zachowania władzy. Problem w tym, że świat polskiej kultury tego nie rozumie, bo jest wychowany w duchu ostatnich trzech tysięcy lat europejskiej tradycji, w której kulturę traktowano zawsze autotelicznie, jako cel sam w sobie.

Proszę się więc nie dziwić bezradności twórców, kiedy muszą nagle tłumaczyć decydom, dlaczego kultura jest ważna. W realiach postpolitycznych czują się jak pszczoły, które muszą tłumaczyć niedźwiedzom, że nie mogą być rozliczane tylko z ilości wyprodukowanego miodu, że znacznie ważniejsze jest zapylanie. Na dodatek wszystko to dzieje się w Polsce 30 lat po upadku komunizmu, kiedy wszystkim wydawało się, że kulturze już nic nie zagraża. Starsi, którzy pamiętają cenzurę PRL, albo już odeszli, albo są na twórczej emeryturze. Młodszy ze zdumieniem przecierają oczy, bo nie wiedzieli, że taki walec w ogóle jest jeszcze możliwy.

Nie przesadza Pan z tą wizją rewolucji kulturalnej?

(*chwila ciszy*) Myślę, że poza festiwałem Warszawska Jesień na celowniku są dziś wszyscy. Władza, która żywi autorytarne ambicje, nie toleruje enklaw, których nie kontroluje. A już na pewno nie będzie ich wspierać finansowo. A polityka, która chce zarządzać przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, także w sferze kultury musi kontrolować wszystkie i wszystko. To, że PiS ograbia samorządy, to nie jest tylko endemiczna niechęć do lokalnych, demokratycznie wybranych liderów z formacji opozycyjnych, ale część „polityki kulturalnej”.

Nie musi nawet ograbiać. Wystarczy dorzucić władzom lokalnym obowiązków, nie przekazując wraz z nimi pieniędzy na ich realizację.

Właśnie o tym mówię. Efekt będzie jeden: cięcia w budżecie. A który burmistrz czy prezydent obetnie żłobkom, szpitalom czy zrezygnuje z remontu drogi? Nie, obetnie kulturze. I tak odłamkowym oberwą samorządowe instytucje kultury. Ludzie nie wyjdą przecież na ulice tylko dlatego, że miejski teatr musiał zrezygnować z kolejnej premiery. Co zrobią szefowie tych instytucji lub szefowie tych szefów? Staną w kolejce po dotacje ministerstwa kultury. A minister zaferuje wsparcie każdemu, ale pod warunkiem, że będzie



KONRAD CÍK / ARCHIWUM PAWEŁA POTOROCZYNA

PAWEŁ POTOROCZYŃ jest dyplomata, menadżerem kultury, wydawcą, producentem filmowym i muzycznym. Od 2008 do 2016 r. dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza. Był konsulem do spraw kultury w Konsulacie Generalnym RP w Los Angeles. W 2000 r. zakładał od podstaw Instytut Kultury Polskiej w Nowym Jorku jako jego pierwszy dyrektor. W roku 2005 został dyrektorem Instytutu Polskiego w Londynie. Publikował m.in. w „Rzeczpospolitej” i „Tygodniku Powszechnym”. W roku 2013 wydał powieść „Ludzka rzecz”. We wrześniu nakładem wydawnictwa OsnoVa ukaże się jego wywiad z Anne Applebaum pt. „Matka Polka”.

Jan Sebastian Bach miał obowiązek chodzenia w liberii, jego uposażenie było równe poborom lokaja.

Czym to się różni od współczesnego muzyka na etacie w filharmonii?

miał wpływ na repertuar albo obsadzi placówkę swoimi ludźmi, którzy przegnąą z nich niewłaściwe nazwiska i niepatriotyczne lub tylko nie dość patriotyczne projekty. W ten sposób władza pozbawi głosu tych, których nie może kontrolować. Jedną z kluczowych funkcji kultury – mówienie prawdy, zwłaszcza politykom – stanie się fikcją. I nie chodzi już nawet o indywidualną odwagę bycia w kontrze wobec władzy. Ci, którzy się nie podporządkują, po prostu zamilkną zdjęci z afisza, wygnani z galerii lub usunięci ze szkół i uczelni. Przesnąć być słyszalni.

Minister Gliński by Panu odpowiedział, że dąży jedynie do odpolitycznienia kultury.

Mówi to wszystkim, którzy się z nim nie zgadzają. Jeśli polityka stanowi istotną sferę społecznej aktywności, to nie możemy odbierać kulturze prawa do komentowania ważnych decyzji czy strategii politycznych. Ciarki chodzą mi po plecach, kiedy słyszę, że władza przystępuje do programowania społeczeństwa od nowa i usiłuje włączyć w ten proces także kulturę. Wezwania do stworzenia „nowego Polaka”, „nowego patrioty” można znaleźć nie tylko w manifestach i partyjnych halucynacjach, ale również w oficjalnych dokumentach. To już nie jest „polityka kulturalna”, to jest inżynieria kulturowa. Spółki Skarbu Państwa, które wcześniej odgrywały ważną rolę jako mecenas życia kulturalnego, w tej chwili wspierają głównie projekty politycznie poprawne, najczęściej przepalając miliony na tandetną, ksenofobiczną odmianę patriotyzmu. To jest to „domknięcie systemu”, którego należy się bać.

Rząd przebąkuje w tych dniach o połączeniu resortu edukacji z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Jest taka pyszna anegdota o Miłoszu. Po powrocie do Polski dziennikarz pyta sędziego poetę: „Jaka byłaby pana pierwsza decyzja, gdyby został pan ministrem kultury?”, na co Miłosz odpowiada: „Przywróciłbym grekę w szkołach”. „Ależ to jest w gestii ministra edukacji”, zauważył dziennikarz. „O, to teraz są osobno?” – dziwi się Miłosz. Uważam – zresztą nie od dziś – że jednego od drugiego oddzielić nie sposób. Kultura musi być ważną częścią szkoły, a edukację należy traktować jako część kultury. Połączenie edukacji

z kulturą i sportem to jest dobry pomysł w złych rękach. Jeśli do tego dojdzie, inżynieria kulturowa nie będzie już celem – będzie faktem.

No właśnie, „w złych rękach”. Ograniczając krytykę polityki kulturalnej do dwóch ostatnich kadencji PiS tworzy Pan – być może nieumyślnie, a może celowo – wrażenie, jakby pomiędzy nimi a rządami poprzedników zionęła jakościowa przepaść, oczywiście na korzyść Platformy.

Platforma miała liczne wady, ale nie miała kuratorskich ambicji i nie dokonywała personalnych czystek w kulturze. Wiceministrem u Bogdana Zdrojewskiego z PO był Tomasz Merta, który nigdy nie krył swych poglądów i sympatii politycznych. Nie przypominam też sobie, żeby Zdrojewski czy Omilanowska, publicznie lub w gabinecie, mówili, który artysta jest lepszy, a który gorszy; który jest „nasz”, a który nie. Mam wrażenie, że dziś to stało się jakby normalne. Groźne będą skutki takiej normalności. Przez 30 lat ludzie kultury przekonywali świat polityki i ekonomii, że kultura jest częścią gospodarki. Od 2008 r. wiemy już, że jest odwrotnie: gospodarka jest częścią kultury. I to nie jest tylko *bon mot*. To są wyniki badań. Ile kapitału intelektualnego – tyle rozwoju. Jaka kultura, taka gospodarka. W jakiejś mierze od tego, jacy są ci „ich” twórcy i menadżerowie kultury, zależy przyszłość polskiej gospodarki. Tymczasem PiS rzuca w tej chwili kulturę na odcinek walki o „no-

Przez 30 lat ludzie kultury przekonywali świat polityki i ekonomii, że kultura jest częścią gospodarki. Od 2008 r. wiemy już, że jest odwrotnie: **gospodarka jest częścią kultury.**

wego Polaka”. Niby nowego, ale zwróconego w stronę przeszłości. Najprostsza recepta, żeby przyszłość nas zaskoczyła. Śledzi pan forum ekonomiczne Davos?

Raczej z poczucia obowiązku.

Przy wszystkich kontrowersjach ma ono jedną niezaprzeczalną zaletę: trafnie antycypuje trendy i precyzyjnie definiuje wyzwania przyszłości. Kiedy tam mówiono o nierównościach majątkowych, w Polsce rządziła doktryna prymatu PKB. Teraz Davos dyskutuje o edukacji, której jakość najbardziej wpływowi ludzie świata uważają za kluczową dla rozwiązania globalnych problemów społecznych, klimatycznych i gospodarczych. Jack Ma, twórca serwisu Alibaba, człowiek, który wymyślił przyszłość kilku miliardom ludzi, mówił w Davos, że jego zdaniem współczesna szkoła powinna uczyć muzyki, tańca, rysunku, poezji i sportu. Tego, czego algorytmy nie potrafią. Tego,

co rozwija myślenie abstrakcyjne. Uczyć patrzeć i słuchać. Poznawać i rozumieć. Krytykować i podziwiać.

Po co?

Bo bez tego nie wydarzy się żadna pożądana zmiana społeczna. Z tego *curriculum* przyjrzymy się choćby tylko muzyce. Odkąd wynaleziono rezonans magnetyczny, wiemy z naukową pewnością, że ludzie, którzy dużo i aktywnie obcuje z muzyką, usprawniają sobie w ten sposób pracę mózgu. Mają lepiej rozwiniętą korę słuchową, sensoryczną, ruchową i wzrokową. Więcej kory przedczołowej, która odpowiada za planowanie działań, przewidywanie ich konsekwencji i ocenę poprawności. Większe i wydajniejsze hipokampy, czyli pamięć i zdolność uczenia się. Mają większe spoidło wielkie, dzięki któremu transfer informacji między półkulami jest szybszy i wydajniejszy. Mają większe jądro półleżące, część układu nagrody, czyli głównego systemu motywującego zachowanie, a mniej aktywne jądro migdałowe, które odpowiada za negatywne emocje i agresję. To potrafi kultura! Jack Ma to wie.

W polskiej polityce kulturalnej o tym, że kultura jest narzędziem rozwoju, pan nie usłyszysz. A jakakolwiek, nawet łagodna i państwowotwórcza krytyka kierunku, który obrał PiS, kończy się natychmiast oskarżeniami o antypolskość. Nie rozumieją, że w kulturze jednostką miary czasu jest stulecie, a nie czteroletnia kadencja parlamentarna.

© © Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabin,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kucmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziwili-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech
Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek
Dobroch, ks. Andrzej Draguta, Jakub Dymek, Jarosław
Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał
Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kozłowska, Ryszard Kozłowski, Magdalena
Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P.
Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław
Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adere,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kucmińska (wiceprezeska)
Maję wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA NA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Druga próba Abrahama



W KANAANIE ZAPANOWAŁ GŁÓD. ABRAM w poszukiwaniu jedzenia ruszył do Egiptu. Zdążając do celu powiedział żonie: wiem, że jesteś piękną kobietą. Gdy zobaczą ciebie Egipcjanie, mów im, żeś moją siostrą, „aby mi się dobrze wiodło ze względu na ciebie i abym dzięki tobie pozostał przy życiu”. Saraj miała wtedy blisko sześćdziesiąt lat, ale musiała wyglądać cudownie. Egipcjanie nie mogli się nachwalić jej urody i zaprowadzili ją do haremu faraona. Abram w zamian za nią otrzymał hojne dary: zwierzęta, osły, woły, wielbłądy, niewolników i niewolnice. W nocy faraona i jego dom dotknęły ciężkie plagi. Wtedy faraon wezwał Abrahama, pytając, dlaczego nie oznajmiłeś, że Saraj jest twoją żoną, dlaczego mówiłeś, że to siostra?

Nie musimy znać odpowiedzi Abrahama. Faraon kazał odprowadzić ich do Kanaanu. Powrócił praojciec bogaty. Opowieść jest tyleż prosta, co zdumiewająca. Prawdą było, że Saraj była jego przyrodnią siostrą. Abram więc skłamał, ale nie tak bardzo. Najgorsze, że wyparł się Sary jako żony. Swoje bezpieczeństwo postawił przed cnotą małżonki. I został sownie nagrodzony, jakby był jakimś stręczycielem.

Nie wygląda to dobrze, choć podstęp był w kulturach starożytnych wielce doceniany. Ale jak pogodzić postawę praojca z opinią, którą się cieszył i cieszy do dzisiaj? Był sprawiedliwym i chodził z Bogiem, jak czytamy. W literaturze kabalistycznej i midraszowej uchodził za wzór miłosierdzia. Pada w tym miejscu słowo *hesed*, które może też oznaczać „serdeczność”, „pomoc”, „życzliwość”. Tymczasem druga próba nie jest zgodna z tym obrazem Abrahama.

Nasuwać się dwa wyjaśnienia. Po pierwsze, że praojciec nie był pewien, czy jego Bóg będzie z nim w Egipcie. Mógł się obawiać, że pochłona go egipscy bogowie. Dopiero w spotkaniu z Faraonem pojął, że JHWH jest z nim wszędzie, dokąd pójdzie, że stoi ponad wszystkimi kultami i religiami. Po drugie, że Abram uwierzył i przyjął posłannictwo: miał być początkiem ludu liczniejszego niż gwiazdy na niebie. Aby to się ziszcilo, nie mógł zginąć, nawet w obronie niewieściej czystości. To on sam, a nie on z Saraj był wywyższony i w nim czekały swojego błogosławieństwa narody świata. Czy mógł w tej sytuacji być bohaterem? Czy nie musiał się uciec do podstępu?

Wyszedł z opresji bez szwanku. Saraj nie miała do niego pretensji. Stał się bajecznie bogaty i zyskał Hagar, matkę swojego pierwotnego syna Izmaela. Otrzymał wszystkie nagrody nie dlatego, że sam postąpił pięknie, ale dlatego, że Pan – jak obiecał – był i będzie z nim przy każdej próbie. Od wyjścia z Haranu po ofiarowanie Izaaka na górze Moria.

Kolejna próba była próbą zaufania. Bóg rzeczywiście zaufał swemu wybrankowi. Obdarzał opieką. Abram wybrał tymczasem przebiegłość i rozważę. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Boże szczenięta



„JEZUS ODSZEDŁ STAMTĄD I UDAŁ SIĘ W OKOLICE Tyru i Sydonu. Pewna kobieta kanańska, która pochodziła z tych stron, wyszła Mu naprzeciw i głośno wołała: »Zmiłuj się nade mną, Panie, Synu Dawida! Zły duch bardzo dręczy moją córkę«. Ale On nie odezwał się do niej ani słowem. Uczniowie podeszli do Niego i prosili: »Odpraw ją, bo krzyczy za nami«. On odpowiedział: »Przecież zostałem posłany tylko do owiec, które zginęły z domu Izraela«. Ona jednak podeszła, pokłoniła się i prosiła: »Panie! Pomóż mi«. Lecz On odpowiedział: »Nie wypada zabierać chleba dzieciom i rzucać go szczeniętom«. Ona zaś rzekła: »Tak, Panie! Ale i szczenięta zjadają resztki, które spadają ze stołu ich panów«. Wtedy Jezus powiedział: »Kobioto! Wielka jest twoja wiara! Niech więc ci się stanie tak, jak chcesz«. I w tej samej chwili jej córka została uzdrowiona”.

Skomplikowany jest ten fragment Ewangelii. Jezus mówi do apostołów, że nie może zająć się sprawą Kanańskiej, gdyż przedmiotem Jego troski są Hebrajczycy i jakby nie zauważa, że znajduje się na ziemiach zamieszkiwanych przez pogan. Z jednej strony nie gani uczniów za bezdusność, kiedy proszą Go, by pozbył się natrętnej poganki, a z drugiej strony podejmuje z nią rozmowę i w rezultacie spełnia jej prośbę. No i jeszcze te psy, leżące pod stołem i czekające na resztki jedzenia, żeby nie powiedzieć: ochłapy...

Najkrócej mówiąc, Jezus co innego mówi, co innego robi, przynajmniej tak to może wyglądać. Czyżby więc tak miała wyglądać logika Bożego działania? Bożego, jako że „kto Mnie zobaczył, zobaczył także Ojca”, gdyż „Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie”, jak mówi Jezus.

Ta logicznie niezborna sytuacja nie jest jednak czymś wyjątkowym, przydarza się przecież każdemu, kto poważnie traktuje Boga. Pewnie coś z tego przeżywali Adam z Ewą, Dawid po zamordowaniu Uriasza czy Juda z Iskariotu po wydaniu Jezusa. Być może coś podobnego odczuwał komendant Auschwitz-Birkenau Rudolf Höss w celi śmierci, skoro poprosił o spowiedź i wiatyk? Zanim jednak pierwsi rodzice wyjdą z krzaków, w które się schowali przed Bogiem, Dawid zaśpiewa psalmy pokutne, Juda odda srebrniki, a Höss przyjmie komunię z rąk jezuity o. Władysława Lohna, najpierw coś musiało w nich uderzyć i wstrząsnąć mocno i boleśnie do tego stopnia, że całkowicie zaprzeczyli dotychczasowemu sposobowi myślenia i działania. Można rzec, że Duch Święty dotarł do nich i uderzył ich nie tyle kijem, co piekącym ogniem, który w każdym przypadku bywa czym innym. Słowem gorzkiem lub serdecznym, spotkanym w podróży człowiekiem, chorobą albo dyskoteką, czyli wydarzeniem, po którym nic nie będzie już takie samo, a porównanie ludzi do szczeniąt nikogo nie upokorzy. Psy też Bóg stworzył. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Księga Pocieszenia

*Jeśli ukryte zło
zostanie odślonięte,
wówczas doskonale światło
spłynie na każdego.*

EWANGELIA FILIPA



*Miłość jest działaniem,
działanie jest poznaniem,
poznanie jest prawdą,
prawda jest miłością.*

SUFİ RAUF MAZARI



TAK ZWYKLE BYWA ZATytułowany 30. i 31. rozdział Księgi proroka Jeremiasza. Narodowi, który znalazł się w niewoli babilońskiej,

prorok – w imieniu Boga – obiecuje „nowe Wyjście”. Bóg pokona jego ciemności – tak jak wieki wcześniej uczynił to z egipskim faraonem. Oni zaś wrócą do swojej ziemi, odbudują zburzone domostwa (wśród nich również pałace!) i zasadzą od nowa winnice. Pan ich nasyci „zbożem, winem, oliwą, owcami i wołami” (Jr 31, 12). Przede wszystkim odbudują Jerozolimę, a w niej świątynię. Odbudują również struktury państwa – znów będzie nimi rządził władca wywodzący się spośród nich samych. Nastanie radość i powszechne wesele.

Czy nie tak właśnie najczęściej odczytujemy obietnicę odmiany losu narodu wybranego? Jeśli tak, to przegapiamy tym samym jej najważniejsze wymiary.

Po pierwsze, przegapiamy powracającą w tych dwóch rozdziałach z częstotliwością refrenu obietnicę odnowienia Przymierza: „Wy będziecie moim narodem, a Ja będę waszym Bogiem” (Jr 30, 22); i potem: „zawrę z domem Izraela »i z domem judzkim« nowe przymierze (...) Umieszczę swoje prawo w głębi ich jestestwa i wypiszę na ich sercu. Będę im Bogiem, oni zaś będą Mi narodem” (Jr 31, 31-34). Bez odnowienia relacji z Bogiem na cóż się przyda odbudowywanie świątyni; tym bardziej podnoszenie z gruzów domów i pałaców?

Główna rana – przyczyna niedawnej klęski – nie zostanie jednak uleczona. Jak długo potrwa radość zbudowana na powierzchownej diagnozie własnego smutku? Tak. Wyjdą z Babilonu, ale Babilon – nawet pobity i zniszczony przez Cyrusa – pozostanie żywy w nich. Tak. Dokąd pozostaną w duchu bałwochwalcami.

Pan Bóg obiecuje im pociechę, ale nie tanią i naskórkową, lecz sięgającą przyczyn nieszczęścia (Jan Paweł II nazywał to „pojednaniem źródłowym”). Największym darem Boga jest propozycja odnowionego przymierza, a nie domy i pola, wino i woły.

Drugim nierzadko przegapianym wymiarem pociechy Izraela jest obietnica przywrócenia mu jedności. Naród wybrany odrodzi się znów jako wspólnota zgromadzona w jedno państwo (a nie dwa, jak przed niewolą babilońską). Co więcej, odnajdzie tę jedność w praktyce kultu swojego jedynego Boga. Wszyscy – nie tylko mieszkańcy Judei, ale również ci, którzy wrócą na tereny północne – będą razem pielgrzymować do Jerozolimy, a nie do swoich „konkurencyjnych” miejsc świętych.

To znacznie więcej niż obietnica wyrwania się spod tyranii wspólnego zewnętrznego wroga; to obietnica ponownego odkrycia własnej wewnętrznej tożsamości, przeżywanej w pozytywnej i realnej wspólnocie.

To dopiero jest „Księga Pocieszenia [Izraela]”.

Czy tylko Izraela?

©

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 VIII)

20. niedziela zwykła: Iz 56, 1-6-7; Ps 67;

Rz 11, 13-15. 29-32; Mt 15, 21-28;

Poniedziałek: Ez 24, 15-24;

Ps: Pwt 32, 18-19. 20. 21; Mt 19, 16-22;

Wtorek: Ez 28, 1-10;

Ps: Pwt 32, 26-28. 30. 35c-36b; Mt 19, 23-30;

Środa: Ez 34, 1-11; Ps 23; Mt 20, 1-16;

Czwartek: Ez 36, 23-28; Ps 51; Mt 22, 1-14;

Piątek: Ez 37, 1-14; Ps 107; Mt 22, 34-40;

Sobota: Ez 43, 1-7a; Ps 85; Mt 23, 1-12;

21. niedziela zwykła: Iz 22, 19-23;

Ps 138; Rz 11, 33-36; Mt 16, 13-20.

Wybrał PIOTR SIKORA

ICH TRAUMA, ICH SPRAWA

Jadwidze śnił się powrót do pracy. Przy drzwiach do DPS-u oddziałowa – mundurek, czepek, w ręku karta: „Jadzia, mam twój test, znowu jesteś pozytywna”.

TEKST **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI**

ILUSTRACJE **MAGDA WOLNA**

FLASHBACKI, CZYLI NATRĘTNE OBRAZY, wracają na jawie. Do Haliny wraca Niedziela Palmowa, 5 kwietnia. Pod DPS-em karetki. Błyskają „koguty”, a ona pyta sama siebie: „Co się na tym świecie dzieje? Przecież to wygląda jak jakaś wojna”.

Obraz Aleksandry jest już ze szpitala. Gdy go przywołuje, odruchowo kładzie rękę na piersiach. Ona na szpitalnym łóżku, bez tchu, patrzy na okno bez klamki. Przez kilka dni nikt nie zgodzi się tej klamki przynieść.

– Są jak żołnierze, którzy wrócili z wojny. Z początku działa adrenalina,

później wszystko wraca – usłyszałem o personelu bocheńskiego Domu Pomocy Społecznej od dwojga krakowskich psychiatrów w czerwcu: dr. hab. n. med. Macieja Pileckiego, ordynatora oddziału psychiatrii Szpitala Uniwersyteckiego, który był w Bochni w kwietniu, i prof. Barbary



Józefik (ten sam szpital), która wolontaryjnie pomaga kobietom z Bochni.

Czy rzeczywiście są jak żołnierze? Żołnierze słyszą hymn, pochwały, podziękowania; bywają objęci specjalnym systemem pomocy. Do pracowników bocheńskiego DPS-u nikt nie przemawiał. Nikt nie mówił o nich jak o lekarzach czy pielęgniarkach: bohaterki z pierwszej linii frontu.

Za to sąsiedzi omijali je szerokim łukiem. A od dzieci przechodniów zdarzyło im się usłyszeć: „Zaraza idzie”.

Pan Romek może uderzyć

Zanim dojdziemy do flashbacków, rozmawiamy o czasie sprzed kwietnia 2020 r. Pięć kobiet, które zgodziły się rozmawiać, to personel oddziału dla przewlekłe psychicznie chorych, mieszka tam 67 osób. Swego czasu oddziału słynnego – to tam przyjechały w kwietniu z odsieczą siostry dominikanki.

Nie chcą się przedstawiać z nazwisk i funkcji – ze względu na zdrowotne szczegóły, ale też poczucie bezpieczeństwa. Niektóre z nich czują się pozostawione same sobie. Wiek: między młodym a przedemerytalnym. Staż w bocheńskim DPS-ie: od kilku do dwudziestu kilku lat. Zarobki? Okolice płacy minimalnej. Za ubieranie, karmienie, gole-

nie, kąpanie, pampersowanie. Pchanie wózków, dźwiganie bezwładnych ciał. Za uprzążanie ekskrementów z podłogi w łazience. Gdy pytam o trudne momenty w ich pracy, opowiadają np. o mieszkańcach, których – ze względu na rodzaj schorzenia – nie da się wtłoczyć w sztywne ramy współżycia. O kobiecie, której zdarzało się rzucać deskami. O latającym talerzu i fruującym jogurcie, bo komuś coś się nie spodobało. O panu Zdzisiu (imię zmienione – jak pozostałych mieszkańców), który ma zwyczaj dusić, bo tak okazuje uczucia (naprawdę chce objąć albo ucałować).

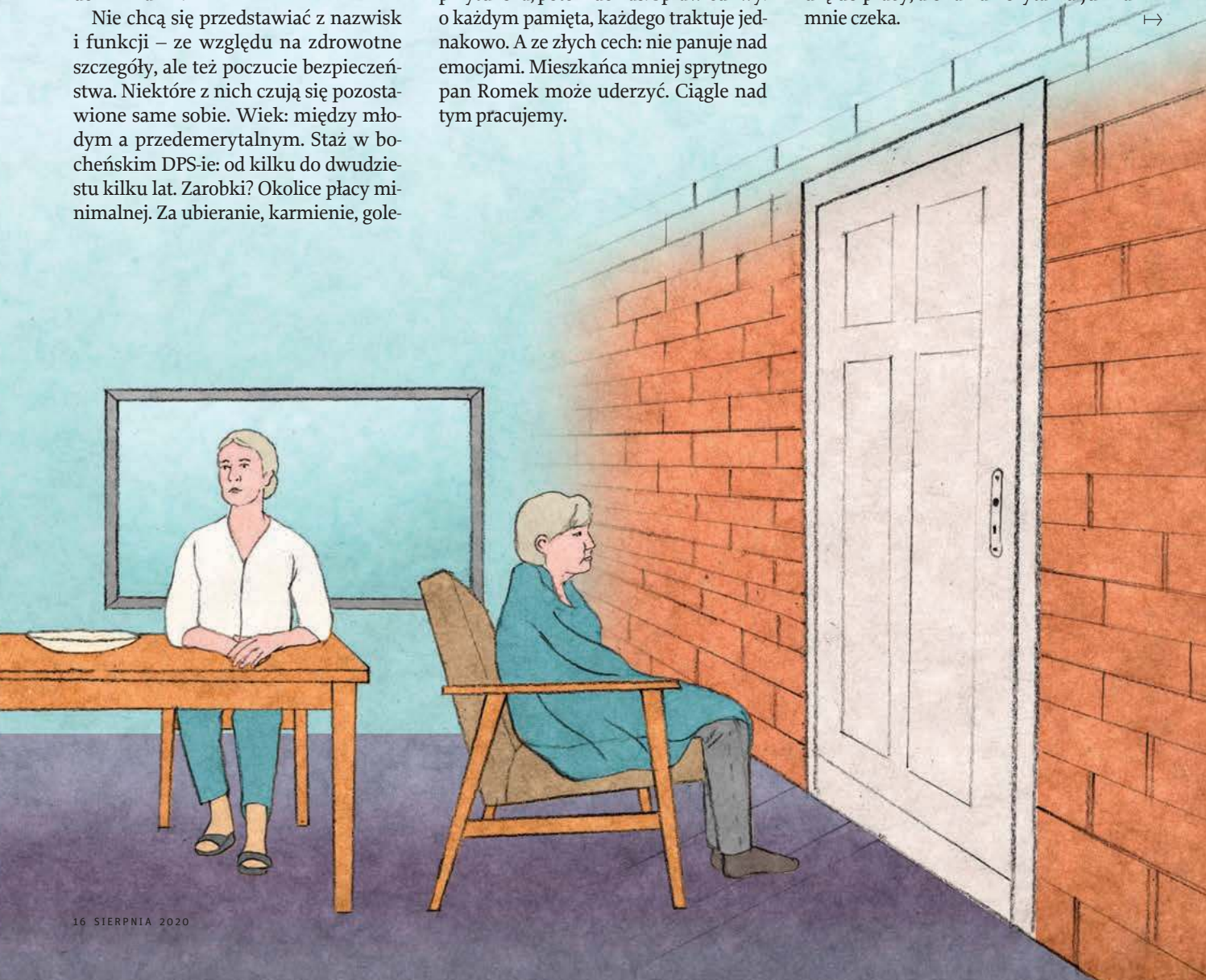
Ale wszystkie mówią o tym miejscu: nasz dom. – Lubimy tę pracę, tych ludzi.

– Ja opowiem o panu Romku – mówi Zofia, gdy proszę każdą z nich o opis jednego mieszkańca (pierwszą rozmowę odbywamy wszyscy razem na wideokomunikatorze). – Pił, stoczył się, trafił do przytuliska, potem do nas. Sprawiedliwy: o każdym pamięta, każdego traktuje jednakowo. A ze złych cech: nie panuje nad emocjami. Mieszkańca mniej sprytnego pan Romek może uderzyć. Ciągłe nad tym pracujemy.

– Raz wyrzuciłam mu kwiatka, to mi się prawie dostało – uśmiecha się Aleksandra. – Kwiatek był suchy, ale on uważał, że jak najbardziej zielony. Obok mieszkają dwaj młodzi panowie. Słuchają go jak ojca. On też ich tak traktuje.

– Jeden jest laureatem konkursów w kręgle – wtrąca Zofia. – Chodzi na treningi, w pokoju cała tablica medali.

– Ja opowiem o Madzi, której już z nami nie ma – mówi Jadwiga, walcząc z łamiącym się głosem. – Niepełnosprawna, z zespołem Downa. Zdarzało jej się podkładać różne rzeczy. Niezłotliwie, to było silniejsze od niej. Chodziła tak sobie po pokojach, a jak jakąś ładną bluzeczkę zobaczyła, to cap. Pewnego dnia koleżanka wyczuła u niej podczas kąpieli guza na piersi. Zaczęło się jeżdżenie po lekarzach. Ciągłe pytała, czy wrócimy do Bochni. Przytulała się, potrzebowała bliskości. Tak zapamiętam Madzię: przychodzę do pracy, a ona na korytarzu już na mnie czeka.



→ – Jeszcze pan Darek – mówi Aleksandra, gdy rozmawiamy już na osobności, kilka dni później. – Po czterdziestce, zanikał mu mózg. Pamiętam te jego duże oczy. I uśmiech, jak się go pogłaskało. Miał choroby współistniejące, zmarł na covid, jako jedyny z naszych mieszkańców w pierwszej fali.

Hydroksyzyna na sen

2 kwietnia, rano. Joanna słyszy od męża: „Nie idź”. Wtedy – nie tak jak dziś – wszyscy się boją, a media trąbią o hiszpańskich i włoskich DPS-ach dziesiątkowanych przez epidemię. I o mieszkańcach zostawianych na zatracenie. Bochnię tydzień wcześniej obiegrała informacja – jeden z księży poszedł na kwarantannę, na zajutrz zmarł.

Joanna do pracy idzie z poczucia obojętności. Do domu wróci za 49 dni.

Aleksandra tego dnia zapisze w zeszyt-pamiętniku: „Mieszkańcy czekali w kolejce po leki, nie wiedzieli, co się dzieje. Byli dziwnie wyciszeni, jak nigdy dotąd”. Zanotuje też, że to „ważna data”. Bo 2 kwietnia 2005 r. umarł papież, którego później – jak mówi, skutecznie – prosiła „o pomoc w uporaniu się z pewną słabością”. – A po piętnastu latach – wspomina – znowu musiałam podjąć ważną decyzję: czy zostanę z podopiecznymi? Zostałam, bo nie mogłam ich zawieść.

Przed godz. 14 telefon. Sanepid informuje, że jeden z mieszkańców, wcześniej przewieziony do szpitala, jest „pozytywny”. Kwarantanna: zaczynają się rozmowy, telefony, ustalenia. Kto zostaje, kto jeszcze może przyjść. Kto do domu, kto się boi („Niektóre dziewczyny miały to w oczach”). Do roboty zostanie ich 12, z ponad 30-osobowej kadry. Do domu ta dwunastka nie wróci – będą spały w DPS-ie.

Kolejni mieszkańcy gorączkują. 3 kwietnia są kolejne „plusy”. Jadwigę – Pana, który okazał się naszym pierwszym przypadkiem, wcześniej kąpałam. Byłam przerażona. Że się zaraziłam i że zaniósłam wirusa do domu, gdzie jest 84-letnia teściowa. Duszo mi się robiło, dosłownie. Miałam problemy ze snem.

Flashback Haliny z 5 kwietnia: – Podjeżdżają te karetki, a ja jakbym w głowę dostała. Zaczęłam strasznie płakać. „Czy my tu poumieramy?” – myślałam. Jeden z mieszkańców wsiadał do karetki, odwrócił się i zaczął machać. Pytał, czy wróci. „Wróci” – mówiłyśmy.

Z tamtych dni wszystkie zapamiętały chaos. I brak sprzętu: na początku były tylko maseczki, rękawiczki i płyn do dezynfekcji. Halina: – Nie było naczyń jednorazowych, wszystko trzeba było dezynfekować. Dopiero potem przyszły pojemniczki.

Zofia: – Dochodziły coraz to nowe obojętności. Dezynfekcja klamek, uchwytów, podłóg. I ograniczenia: to wypełnianie worków na śmieci, to nowe zasady prania. Dobrze, że je wprowadzono, ale dla nas oznaczały dodatkowe obciążenie. Praca stawała się nie do zniesienia. Było jej coraz więcej, ręk coraz mniej, my coraz słabsze.

We wtorek 7 kwietnia pracownice bocheńskiego DPS-u same robią sobie i mieszkańcom kolejne wymazy. Wyniki przychodzą późnym wieczorem na zajutrz. – Byłyśmy już wykąpane – wspomina Zofia. – A tu się okazuje, że kilka z nas, włącznie ze mną, ma wynik dodatni. Płacz, lament, ktoś mówił, że nie pójdzie na dyżur, bo nie da już rady. Ja nie spałam całą noc, mimo że dobrze się czułam. A na zajutrz, przemęczona, poszłam do pracy.

Kilka koleżanek Zofii – tych „pozytywnych” – zabiera tego dnia karetka. Dlaczego ją pomija, nie wiadomo. Pracuje cały dzień. – Tak, wśród zdrowych koleżanek, ale starałam się do nich nie zbliżać, no i za bardzo nie było wyboru, bo nie miał kto tej roboty wykonywać – wspomina Zofia. – Przyszła dziewczyna wieczór, zdenerwowałam się. Czy mi po tylu dniach pracy w takich warunkach nie należy się odpoczynek? Na szczęście wreszcie przyjechała karetka.

Tamten dzień zapamiętała też Joanna. Wiedziała już po objawach, że jest chora. Miała bóle kręgosłupa, zatłoczone górne drogi oddechowe. – Dzień zaczął się płaczem – zapamiętała. – Zadzwończyliśmy do starosty, że już na oddział nie możemy wejść. Ale niektórzy z nas poszli, ja też. Pamiętam ciężką pracę. I telefony. Niby dla otuchy, ale brzmiały jak pożegnania... Wieczorem nie wytrzymałam, zeszłam na dół. Wzięłam na uspokojenie hydroksyzynę, wypłakałam się, uspokoiłam. Tego dnia nie zapomnę.

W piątek 10 kwietnia w bocheńskim DPS-ie jest już tylko kilkoro pracowników. Tego dnia przyjeżdżają siostry dominikanki. „Zakonnice ruszyły na pomoc” – donoszą media, które będą odtąd (całkiem słusznie) przedstawiały tę odsiecz

jako bohaterską. Na temat pracowników DPS-u zapadnie cisza. A nawet (zwłaszcza w internecie) przylgnie do nich etykieta: zostały mieszkańcy.

W tamten piątek do Bochni przyjechał też dr Maciej Pilecki. Lekarze – wśród nich psychiatra, ze względu na profil oddziału – mają ocenić, jaki jest stan pozostających jeszcze tu zakażonych i którzy z nich wymagają hospitalizacji. – Na miejscu okazało się, że brakuje środków ochrony, i że istnieje ryzyko zakażenia kolejnych osób – wspomina Pilecki. – Szybko nabrałem przekonania, że te panie dokonują czynów bohaterskich. Trwały na stanowisku mimo wielkiego ryzyka. Miałem zresztą dysonans: my w pełnym rynsztunku, one bez wystarczającej ochrony...

Dr Pilecki zapamiętał z tej wizyty niepokój: – Gdy zdarzy się jakiś wypadek, zwykle znamy procedury. Przyjeżdża karetka, ratownicy są ci najbardziej zagrożeni. Albo jesteśmy w budynku, gdzie np. pojawia się dym, ale przez okno widzimy straż i miejsce ewakuacji. Innymi słowy, mimo zagrożenia mamy poczucie uczestnictwa w uporządkowanym świecie. W Bochni niczego takiego nie było. Bezprecedensowa sytuacja, dominowało poczucie, że nic nie jest pewne: kiedy panie pójdą do domu, kiedy zajmą się sobą, co w ogóle z nimi będzie.

Jako ostatnie, w nocy z 11 na 12 kwietnia, bocheński DPS opuszczają trzy zakażone pracownice – w tym Aleksandra. Odtąd wszystkie (włącznie z Jadwigą, która o chorobie dowie się na kwarantannie) będą się zmagać z chorobą. Same.

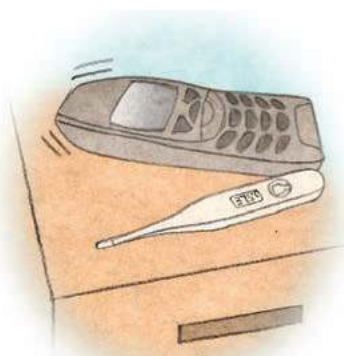
Historia choroby



ZOFIA (44 dni w krakowskim szpitalu):
– Obudziłam się pierwszego dnia z takim bólem głowy,

jakiego nigdy nie miałam. Nie mogłam nawet poprawić włosów. Środków na ból było tak dużo, że uszkodziły mi wątrobę. W którymś momencie dotarło do mnie coś ważnego. Że ja się zatraciłam w pracy, a przecież mam rodzinę. Zaczęłam tak strasznie płakać na tym łóżku. Chciałam księdza. Zadzwoił, zaczął się ze mną modlić. A ja mówię, że umiem się modlić, i że chcę spowiedzi! Powiedział, że w tej sytuacji to jest niemożliwe. To było dla mnie dno psychiczne. Czekałam na śmierć.

Leżałam w tym szpitalu tak długo, że za oknem zdążył się zmienić świat. Jak przyjechałam, nie było liści. Gdy wychodziłam, na drzewach za oknem zieleń była bujna, wybarwiona, wiosenna. Mówi się: mocniejsza grypa. Nigdy nie przeżyłam takiej grypy.



JOANNA (6 dni szpitala, ponad miesiąc izolacji):

– Izolatorium było w krakowskim hotelu. Sama w pokoju, bez możliwości odwiedzin. Obsługa i warunki były OK. Najgorsze, że miałam widok na puste budynki. Wszyscy widzieli ludzi, jakieś sklepy, ja nikogo. Tyle co rano telefon, jak się czuję, jaka temperatura. Nie miałam ciężkiego przebiegu choroby, ale siadałam psychicznie. Pod koniec płakałam, że chcę do domu. Miałam przez telefon rozmowę z psychologiem. Chciałam zobaczyć męża. Pielęgniarki powiedzieli, że to będzie możliwe przez balkon. Ale wtedy się okazało, że jestem wreszcie „ujemna”.



JADWIGA (izolacja domowa):

– Jako jedyna z naszej piątki nie byłam hospitalizowana. Tamte tygodnie spędziłam w domu. Rodzice wzięli do siebie męża i dzieci, zostawiając mi mieszkanie. Pamiętam lęk, że nikogo przy mnie nie ma i że zacznę się dusić. Pierwsze noce przesiedziałam na podwórku... Kładłam się na ławeczce blisko bramy. Myślałam: jak umrę, to tutaj mnie przynajmniej ktoś zobaczy. W dzień nie mogłam funkcjonować, w nocy

spać. Z nerwów jadłam śniadanie na stojąco. Dopiero gdy dostałam leki, sytuacja powoli się unormowała.



ALEKSANDRA (tydzień w szpitalu, dwa w izolatorium):

– Najgorsze były duszności. Nasilały się, gdy patrzyłam na to swoje okno bez klamki. Chodziłam do łazienki, żeby oblewać się zimną wodą. Gdy powiedziałam o tym oknie pielęgniarce, usłyszałam: „Nam też jest duszno”. Potraktowałam to jak kiepski żart, bo akurat my wiemy, co to znaczy praca w trudnych, ryzykownych warunkach. Prosiłam o psychologa, ale jego wizyta nie była wtedy możliwa. Porozmawiał ze mną chwilę lekarz – telefonicznie. Przepisał leki i odłożył słuchawkę. Zapamiętałam też ból głowy, jakby mi ją ktoś rozrywał, i dziwny ból kości.

Nie mogłam leżeć, siedzieć, stać. Każdy dzień zapisywałam w zeszyt. Mogę panu przeczytać fragment z jednej nocy: „Poszłam spać o 22.30, o północy się wybudziłam, o 2.10 jeszcze nie spałam, a o 4.10 byłam już gotowa. Na noc wzięłam hydroksyzynę, rano wstałam otępiła, dziwnie obojętna. Radości życia dzisiaj we mnie nie ma (...) Biorę głęboki oddech, staram się być myślami z wnuczkami”.

Pokłosie

Rozmawiamy w drugiej połowie lipca – ponad trzy miesiące po najcięższym dla nich okresie. Nadal mają problemy ze snem. Są w kontakcie z lekarzami.

Aleksandra, gdy zażyje proszki, pośpi do siódmej, ósmej. Ale wtedy ciężko wstać. – Te głowy nam zostały – mówi. ➔

HALINA (szpital, izolacja, potem znowu szpital):

– Na test po przyjeździe do szpitala czekałam dwanaście godzin! W namiocie, bez jedzenia i picia. Skuliłam się pod ścianą, jakaś pani doktor z kamery mnie wychwyciła: „A pani co tutaj robi?”. W końcu zrobili test – wynik dodatni. Leżąc w szpitalu, prosiłam o wsparcie psychologiczne. Nie doczekałam się. A gdy już wychodziłam, zadzwoniła pani psycholog. Przeprowadziła wywiad, potem zadzwoniła znowu i powiedziała, że jej przykro, ale już nie jestem pod opieką szpitala, więc psychiatra ani psycholog mi nie przysługują.

→ – Po wszystkim się czuję, jakbym już nie była tym samym człowiekiem. I nikt za bardzo nie umie tego zrozumieć. Wstaję rano, zamęt w głowie, brak chęci do życia. Znowu leki. I strach, że tak już zostanie.

Halina: – Boli, jak słysze: „Jak mogły ludzi zostawić?”. A my nikogo nie zostawiłyśmy! Albo na ulicy dziecko mówi do matki: „Zaraza idzie”. Małe miasto, ludzie się znają. I boją, mimo że już dawno nie zarazamy.

Powrót do pracy? Joanna już jest na posterunku. Wróciła tuż przed tym, jak w Bochni pod koniec lipca gruchnęła wieść: w DPS-ie zachorował ponownie ozdrowieniec. Joanna: – Przychodzi myśl: „Czy ja dziś stąd wyjde?”.

Trzy jej koleżanki są na chorobowym. Jadwiga: – To pierwszy mój epizod załamania nerwowego – wizyta w DPS-ie może przywołać wspomnienia. Śnił mi się zresztą ten powrót. Przy drzwiach do DPS-u oddziałowa – mundurek, czeppek, w rękę karta: „Jadzia, mam twój test, znowu jesteś pozytywna”. Ja na to: „Ale jak to, przecież nawet jeszcze nie wróciłam!”. Obudziłam się, już nie spałam.

Zofia pod DPS-em już raz była – na jawie. Wrócił obraz karetek i machających na pożegnanie mieszkańców.

Krzywda zakotwicza w przeszłości

Co dolega pracownikom bocheńskiego DPS-u? Dr Pilecki i prof. Józefik nie chcą stawiać indywidualnych diagnoz, ale przyznają: przynajmniej niektórzy z pań mają objawy zespołu stresu pourazowego. To zaburzenie będące reakcją na skrajnie stresujące sytuacje. Reakcją często opóźnioną: pojawia się, gdy zagrożenie mija. Objawy? – Lęk, bezsenność, zaburzenia koncentracji, powrót obrazów, czyli tzw. flashbacki. One wywołują ponownie lęk, pozornie nieadekwatny do sytuacji, więc często niezrozumiały dla otoczenia – wymienia prof. Józefik.

DPS-y już walczą z wirusem albo zbroją się na drugą epidemiczną bitwę.

Tymczasem kombatancki tej pierwszej cierpią zwykle sami w domach.

Rozmawiamy w lipcu, kiedy jest już po kilku zdalnych spotkaniach z pracownikami bocheńskiego DPS-u. Prof. Józefik prowadzi tę grupę wsparcia, odkąd jej kolega z pracy – psychiatra Andrzej Jurek, który też w ramach ambulatoryjnej opieki leczy niektóre z pań – zaalarmował na wewnętrznej, whatsappowej grupie, że potrzebna jest pomoc. – Obawiam się, że podobne problemy mogą wystąpić w wielu DPS-ach – dodaje prof. Józefik. – I że druga fala epidemii (która być może już trwa) nadejdzie, zanim te panie staną na nogi. W przypadku pracowników bocheńskiego DPS-u jest jeszcze jedno: poczucie, że nie zostały docenione. To poczucie krzywdy, a ona jest destrukcyjną emocją. Krzywda zakotwicza w przeszłości.

Zostałyśmy same

W Bochni krzywda ma jeszcze jeden wymiar. – Zostałyśmy same – mówią.

– Grupa wsparcia to nasza oddolna inicjatywa, powstała z rozpoznania problemu przez konsultującego te panie psychiatrę – przyznaje prof. Józefik. – Niestety, nie ma żadnego systemowego projektu pomocy dla osób, które miały podobne doświadczenia. A sądzę, że skala zjawiska jest duża.

Od marca koronawirus pojawił się w 60 DPS-ach. A zarażone były też inne placówki, choćby Zakłady Opiekuńczo-Lecznicze. Chorowały lub chorują setki mieszkańców i pracowników, było wiele ofiar śmiertelnych. Ostatnie doniesienia mówią o zakażeniu pracownika w DPS-ie krakowskim. Nieco wcześniej wirus zaatakował sąsiadującą z Bochnią Groblę. Gdy kończyliśmy w zeszłym tygodniu pracę nad tym tekstem, było tam już 14 ofiar śmiertelnych.

O telefonach do nich, terapii, szybkiej i bezpłatnej pomocy psychiatrycznej, grupach wsparcia, dostępie do innych lekarzy myśli niewiele.

W Bochni niektóre spośród piątki pracowników DPS-u przyznają, że udało im się dostać do bezpłatnego psychiatry bez kolejki – zaznaczają jednak, że stało się to dzięki znajomościom i uprzejmości dr. Juryka.

Halina: – Zanim pojawiła się ta możliwość, płaciłam 140 złotych za wizytę. W imię czego? Przecież ja tej zarazy nie przyniosłam. Dzwoniłam, próbowałam się dostać do psychiatry z NFZ. Rejestratorka jeszcze wyskoczyła: „A pani wie, ile ludzi czeka?”. Płaciłam też za kardiologa. W sumie jakieś 1500 złotych, niewiele mniej niż moja pensja.

Zofia: – Od lokalnych władz, owszem, usłyszałyśmy: „dziękuję”. Ale pomagali, dopóki byliśmy w DPS-ie...

Od wielu innych pracowników słyszę: lokalne władze nie przewidziały traumy tych, którzy podczas pierwszej fali najbardziej się poświęcili. Co na to starosta bocheński? Adam Korta zapewnia, że jest świadom sytuacji. Przyznaje, że ta pierwsza fala zaskoczyła ich tak jak wszystkich. Twierdzi, że oferował pomoc Powiatowego Centrum Zarządzania Kryzysowego – z psychologiem i psychiatrą włącznie.

Tylko że ta informacja nie dotarła do wszystkich pracowników DPS-u.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej? Zapytałam o pomoc psychologiczną dla kadry placówek. Resort w odpowiedzi na maila informował w pierwszej połowie lipca o dodatkowych środkach na DPS-y, m.in. na dodatkowe wynagrodzenia. I o rekomendacjach, m.in. zaleceniu pomocy psychologicznej dla mieszkańców i pracowników.

„Jednocześnie informuję – pisała pracownica Wydziału Prasowego MRPiPS – że do tutejszego resortu nie wpływają informacje o problemach pracowników domów pomocy społecznej w zakresie zdrowia psychicznego”.

PS. Bohaterki reportażu dziękują za pomoc prof. Barbarze Józefik, dr Joannie Bednarek, dr Annie Dzieży-Grudnik, dr. hab. n. med. Maciejowi Pileckiemu, dr. Andrzejowi Jurykowi i dr. Dariuszowi Franczakowi.



RADIO KRAKÓW Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Jak przekonać większość

KATARZYNA JAŚKO,
BADACZKA AKTYWIZMU:

Trudno znaleźć „właściwą” metodę protestowania. Aktywiści domagają się zmiany, a ona jest trudna, bo wymaga przyznania, że świat jest niesprawiedliwy.

MONIKA OCHĘDOWSKA:

„Zostałyśmy uznane za organizację terrorystyczną” – mówią aktywistki z kolektywu Stop Bzdurom. Czy powieszenie tęczowej flagi na pomniku Chrystusa przed bazyliką św. Krzyża w Warszawie rzeczywiście było aktem przemocy?

KATARZYNA JAŚKO: Nikt nie ucierpiał fizycznie. Celem nie było zastraszenie społeczeństwa. Jednocześnie była to na pewno bardziej radykalna forma aktywizmu niż standardowe demonstracje.

Definicja radykalizmu politycznego zależy od panujących w społeczeństwie norm. Zachowanie, które jest uważane za ekstremalne w jednym kontekście społecznym lub okresie historycznym, może być akceptowane w innych warunkach. Percepcja tego protestu jako radykalnego więcej mówi o normach panujących w społeczeństwie niż o samym proteście.

A co mówi?

Na radykalne działania decydujemy się, im bardziej zależy nam na jakiejś sprawie i w im mniejszym stopniu jesteśmy przekonane, że uda się nam osiągnąć nasze cele w inny, mniej ekstremalny sposób. Także wtedy, kiedy czujemy, że naruszane



Aktywistka wiesza tęczową flagę na figurze Chrystusa przed kościołem św. Krzyża w Warszawie, 29 lipca 2020 r.

→ są nasze wartości moralne, chętniej zaakceptujemy radykalne rozwiązania w celu ich obrony. Szczególnie, jeśli towarzyszą temu oburzenie i gniew. Osoby, które mają poczucie dużej krzywdy i niesprawiedliwości, są bardziej skłonne do sięgania po radykalne środki. Podobnie się dzieje, gdy jakaś grupa jest dehumanizowana, dyskryminowana i upokarzana. Z taką właśnie tendencją mamy obecnie do czynienia w Polsce wobec osób LGBT+.

„Nie przyszło nam do głowy, że pokojowa forma manifestacji jest w stanie obudzić tak dużo tak negatywnych uczuć” – to także słowa aktywistek.

Trudno znaleźć „właściwą” metodę protestowania. Aktywiści domagają się zmiany, a ona jest trudna m.in. dlatego, że wymaga od nas przyznania, że świat jest niesprawiedliwy. To psychologicznie wymagające. Ale oceny działań aktywistów zmieniają się w czasie. Martin Luther King, obecnie niekwestionowana ikona ruchu praw obywatelskich, w swoich czasach nazywany był ekstremistą. Jego protesty w 1961 r. popierało mniej niż 25 proc. Amerykanów.

Do niedawna w Stanach Zjednoczonych toczyły się gorące dyskusje na temat tego, czy klękanie w czasie hymnu przez futbolistę Colina Kaepernicka jest obraźliwe i niepatriotyczne.

Przypomnijmy: cztery lata temu w ten sposób sportowiec wyraził sprzeciw wobec dyskryminacji rasowej i brutalności policji. Mocno zezłościł Donalda Trumpa i szybko przestał grać w lidze NFL.

Wielu odsunęło się od niego. Dziś, po śmierci George’a Floyda, w sytuacji wielotysięcznych protestów i powszechnej refleksji nad problemem systemowego rasizmu, na który Kaepernick zwracał uwagę, coraz więcej osób zaczyna jego metody sprzeciwu legitymizować. A nawet – publicznie żałować, że nie zrobiło tego wcześniej. O ile w 2016 r. mniej niż jedna trzecia Amerykanów uważała, że jest to dopuszczalna forma protestu, teraz jest to już ponad połowa.

Przykład Kaepernicka pokazuje, że kontrowersyjne formy protestu w sytuacji, w której ludzie zaczynają dostrzegać moralną wartość sprawy, mogą się okazać efektywne. Takie poświęcenie to sygnał dla innych: nasza sprawa jest ważna.



ARCHIWUM PRYWATNE

DR KATARZYNA JAŚKO pracuje w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest współautorką książki „Walczyć, protestować, zmieniać świat. Psychologia aktywizmu”.

Jeśli widzimy wobec tego, że aktywistki są gotowe wiele poświęcić, że ryzykują aresztowaniem, ich protesty – w dłuższej perspektywie czasu – mogą się okazać bardziej znaczące, niż nam się dziś wydaje. Badania potwierdzają, że mniejszość może przekonać większość, jeśli jest w swoich działaniach spójna i konsekwentna.

Kilka dni później gest kolektywu Stop Bzdurom powtórzyła prof. Magdalena Pecul-Kudelska. „Chcę sprawdzić, czy policja i prokuratura będzie za ten sam czyn ścigać mnie: heteronormatywną panią profesor w średnim wieku” – napisała w manifestacie.

Użycie siły przez policję w stosunku do pokojowych aktywistów zwiększa poparcie dla tych ostatnich. Takie okoliczności budzą sympatię i współczucie, bo łatwiej jest dostrzec krzywdę i dysproporcję siły pomiędzy uzbrojonym aparatem państwa a bezbronną grupą. Dodatkowo, co nie jest bez znaczenia dla zmiany opinii publicznej, takie sytuacje dłużej wzbudzają zainteresowanie mediów.

Zainteresowanie i pozytywne emocje wzbudzają w ogóle kreatywne formy ak-

tywizmu. Serbski ruch Otpor używał humoru i satyry w walce z reżimem Slobodana Miloševića. Polskim przykładem są akcje Pomarańczowej Alternatywy. Pozytywne emocje są ważne także dlatego, że pozwalają aktywistom podtrzymać zaangażowanie, kiedy sytuacja jest trudna i szanse sukcesu nie przedstawiają się optymistycznie.

Humoru od aktywistek domagał się szef sztabu wyborczego Roberta Biedronia, Tomasz Treła, który uznał, że aktywistki powinny „wyłapać policję” – tak się rzeczywiście stało kilka dni później (wtedy Treła przeprosił na Twitterze). „Jestem zwolennikiem happeningów, które mają dobry smak i pewien dystans” – powiedział portalowi tvp.info, dodając, że środowisko osób LGBT, które jest „uśmiechnięte, otwarte i wykształcone”, nie zdecydowałoby się na taki krok.

W przeszłości różne formy legalnych protestów odrzucano jako naruszające „dobry smak”, niestosowne, obraźliwe. Często kryje się za tym niezgoda na przyznanie, że problem w ogóle występuje. Ale nawet osoby walczące na rzecz tej samej sprawy i zgadzające się co do celów, o które walczą, różnią się w ocenie doboru środków. Oś podziału przebiega właśnie wokół tego, jak bardzo radykalne powinny być działania.

Ruchy społeczne są zróżnicowane i zwykle można wskazać w nich radykalną – zazwyczaj mniej liczącą – flankę i umiarkowane centrum. Z jednej strony mieliśmy np. wspomnianego już Martina Luthera Kinga, z drugiej – Malcolma X. Lęk przed tym, że „radykalni” bardziej zaszkodzą, niż pomogą sprawie, ma podstawy. Taka grupa może ściągnąć na siebie uwagę społeczną i sprawić, że ludzie będą mówić do „umiarkowanych”: „Wszyscy jesteście tacy jak oni”.

Co się wtedy dzieje?

Może spaść poparcie dla całego ruchu. Z drugiej strony może być tak, że ludzie skonstrastują ze sobą obie podgrupy, na czym „umiarkowani” potencjalnie mogliby zyskać. Radykalna flankę może działać jak ostrzeżenie dla uprzywilejowanych grup, które nie chcą zrezygnować ze swojej pozycji: albo zaczniecie współpracować z „umiarkowanymi”, albo będziecie musieli radzić sobie

z nami. Bez Malcolma X prawdopodobnie to Martin Luter King wyglądałby na radykała. Jest to jednak dość ryzykowna strategia.

Ale jeśli nie radykalna flanką, to kto?

Czasem wsparcie przychodzi od innej dyskryminowanej grupy. W latach 80. gejski aktywista Mark Ashton obejrzał relację ze strajku górników, który nie przynosił efektów, i postanowił spontanicznie zorganizować zbiórkę pieniędzy podczas parady w Londynie. Dało to początek działaniu grupy Lesbijki i Geje Wspierający Górników. Z czasem grupy nawiązały współpracę, sojusz oparty na solidarności. Pomoc udzielona górnikom „wróciła” do społeczności LGBT+.

Ta historia, opowiedziana przez Matthew Warchusa w filmie „Dumni i wściekli” (2014), pokazuje, że łatwiej działamy na rzecz innych, kiedy nasze własne doświadczenia pomagają nam zrozumieć perspektywę grupy dyskryminowanej. Potwierdzają to również badania eksperymentalne, w których badacze David Broockman i Joshua Kalla pokazali, że 10-minutowa interwencja zachęcająca ludzi do refleksji nad sytuacją, w której same były traktowane negatywnie z powodu swojej odmienności, pozwoliła zredukować ich uprzedzenia wobec osób transpłciowych.

Poproś o przykłady!

W Stanach Zjednoczonych na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza doko-

Martin Luther King w swoich czasach także nazywany był ekstremistą.

Jego protesty w 1961 r.
popierało mniej niż
25 proc. Amerykanów.

nała się duża zmiana w postrzeganiu małżeństw jedнопłciowych. Jest to największa zmiana opinii w jakiegokolwiek sprawie społecznej od czasu, gdy w ogóle zaczęto badać opinię publiczną w tym kraju. Jednym z powodów był częstszy bezpośredni kontakt – czyli wzrost liczby osób, które w tym czasie zaczęły orientować się, że geje i lesbijki to nie abstrakcyjna grupa, ale przyjaciele, sąsiadki, członkowie rodziny i koleżanki z pracy.

Pozytywne postawy uzyskanych w ten sposób sojuszników przekładają się na chęć działania na rzecz osób LGBT+, chęć pomocy i reagowania w codziennych sytuacjach, w których ktoś je krzywdzi. Słowem: nie muszą się uważać za aktywistkę, żeby nie zgadzać się na to, by ktoś obrażał moją koleżankę, i żeby nie chciała reagować, gdy ktoś to robi.

Dawid Wojtyczka umieścił ostatnio w mediach społecznościowych poradnik, jak być dobrym sojusznikiem i sojuszniczką osób LGBT+. Zawiera on kon-

kretnie wskazówki, jak się zachować w sytuacjach, w których chcielibyśmy pomóc, ale nie wiemy, co zrobić. To ważne, ponieważ czasem wystarczą jedno lub dwa zdania, które możemy zapamiętać, by umieć szybko zareagować. Wysłałyśmy wtedy sygnał do sprawcy, ale i – co być może nawet ważniejsze – do niezaangażowanego otoczenia, że nie zgadzamy się na homofobię. Tak może działać również nakładka na zdjęcie profilowe na mediach społecznościowych, która potwierdza, że przy mnie osoby LGBT+ mogą czuć się bezpiecznie.

I to działa?

Jakaś część naszych znajomych na Facebooku być może zastanowi się, zanim wygłosi w naszym towarzystwie homofobiczne uwagi. A jeśli takich uwag publicznie nie wygłosi, inni ich nie usłyszą – a tym samym krzywdząca norma nie będzie się kształtowała. Oczywiście od samych postów na Facebooku problem nie zniknie.

Zamiast zaczynać od przekonywania zagorzałych przeciwników danej sprawy, czasem warto zacząć od mobilizowania do działania – nawet drobnego – jej sympatyków. Generalnie, im działania są prostsze, tym większa będzie grupa, która będzie gotowa je podjąć. Ludzie, którzy sympatyzują ze sprawą, będą gotowi je wykonać, bo nie będzie to od nich wymagało heroizmu.

© Rozmawiała

MONIKA OCHĘDOWSKA

weź, czytaj! zanim zabraknie

Zamów nasze the best of – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą. **Do kompletu 4 dowolnych wydań piątę dodajemy GRATIS*!**

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”: „Do Betlejem!”, „Moc czytania”, „Polska żydowska”, „Smak wolności”, „Zwierzenia zwierząt”, „Halo, tu Ziemia”, „Moc kobiet”.

TYGODNIK
POWSZECHNY





Długa Luka w Biebrzańskim Parku Narodowym, tuż przy szlaku Green Velo

Kraj w sakwach

TEKST I ZDJĘCIA KRZYSZTOF STORY

Jeszcze 10 lat temu długodystansowe szlaki rowerowe w zasadzie w Polsce nie istniały. Dzisiaj liczymy je w tysiącach kilometrów.

1 sierpnia 2016 r. przy dworcu kolejowym w Raciborzu Marcin Korzonek wsiada na rower. Jedzie na granicę z Czechami, gdzie spędza noc. Sprawdza współrzędne, szuka konkretnego południka. 18°10', półkula wschodnia. Ta jedyna linia jest jego pomysłem na rowerową podróż przez Polskę. Będzie go prowadziła przez najbliższe 18 dni i 766 km. Zasady są proste: od południowej granicy do wybrzeża Bałtyku na wysokości Karwii Marcin nie może oddalić się od wybranego południka na więcej niż kilometr.

19 sierpnia Marcin dojeżdża nad morze. Udało mu się zarejestrować jeden z najnudniejszych śladów GPS w historii podróży. Prosta kreska przez cały kraj. Mimo to „Polska Prosto Rowerem” (tak nazwał projekt) do dziś jest jednym z najbardziej oryginalnych pomysłów na wyprawę rowerową.

Wygodniej już prosto

Projekt Korzonka był niepowtarzalny, jak większość jego podróży rowerowych. Przejechał słynną trasę Manali–Leh w Himalajach i izraelską pustynię Negew.

Na początku roku próbował pobić rekord świata w wysokości, na jaką człowiek podjechał rowerem (startując z 350 m n.p.m.). Na stokach chilijskiego wulkanu Ojos del Salado dotarł na wysokość 5900 m n.p.m. Do rekordu zabrakło 300 metrów.

– Końcowe 25 kilometrów było ekstremalnie trudne – wspomina Marcin. Od-dychałem rozrzedzonym powietrzem, w którym zawartość tlenu jest dwukrotnie mniejsza niż na poziomie morza.

Także „Polska Prosto Rowerem” nie była prostą wyprawą. Południka 18°10' nie wybrał przypadkowo.

– Z pozoru to proste: kupić mapę Polski, wziąć linijkę i narysować kreskę z góry na dół wzdłuż któregoś południka – wspomina. – W rzeczywistości kilka miesięcy zastanawiałem się, sprawdzałem i cyzelowałem trasy. Jeśli na tym etapie pominąłbym dowolną przeszkodę – lotnisko, wielki ogrodzony zakład produkcyjny, poligon – nie udałooby się zrealizować celu.

Większość czasu Marcin przedzierał się przez lasy, pola i bagna. Jechał na tzw.



Małopolski odcinek Wiślanej Trasy Rowerowej

fat-bike'u – rowerze o bardzo szerokich oponach, ułatwiających jazdę w terenie. Czasem musiał przenieść go przez drogę szybkiego ruchu albo przepłynąć się przez wodę. Na takie okazje w sakwach wioził dmuchany ponton i koło, na które pakował rower. Przepłynął w ten sposób cztery jeziora i trzy rzeki. Tylko raz przebił dętkę.

Problem w tym, że podróże takie jak Marcina Korzonka są dostępne dla niewielu. Wielu z nas na rowerze czuje się zwykłymi turystami – lubimy, gdy prowadzą nas przygotowane wcześniej szlaki. A tych do niedawna w Polsce było jak na lekarstwo.

– Jeszcze kilka lat temu mieliśmy tak mało rowerowej infrastruktury, że i tak najwygodniej było po prostu jechać przed siebie – śmieje się Marcin.

Nierówności

Ma rację. Podróżowanie z sakwami wymagało dotąd kreatywności w szukaniu własnej trasy albo olbrzymiej cierpliwo-

ści i wytrzymałości do jazdy drogami wojewódzkimi i krajowymi. Wydzielone, oznakowane i porządnie przygotowane szlaki w zasadzie nie istniały. Pierwszy oznakowała w 2007 r. Dolnośląska Fundacja Ekorozwoju (z której potem wyłoniła się Wrocławska Inicjatywa Rowerowa). Odcinek z Wrocławia do Paczkowa jest częścią europejskiego systemu szlaków Eurovelo.

Poza tym istniał jeszcze szlak R-10 wzdłuż wybrzeża Bałtyku. Prawie 500 km ze Świnoujścia na Hel to do dziś jedna z najpiękniejszych tras w Polsce. Piękne i często wolne od tłumów plaże, zachody słońca i dzikie biwaki. Piaszczyste wydmy, drogi z betonowych płyt i ból szczęki po kilometrach przejechanych na kocich łbach. Pamięta się piękne odcinki w Wolińskim Parku Narodowym i fatalne – prowadzone po ruchliwych nadmorskich drogach. Jednym zdaniem: to szlak piękny, ale bardzo nierówny i czasem uciążliwy.

Wtedy polscy rowerzyści z zazdrością patrzyli na niemieckie i austriackie

szlaki. Słynna Donauradweg, ścieżka wzdłuż Dunaju, do dzisiaj może służyć za elementarz budowy tras rowerowych. Turyści znajdą tam kompletną infrastrukturę, włącznie ze stacjami do ładowania rowerów elektrycznych.

Rewolucja

W Polsce zmiany zaczęły się od jednego projektu – Green Velo. To największa rowerowa inwestycja, ukończona w 2015 r. 1887 km trasy biegnie przez całą wschodnią Polskę, prowadząc przez pięć województw. Od Końskiego w świętokrzyskim do Elbląga w warmińsko-mazurskim.

Prace nad Green Velo trwały prawie 10 lat. Budowano nowe drogi, znakowano przebieg, część ścieżek powstała na nieużywanych już nasypach kolejowych. Ważnym elementem projektu jest infrastruktura. Średnio co osiem kilometrów przy szlaku powstały miejsca obsługi rowerzystów (MOR). Najczęściej to prosta wiata z ławkami i stojakami na rowery, ➔

→ ale czasem również wieża widokowa, toalety czy nawet pole kempingowe. Łącznie – 230 MOR. Przygotowano też listę przyjaznych rowerzystom pensjonatów i agroturystyk.

Green Velo przecina pięć parków narodowych (Białowiecki, Roztoczański, Biebrzański, Wigierski i Narwiański), a jedna trzecia trasy to tereny cenne przyrodniczo. Projekt był jednak często krytykowany, głównie ze względu na wysokie koszty – prawie 275 mln złotych (większość z funduszy unijnych). Zdziwienie budził zwłaszcza budżet kampanii promocyjnej – niemal 25 mln zł.

Wspomnienia

Było warto. Charakterystyczne pomarańczowe tablice Green Velo pierwszy raz zobaczyłem w Józefowie w 2018 r. Towarzyrzyły mi w drodze do Elbląga przez ponad 1200 km.

Jechałem za nimi przez Roztocze i całą Lubelszczyznę. We Włodawie, Chełmie i Janowie Podlaskim. W Puszczy Knyszyńskiej, nad mazurskimi jeziorami i przy zabytkowych mostach kolejowych w Stańczykach. Przez ponad dwa tygodnie bez żalu pozwalałem się im prowadzić. Koncentrowałem się na tym, co dookoła. Na lasach, bocianach i sarnach, na miastach i wsiach. Na opuszczonych chatkach, porannych mgłach i konikach polskich, które przez strugi deszczu obserwowałem gdzieś na drugim brzegu stawów Echo nieopodal Zwierzyńca.

Najczęściej wracam pamięcią do odcinka podlaskiego. Do biebrzańskich bagien i słynnej Carskiej Drogi przecinającej Dolinę Biebrzy, zwanej pieszczotliwie „łosiostradą”. Do bagien i rozlewisk na wysokości Goniądza, do wiecznie zacienionej Puszczy Białowieckiej i do pijacków pod sklepem w Hannie, do przypadkowych spotkań. Do tego, jak wiele daje kilka tygodni życia na szlaku, i do satysfakcji, że w Polsce też może

W zachodniopomorskim w niektórych miejscach liczba rowerzystów zwiększyła się nawet o 126 proc.

w stosunku do ubiegłego roku.

taki szlak istnieć. Pamiętam, że przez kilka dni jechaliśmy razem z Bartkiem. Bartek był nauczycielem angielskiego, poznaliśmy się po drodze. Powiedział, że gdyby nie szlak, nigdy nie wybrałby się w taką podróż.

Proces

Powstanie i sukces Green Velo zachęciły do inwestycji w ten specyficzny rodzaj turystyki także inne regiony. Zaczęło się od wschodu Polski, gdzie Green Velo do dziś pełni rolę kręgosłupa całej sieci tras rowerowych. Coraz lepiej oznaczone i przygotowane pozwalają eksplorować to, co omija główna nitka.

Do tej rowerowej zmiany przyłączyły się też inne regiony. W budowie nowych tras przodują dwa województwa – małopolskie i zachodniopomorskie. W tym pierwszym zaplanowano dziewięć dużych tras rowerowych, z których zbudowano już 438 km, w tym znakomitą większość Wiślanej Trasy Rowerowej. Wzdłuż Wisły można dzisiaj przez całą Małopolskę przejechać po wygodnej asfaltowej nawierzchni. Podobne trasy powstają tu wzdłuż Dunajca i Raby.

W zachodniopomorskim przewidziano 12 tras, z których urzędnicy wybrali cztery główne o łącznej długości 1200 km do realizacji w pierwszej kolejności. To m.in. odcinki nadmorskiego szlaku R-10, które wymagają modernizacji, ale także Blue Velo – od dawna zapowiadany szlak wzdłuż Odry. Województwo zachodniopomorskie jako jedyne zbudowało już większość tej trasy. Na Dolnym Śląsku dopiero miesiąc temu odpowiednie jednostki samorządu podpisały w tej sprawie list intencyjny.

Urzędnicy odpowiedzialni za realizację tras rowerowych w Małopolsce i na Pomorzu Zachodnim podkreślają, że taka

inwestycja jest bardzo opłacalna. Wspieranie długoterminowej turystyki przynosi zyski, a polskie trasy rowerowe stają się popularne wśród Niemców, Austriaków czy Francuzów. Samo Green Velo przyciąga nawet 100 tys. turystów rocznie (nie licząc jednodniowych wycieczek). Cały szlak przynosi ok. 40 mln zł przychodu rocznie.

Największym wyzwaniem dla projektantów szlaków jest pozyskanie terenów. Tras dla rowerów nie dotyczą przepisy tzw. specustawy drogowej, która pozwala szybko wykupić grunt i uzyskać pozwolenie na budowę. Często problemem jest uzyskanie pozwolenia od Lasów Państwowych czy Wód Polskich (a przecież lasy i wały rzeczne są najlepszymi miejscami z punktu widzenia rowerzysty). Dlatego do dziś wiele tras pozostaje w sferze planów – wspomniane już Blue Velo wzdłuż Odry, ale też większa część Wiślanej Trasy Rowerowej czy EuroVelo 9, część europejskiego szlaku łączącego Bałtyk z Adriatykiem.

Przewodnik

Dobrze przygotowane trasy rowerowe w Polsce liczymy dziś w tysiącach kilometrów, a rower spakowany na kilka tygodni nikogo nie dziwi. Renesans rowerów stał się faktem, a tegoroczne wakacje tylko to potwierdzają. Ze względu na niepewną sytuację epidemiologiczną wielu Polaków zrezygnowało z wyjazdu za granicę. Wielu przesiadło się na rower. Efekty widać na punktach pomiarowych w województwie zachodniopomorskim. Z danych Urzędu Marszałkowskiego wynika, że w niektórych miejscach liczba rowerzystów zwiększyła się nawet o 126 proc. w stosunku do ubiegłego roku.

To zupełnie inna forma od turystyki samochodowej, w której poruszamy się od jednej atrakcji do drugiej, przestrzeń pomiędzy obserwując jedynie przez szybę. Z perspektywy roweru zachowujemy ciągłość przestrzeni. Z Green Velo równie dobrze pamiętam Białystok, co Sławatycze, równie mocno przeżyłem Białowieżę, co łąki za Tykocinem. Taka podróż prowadzi nas w miejsca, w których normalnie nigdy byśmy nie przystanęli, i do ludzi, których nigdy byśmy nie spotkali. Dobrze zaprojektowany szlak jest tutaj bezcennym przewodnikiem.

© KRZYSZTOF STORY



KRZYSZTOF STORY będzie gościem Grzegorza Chłasty w środę 12 sierpnia o godzinie 7.30 w Polskim

Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

ANNA

Dziewit-Meller:

Z Reja całkiem Polak



CZYMIŻE BYŁBY NARÓD POLSKI BEZ MIKOŁAJA REJA? Możliwe, że więcej byłoby w nas z geśi niż obecnie, a przecież to byłoby straszne. Żadne bodaj polskie dziecko nie przemknęło się przez system edukacji, nie oddając stosownego hołdu

temu „polskiemu Dantemu”, temu „Brueglowi literatury (polskiej)”, nie przejdzie do ostatniej klasy, nie wiedząc z lektury epigramatów pomieszczonych w tomie „Zwierzyniec”, że „narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie geśi, iż swój język mają”, z innych zaś tekstów, że człowiek poczciwy prowadzi żywot skromny, zacny, a cichy, oczywiście w rodzinnym gronie, najlepiej otoczony hektarami miododajnego, że tak powiem, areálu. Prawdziwy Polak cały jest z Reja.

A tymczasem znów same złe wiadomości. W dobie, gdy polska policja ugania się po kraju w poszukiwaniu osób, które włożyły drzewce tęczowych flag w posmutniałe nagłe pomniki, a redaktor Paweł Lisicki powiada w „Do Rzeczy”, że chyba już pora opuścić Unię, która chce nam odebrać naszą tak cenną arcy-polską moralność, trzeba – choć z bólem, lecz na wszelki wypadek – zacząć lustrować te niby-kryształowe postacie. Gdyż są na tych kryształach, proszę państwa, rysy, a od rys zaczynają się procesy rozpadu najtwardszych nawet skał. Opok.

Uwaga zatem – dawno, dawno temu w Lublinie podczas uroczystości Bożego Ciała niósł ksiądz monstrencję z hostią. Zgodnie z przekazami drogę księdzu zastąpił nagle polski szlachcic, Erazm Otwinowski herbu Gryf, i zażądał, by ten zmówił „Ojcie nasz”, a gdy zlekniiony wypowiedział słowa „któryś jest w niebie”, hrabia Erazm, zatwardziały kalwinista, wrzasnął w geście triumfu: „W niebie! a nie w chlebie!”. Po czym zaczął podważać prawdziwość przekonania katolików o obecności Ciała Chrystusa w niesionej przez księdza monstrencji i ostentacyjnie wydarłszy mu ją z rąk, podeptał hostię i uciekł.

Mogłoby się dziś wydawać nam – przywykłym do stanowczego rozprawiania się władzy z tymi, co zadzierają z usiewconymi symbolami – że w czasach tak zamierzchłych jak wiek XVI bluźnierczego hrabiego Otwinowskiego najpierw

za karę co najmniej włóczono końmi po lubelskim rynku, a potem, wyłupiwszy oczy, spalono triumfalnie na stosie, albo coś w tym inkwizycyjnym fajnym stylu. Niestety, mam złe wiadomości: nic z tego. A winę za to ponosi – przykro mi to mówić – Mikołaj Rej.

Nasz Dante z Nagłowic podjął się bowiem bronić przed sądem bluźniercy i heretyka. I tak go bronił skutecznie, że imię Otwinowski dożył swych dni szczęśliwie w rodzimym Liśniku Dużym, prowadząc po ich kres skromny żywot człowieka poczciwego, za czyn swój odpowiadając jedynie finansowo, a i tu bez jakiegś przesady: za słucone szkło z monstrencji zapłacił grosz, za zniszczoną hostię szeląg, tak by poszkodowany ksiądz mógł odkupić szkło i mąkę konieczną do wypieku.

Jakim torem zatem iść mogło myślenie obrońcy tej zdeprawowanej kalwińskiej zarazą postaci?! Ano właśnie. Torem przerażająco logicznym.

Tym gorzej. Nie wiem, co zrobią teraz dyrektorzy wszystkich polskich szkół imienia Mikołaja Reja, jakim popiołem posypią swe głowy kuratorzy oświaty, ale niechaj narodowie wždy postronni znają, że niestety ów wielki Polak dowodził przed sejmowym sądem (i są na to, niestety, kwity), iż gdyby Bóg poczuł się jakkolwiek przez ohydny występki pana Erazma obrażony, to niewątpliwie w swej wszechmocy byłby w stanie sam załatwić sprawę, rząc drania piorunem na miejscu wydarzenia wzmiankowanego w akcie oskarżenia. Nic takiego jednak się nie zdarzyło, pan hrabia w zdrowiu stał przed ławnikami, jakże więc sąd, złożony z ludzi wszak, a nie istot wyższych, mógłby w ogóle wchodzić tu w jakiegokolwiek kompetencje i ferować wyroki?

Co ciekawe, ów żartobliwy ton obrońcy Otwinowskiego zrobił na sądzie wrażenie. Możliwe, że zdarzyło się tak przede wszystkim dlatego, iż w owe bezpośrednie interwencje Stwórcy wierzone wówczas nieco bardziej niż dziś i ława przysięgłych dała się przekonać, że nic tam po jej wyrokach, skoro sam Najwyższy nie ukarał heretyka. Dziś mogłoby to nie przejść, w końcu mówimy o tęczy, a to nie są żarty, tylko cywilizacja śmierci.

W listach do redakcji przyjmę chętnie donosy na inne kalamające dobre imię narodu postaci z tego niby to panteonu. Zróbmy z tym porządek zawczasu, może nawet piekąc kilka pieczeni na jednym ogniu. Heliocentryczna teoria Kopernika? Czy ona nie jest jednak trochę zbyt śmiała? Może, zdejmując tęczowe zeń flagi, trzeba pomyśleć, czy aby nie zdjąć tam czegoś jeszcze? I odesłać, razem z papierami akcesyjnymi, do Unii. W końcu my nie geśi. A do Reja chodził Trzaskowski. I Staszewski. Kazik. Szach mat, lewaki. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



WIARA

PRZYKŁAD IDZIE Z ANGLII

Lekarstwem na kryzys pedofilski w Kościele katolickim byłaby reforma sprawowania władzy.
Czego można się nauczyć od Kościołów, w których udział w niej mają świeccy?

ARTUR SPORNIAK



*Libby Lane przed katedrą w Yorku
tuż po wyświęceniu na biskupa Kościoła Anglii,
styczeń 2015 r.*

dniowej pod koniec czerwca ukonstytuowała się Kościelna Konferencja Amazonii. Jej powstanie postulował ubiegłoroczny Synod Biskupów poświęcony Amazonii. W punkcie 115. dokumentu końcowego zalecono powołanie „organu biskupiego”, który promowałby synodalność i pomógł wypracować „specyficzny charakter Kościoła tego regionu”. Gdy jednak porównamy postulat z tym, co powstało, dostrzeżemy istotną nowość.

Amazoński eksperyment

Kościelna Konferencja Amazonii nie jest czysto „biskupia” – w jej skład, obok przedstawicieli episkopatów krajów południowoamerykańskich, weszli także świeccy przedstawiciele ludów Amazonii. Jej przewodniczący kard. Claudio Hummes ujawnił, że to sam Franciszek nalegał, aby nie nazywać jej „konferencją biskupią”, tylko „kościelną”, a więc reprezentującą wszystkich. Z kolei jego zastępca – wikariusz należącego do Amazonii peruwiańskiego wikariatu apostołskiego Madre de Dios bp David Martínez de Aguirre Guinea – wprost przyznał, że konferencja będzie eksperymentem. Jej wyniki zostaną później zastosowane w Kościele powszechnym. Obaj są „ludźmi Franciszka”.

Można się domyślać, jaki plan ma papież. Najbliższy synod biskupów (2022) będzie poświęcony synodalności. Do tego czasu Franciszek chce mieć wypracowane synodalne struktury z udziałem świeckich. Jest całkiem prawdopodobne, że papież ostatecznie uczyni świeckich pełnoprawnymi członkami synodu. Jeśli w dalszej kolejności nada synodowi jakieś kompetencje doktrynalne (w tej chwili jest on jedynie ciałem doradczym papieża), świeccy znajdą się w strukturach decyzyjnych Kościoła. Będzie to prawdziwa rewolucja.

Czy pomoże w zażegnaniu obecnego kryzysu? Czy zmniejszy klerykalny podział na dwie rozłączne grupy: kler i świeckich? I czy można liczyć, że ostatecznie utrudni tuszowanie przypadków pedofilii w Kościele?

Tego na razie nie wiemy. Możemy jednak z wczasu przyjrzeć się tym Kościołom chrześcijańskim, w których władzę

ROŻNIE MOŻNA REAGOWAĆ NA ZAPĄSĆ Kościoła katolickiego wywołaną kolejnymi przypadkami tuszowania przestępstw seksualnych dokonywanych przez księży na dzieciach. Można tak, jak polscy biskupi – podejmować kroki, które nie sięgają przyczyn kryzysu. Powołanie abp. Wojciecha Polaka na delegata episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży oraz utworzenie wspierającej ofiary Fundacji św. Józefa to działania ważne, ale leczące jedynie objawy.

Można jak biskupi niemieccy – zatrzymać się i spojrzeć na sytuację z boku. Tym

jest droga synodalna, która na jakiś czas „zawiesiła” hierarchiczny ustrój Kościoła katolickiego w Niemczech – dzięki temu świeccy na równi z biskupami dyskutują m.in. o reformie absolutystycznie sprawowanej w nim władzy. Ten radykalny krok wzbudził niepokój wśród konserwatyistów zainteresowanych zachowaniem *status quo*.

Jest i trzecia droga: można, jak Franciszek, obrać mozolną ścieżkę reform. Z dala od swoich amerykańskich i europejskich krytyków papież przeprowadza ważny eksperyment. W Ameryce Połu-

PHIL NOBLE / REUTERS / FORUM

→ sprawują synody z udziałem świeckich. Jeśli okazałoby się, że Kościoły te w mniejszym stopniu borykają się z kryzysem pedofilskim, hipoteza o klerykalizmie i absolutystycznie sprawowanej władzy jako jego podstawach mogłaby zostać zweryfikowana.

Radzą świeccy

Doktrynalnie najbliższy katolikom jest Kościół anglikański. Ta bliskość związana jest z jego genezą. Kościół anglikański powstał w XVI w. w wyniku zerwania przez króla Anglii Henryka VIII stosunków dyplomatycznych z papieżem (po tym, gdy papież Klemens VII odmówił stwierdzenia nieważności małżeństwa króla z Katarzyną Aragońską). Henryk VIII uczynił się zwierzchnikiem Kościoła. Od tego czasu Kościół Anglii poszedł własną drogą. Dał początek wspólnocie luźno ze sobą powiązanych Kościołów anglikańskich obecnych dziś w 165 krajach i uznających duchowe przywództwo arcybiskupa Canterbury. Biskupi wspólnoty anglikańskiej spotykają się co 10 lat na konferencjach w londyńskim Pałacu Lambeth, jego oficjalnej rezydencji, by wytyczać wspólny kierunek. Ale każdy z Kościołów jest autonomiczny i ma własny system zarządzania. Przyjrzyjmy się tylko najstarszemu z nich – Kościołowi Anglii.

Synodalność jest w nim obecna na wszystkich kościelnych poziomach: krajowym, diecezjalnym i parafialnym. Najwyższą władzę ustawodawczą sprawuje Synod Generalny. Ustanawia on prawo, decyduje o formach liturgii i zatwierdza roczny budżet Kościoła. Liczy obecnie 483 członków. Składa się z trzech Domów. Dom Biskupów tworzy 42 biskupów diecezjalnych i ośmiu wybieranych spośród sufraganów. Do Domu Duchowieństwa należy blisko 200 wybieranych osób. Najliczniejszy jest Dom Świeckich, liczący ponad 200 członków.

Pod głosowanie można składać wnioski grupowe i indywidualne. Warunkiem głosowania wniosków indywidualnych jest zebranie przynajmniej 100 podpisów poparcia od innych członków synodu. Na przykład jeden z ostatnich wniosków indywidualnych przypomina definicję małżeństwa według Jezusa jako „związku seksualnego mężczyzny i kobiety na całe życie” przy jednoczesnym „odrzuceniu strachu lub niechęci do kogokolwiek ze względu na jego orientację seksualną”. Na

Z dostępnych badań wynika, że duchowieństwo anglikańskie jest **w mniejszym stopniu uwikłane** w przestępstwa seksualne wobec nieletnich niż katolickie.

stronie internetowej Synodu pod wnioskiem widnieje 106 podpisów poparcia.

Władzę wykonawczą sprawują biura arcybiskupów Canterbury i Yorku oraz pięć innych kościelnych urzędów, które zajmują się m.in. edukacją, finansami Kościoła czy funduszami emerytalnymi. Władzę duchową sprawują biskupi i wspomagający ich duchowni oraz diakoni. Biskupów, za radą premiera, powołuje królowa Elżbieta II. Z kolei premier wybiera kandydata z listy kilku nazwisk otrzymanej od arcybiskupa Canterbury (obecnie jest nim Justin Welby). Jemu doradza zaś niewielka grupa świeckich. Z poważnych powodów arcybiskup Canterbury może złożyć z urzędu każdego biskupa.

Przyciąganie, odpychanie

Kościół anglikański jest obecny także w Polsce. W Warszawie funkcjonuje parafia należąca do europejskiej diecezji Kościoła Anglii z siedzibą w Gibraltarze. Jej kapelan – ks. David Brown – opiekuje się wspólnotami anglikańskimi w Krakowie, Gdańsku i Wrocławiu. Do parafii należą przede wszystkim cudzoziemcy. Ale przybywa też Polaków. Co ich tu przyciąga?

Historyczka sztuki Magdalena Łanuszka, współpracująca z „Tygodnikiem”, w październiku 2014 r. wyjechała na pięć miesięcy do Yorku, by w ramach projektu digitalizacji brytyjskich zbiorów opracować część obrazów z miejscowej Art Gallery.

– Po przyjeździe wybrałam się do kościoła katolickiego – opowiada. – Akurat trafiłam na mszę trydencką, po łacinie i z księdzem tyłem do wiernych. To

jest ładna msza i mnie jako mediewistce szczególnie odpowiada, ale zupełnie nie było tam poczucia wspólnoty. Znałam to z Polski: każdy przychodzi do kościoła, gdzieś tam staje i odchodzi. Natomiast wystarczyło, że weszłam do katedry w Yorku na mszę anglikańską, by poczuć się tak bardzo u siebie i tak bardzo na miejscu, jak nigdy nie czułam się w żadnym kościele.

Łanuszka dostrzega różnicę w nastawieniu do ludzi i wzajemnych relacji: – Ważną rzeczą jest tzw. herbatka, bez niej trudno sobie wyobrazić nabożeństwo – mówi. – Po nabożeństwie mamy kawę, herbatę, ciastko. W Yorku odbywała się ona we wspaniałym gotyckim kapitułarzu, bo tylko on mógł wszystkich pomieścić. Ujęło mnie to, jak mnie tam przyjęto, jak natychmiast się zainteresowano, że jestem nowa i skąd przyjechałam. Tam nikt nie jest oceniany i odpychany. Pastor stara się zamienić choć kilka słów z każdym, kto przybył na nabożeństwo.

Po powrocie do Polski Magdalena Łanuszka związała się z krakowską wspólnotą anglikańską. Już wcześniej interesował ją ten Kościół. Bliskie jej było podejście do niektórych kwestii doktrynalnych, np. braku celibatu duchownych, kapłaństwa kobiet, liberalnego stosunku do ludzi żyjących w związkach niesakramentalnych, akceptacji antykoncepcji. W tej chwili jest w Krakowie jedną z trzech osób prowadzących modlitwy (*worship leader*).

Także Kościół katolicki jest pod pewnymi względami atrakcyjny dla bardziej konserwatywnych grup anglikanów. „Jako anglikański ksiądz nie miałem żadnego źródła nauczania, do którego mógłbym się odnieść w przypadku jakichś wątpliwości czy problemów – wyjaśniał na łamach „Przewodnika Katolickiego” swoją konwersję ks. Martin Flatman. – Dzisiaj, już jako katolicki ksiądz, mogę wskazać konkretne dokumenty Katechizmu czy soborów, które potwierdzają głoszoną przeze mnie naukę”. Duchowny przeniósł się do Kościoła katolickiego w 1994 r. po tym, gdy anglikanie zaczęli wyświęcać kobiety.

W 2009 r. konstytucją „Anglicanorum coetibus” Benedykt XVI umożliwił tworzenie ordynariatów personalnych dla anglikanów, którzy przeszli na katolicyzm, zezwalając na zachowanie elementów charakterystycznych dla ich duchowego dziedzictwa, m.in. rytów li-

turgicznych i dyspensy od celibatu dla duchownych (ale już nie dla biskupów). Obecnie istnieją trzy ordynariaty obejmujące Anglię wraz z Walią, Stany Zjednoczone oraz Australię, które łącznie liczą 11,6 tys. wiernych i ponad 180 kapłanów.

Skandal i jego skutki

Także Kościół anglikański nie jest wolny od problemu nadużyć seksualnych wobec małoletnich. W ostatniej dekadzie dużym echem odbiła się sprawa Petera Balla, w latach 1977-92 biskupa sufragana w Lewes (hrabstwo East Sussex, południowo-wschodnia Anglia), a w latach 1992-93 biskupa Gloucester. Razem z bratem bliźniakiem założył w latach 60. monastyczną Wspólnotę Chwalebego Wniebowstąpienia. Ponieważ uważał, że Kościół „mięknie”, wprowadził surowe praktyki ascetyczne, m.in. post i samobiczowanie. Jak się później okazało, miały one także charakter sadystyczny – młodzi mężczyźni, modlący się nago w kaplicy, byli przez Balla chłostani. Działo się to głównie w latach 80., gdy bp Ball organizował dla młodych mężczyzn akcję „Podaruj rok Chrystusowi”.

W 1993 r. wobec Balla zostało rozpoczęte śledztwo z podejrzeniem o nadużycia seksualne. Na ten fakt Kościół Anglii zareagował odruchem samoobrony. W akcję poparcia dla bp. Balla włączyli się parlamentarzyści, ministrowie, sędzia Sądu Najwyższego, a także – dzięki protekcji ówczesnego arcybiskupa Canterbury George’a Careya – sam następca tronu, książę Karol. Carey kontaktował się nawet z prokuratorami prowadzącymi śledztwo. Ball uniknął procesu, rezygnując z biskupstwa Gloucester. Śledztwo wznowiono w 2012 r. Ball został skazany na 32 miesiące więzienia (odsiedział 18). Zmarł w 2019 r. Jedną z jego ofiar popełniła samobójstwo.

Jak się okazało, niewielkie hrabstwo East Sussex stało się wylęgarnią pedofilów. W ciągu kilku lat za wykorzystywanie nieletnich na kary od półtora roku do 16 lat więzienia skazano jeszcze dziewięciu księży i diakona.

W marcu 2018 r. dziennik „The Independent” pytał: „W jaki sposób jedna mała diecezja Kościoła anglikańskiego wydała tak wielu księży pedofilów?”. I zwraca uwagę, że bp Ball wykorzystywał swoją pozycję do obsadzania kościel-

nych urzędów ludźmi o podobnym pokroju. W środowisku, w którym wiele osób dopuszcza się przemocy, może istnieć tendencja do normalizowania zła – zauważa gazeta. Notuje także charakterystyczne reakcje: starsi księża więcej troski okazywali sprawcom niż ich ofiarom. Mieli też łatwość w powoływaniu się na chrześcijańską cnotę przebaczenia, „zapominając – ironizuje brytyjski dziennik – że to nie przyjaciele i współpracownicy sprawcy mają wybaczać, ale jego ofiary, jeśli w ogóle”.

Sprawa Balla i śledztwa z nią powiązane wywołały trzęsienie ziemi w Kościele Anglii. Zarówno władze świeckie, jak i kościelne powołały kilka komisji badających sposób załatwiania podobnych spraw. Usprawniono procedury. Ustanowiono osobne instytucje odpowiedzialne za ochronę. Na każdym szczeblu kościelnym – poczynając od parafii – powołano urząd doradcy ds. ochrony małoletnich. Każda osoba pracująca z nieletnimi musi legitymować się dokumentem o niekaralności. Wszyscy duchowni co dwa lata odbywają obowiązkowe szkolenia. Dotyczy to także biskupów i świeckich pracowników. Regularnie prowadzone są też audyty realizacji programu bezpieczeństwa.

– Obecnie każdy biskup musi się liczyć z tym, że za niedopełnienie obowiązków zostanie usunięty z urzędu – mówi ks. David Brown i daje przykład „z najwyższej półki”. – Spotkało to byłego arcybiskupa Canterbury George’a Careya. Z powodu niedopełnienia obowiązków w sprawie bp. Balla obecny arcybiskup Canterbury Justin Welby zakazał mu pełnienia kościelnych funkcji.

Porównanie

W 2014 r. ówczesna minister spraw wewnętrznych Wielkiej Brytanii Theresa May zarządziła tzw. niezależne dochodzenie ws. wykorzystywania seksualnego dzieci (to specjalna instytucja prawa brytyjskiego, stosowana w sprawach szczególnie ważnych i poruszających opinię publiczną). Prowadzący ją zespół opublikował wiele badań dotyczących m.in. związków wyznaniowych – np. porównawczy raport „Wykorzystywanie seksualne dzieci w Kościołach katolickim i anglikańskim” (2017).

Co do skali zjawiska z trzech dostępnych badań wynika, że duchowieństwo anglikańskie jest w mniejszym stopniu uwikłane w przestępstwa seksualne wo-

bec nieletnich niż katolickie. Badanie Johna Jaya wskazało na ok. 4 proc. księży katolickich w USA, zaś raport Królewskiej Komisji w Australii mówi o 7 proc. księży na tym kontynencie. Tymczasem Parkinson i współpracownicy przeanalizowali doniesienia o nadużyciach w Kościele anglikańskim w Australii w latach 1990–2008 i oszacowali, że problem dotyczy „znacznie poniżej jednego procenta duchowieństwa anglikańskiego”. Autorzy brytyjskiego przeglądu wskazują jednak na ograniczenia tych szacunków, przygotowywanych wyłącznie w oparciu o dane dostarczone przez same Kościoły.

Wśród czynników sprzyjających wystąpieniu nadużyć w Kościele katolickim przegląd wskazuje na jego strukturę, zwłaszcza na autonomię biskupów, następnie klerykalizm, czyli wyższość duchowieństwa nad laikatem, oraz brak właściwej formacji do dojrzałego przeżywania seksualności. W Kościele anglikańskim tymi czynnikami są zaangażowanie w prowadzenie instytucji zajmujących się dziećmi (szkół, przedszkoli, sierocińców), społeczny autorytet duchowieństwa oraz odruch ochrony instytucji (np. wpływ doradców ubezpieczeniowych).

W analizie reakcji obu Kościołów wspólna była troska bardziej o sprawców niż ofiary oraz chęć rozstrzygnięcia spraw w obrębie wspólnot i nieangażowania świeckiego wymiaru sprawiedliwości.

Jednym słowem: ze względu na jego strukturalną plastyczność, w Kościele anglikańskim o wiele łatwiej niż w zhierarchizowanym katolickim jest wprowadzać mechanizmy naprawcze, np. prowadząc niezależne audyty czy powołując osobne instytucje skutecznie, a więc z odpowiednim autorytetem dbające o bezpieczeństwo. Łatwiej jest też doprowadzić do usunięcia z urzędu biskupa odpowiedzialnego za nieprawidłowości.

Widać, że problemem w Kościele katolickim jest sposób sprawowania władzy przez biskupów, pozostający praktycznie poza wspólnotową kontrolą. Można byłoby temu zaradzić przez nadanie np. kontrolnych kompetencji strukturom synodalnym z udziałem świeckich. O ile takie w ogóle mogłyby na poziomie diecezji powstać. W każdym razie bardziej synodalnego sposobu funkcjonowania wspólnoty możemy się uczyć właśnie od anglikanów. ©© ARTUR SPORNIAK



TOM BRENNER / REUTERS / FORUM

Demonstracja pro-life przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych. Waszyngton, 4 marca 2020 r.

Misja za wszelką cenę

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

Ks. Frank Pavone to ikona amerykańskiego ruchu antyaborcyjnego. W walce o obronę życia poprze każdego republikańskiego prezydenta. Nawet znanego z sekskandali dwukrotnego rozwodnika Donalda Trumpa.

JEST 26 LIPCA, DO WYBORÓW PREZYDENCJALNYCH w USA zostało sto dni. Ks. Frank Pavone, szef organizacji Priests for Life, wydaje oświadczenie. Píše w nim, że w listopadzie należy poprzeć reelekcję Trumpa, bo ten „stoi na straży konstytucji, rządów prawa i ochrony nienarodzonego życia”. Pavone przestrzega zwolenników ruchu *pro-life*, że jeśli Donald Trump przegra wyścig, a jego miejsce w Białym Domu zajmie Demokrat Joe Biden, w Ameryce nastanie „aborcyjny Holokaust”. Pavone straszy, że polityk nie tylko zniesie restrykcje dotyczące wykonywania aborcji, ale także zniszczy „amerykański naród, rodzinę i gospodarkę”. „Nie jest przesadą stwierdzenie, że wszystko, co udało nam się wypraco-

wać jako Kościół i ruch obrony życia, jest obecnie zagrożone. Przez najbliższe 100 dni czeka nas duchowa walka, a być może nawet wojna domowa” – dodaje.

Posłuszny ksiądz

61-letni Frank Pavone, który podlega władzom diecezji Amarillo w Teksasie, powinien powstrzymać się od tego rodzaju agitacji politycznej. Dwa dni wcześniej w rozmowie z serwisem Catholic News Agency (CNA) ogłosił bowiem, że na polecenie władz kościelnych rezygnuje z aktywnego udziału w kampanii Trumpa o reelekcję. Od stycznia tego roku Pavone był członkiem koalicji Pro-Life Voices for Trump, a od kwietnia zasiadał w radzie doradczej Catholics for Trump. Ce-

lem obu grup jest zdobycie głosów wśród przeciwników aborcji i katolików mieszkających w kluczowych dla wyborów stanach, jak Michigan czy Wisconsin.

Pavone, wycofując się z kampanii Trumpa, powiedział, że jako „posłuszny ksiądz spełnił prośbę przełożonych”. Jednak jeszcze w kwietniu pytany o to, czy ma zgodę biskupa na angażowanie się w działalność polityczną (wymaga tego prawo kanoniczne), przekonywał, że jej nie potrzebuje. Jak tłumaczył, reelekcja prezydenta USA to „sprawa niecierpiąca zwłoki”, a komunikacja z biskupem diecezji Amarillo Patrickiem Zurkiem jest „dysfunkcyjna”. Dodał też, że stara się o przeniesienie do innej diecezji.

Pavone zaszedł za skórę biskupowi Zurkowi już w 2016 r., gdy również zaangażował się w protrumpowską koalicję *pro-life*. Republikanin był w kontrze do Demokratki Hillary Clinton, która opowiadała się za utrzymaniem prawa dopuszczającego w USA aborcję na życzenie. Jak donosił serwis „Washington Examiner”, Pavone podsycił ten ideologiczny spór, wygłaszając protrumpowskie kazania i pisząc w mediach społecznościowych, że Clinton jest zwolenniczką aborcji. Kaznodzieja wzbudził najwięcej kontrowersji na dzień przed wyborami. Na

Facebooku opublikował filmik, na którym widać, jak kładzie na ołtarzu płód usunięty w wyniku aborcji. W komentarzu do szokującego nagrania napisał, że to od wyniku wyborów prezydenckich będzie zależało, czy w „Ameryce w dalszym ciągu będą zabijane dzieci”.

W reakcji na nagranie biskup Patrick Zurek ogłosił, że wszczyna wewnętrzne śledztwo w tej sprawie (jego wyników nigdy nie ogłoszono). W specjalnym oświadczeniu napisał, że film Pavone’a uderza w „godność życia ludzkiego” i stanowi „profanację ołtarza”. Podkreślił również, że przedstawione w filmie treści „nie są zgodne ze stanowiskiem Kościoła katolickiego”, a nikt, kto jest obrońcą życia, nie powinien wykorzystywać do swoich działań ludzkiego płodu. Z kolei Ed Mechmann, dyrektor ds. polityki publicznej archidiecezji Nowego Jorku, zarzucił kaznodziei, że dla celów politycznych „sprofanował ołtarz i naruszył godność ludzką”. Gorzkich słów nie szczędził mu Michael Khan, szef organizacji Right to Life, działającej na katolickim Uniwersytecie Georgetown. Khan powiedział, że kontrowersyjne działania Pavone’a zrażają do ruchu obrony życia „miliony przeciwników aborcji niechętnych kandydaturze Donalda Trumpa”.

Polityka pro-life

Jednak z punktu widzenia ks. Pavone’a, który od 1993 r. przewodniczy antyaborcyjnej organizacji Priests for Life, Trump był kandydatem idealnym. W trakcie kampanii obiecywał, że obetnie fundusze federalne dla oferującej zabiegi aborcji organizacji Planned Parenthood i będzie nominował konserwatystów do Sądu Najwyższego USA. Dla ruchu *pro-life* to bardzo ważne, bo SN ma bezpośredni wpływ na politykę amerykańską, również w sprawie aborcji.

Trump słowa dotrzymał i już na początku prezydentury do Sądu Najwyższego mianował Neila Gorsucha, a jesienią 2018 r. – kolejnego konserwatystę Brett Kavanaugha. W lipcowym wywiadzie dla katolickiego serwisu Crux ks. Pavone pochwalił Trumpa za konsekwencję i dodał, że cieszy się z jego nominacji do sądów federalnych. Trump mianował

około 200 sędziów, wielu z nich to konserwatyści znani z optyki *pro-life*.

Ks. Pavone popiera zresztą każdego republikańskiego prezydenta. Zaproszony w 2004 r. na konwencję Partii Republikańskiej powiedział, że wspiera reelekcję George’a W. Busha z jednego powodu: Republikanin jest zagorzałym obrońcą życia. Jak pisał wówczas dziennik „New York Times”, Pavone i członkowie jego organizacji odwiedzali katolickie parafie na Florydzie i zachęcali wiernych do głosowania na Busha.

Księża-aktywiści wspierali również kandydaturę Johna McCaina (2008) i Mitta Romneya, który w 2012 r. walczył z ubiegającym się o reelekcję Barackiem Obamą. Jak donosił wtedy dziennik „Washington Post”, Pavone zachęcał katolickie parafie, by rozdawały wiernym przygotowane przez jego organizację broszury. Kaznodzieja tłumaczył w nich, dlaczego Mitt Romney jest dla Ameryki lepszy niż Obama. Choć w trakcie kampanii wyborczej Republikanin złagodził swoją antyaborcyjną retorykę, Pavone podkreślał, że Romney nie musi „prowadzić w tej kwestii krucjaty”. Wystarczy, że ułatwi środowiskom antyaborcyjnym „wykonywanie ich pracy”.

W swojej kampanii na rzecz Romneya Pavone zadarł nawet z kard. Timothyem Dolanem, arcybiskupem Nowego Jorku. Kaznodzieja nazwał skandalem fakt, że Dolan zaprosił na coroczny bal charytatywny Baracka Obamę. Prezydenta krytykowano za wprowadzenie przepisów, które nakazywały pracodawcom refundację antykoncepcji w ramach oferowanych polis zdrowotnych.

Próba sił

Ks. Frank Pavone ma na koncie trudne relacje z Kościołem katolickim w USA. Najlepiej pokazuje to jego konflikt z biskupem diecezji Amarillo Patrickiem Zurkiem. Biskup od objęcia diecezji w 2008 r. domagał się większego nadzoru nad 10-milionowym budżetem organizacji Priests for Life. Pavone zbierał wówczas hojne darowizny na budowę seminarium, którego misja skupiłaby się wyłącznie na działalności *pro-life*. Do realizacji planów jednak nigdy nie doszło, a władze diecezji zadawały coraz więcej pytań o finanse. Gdy w 2011 r. wyszło na jaw, że pomimo hojnych darowizn organizacja ma 1,4 mln dol. deficytu, biskup Zurek zawiesił Pavone’a w pełnieniu obowiązków duszpasterskich poza diecezją Amarillo. Kaznodzieja znacznie częściej niż w Teksasie przebywał wtedy w Staten Island koło Nowego Jorku, gdzie mieściła się główna siedziba Priests for Life.

O działaniach wobec księdza-aktywisty biskup Zurek poinformował w liście do biskupów katolickich w USA. Oskarżył w nim Pavone’a o „brak posłuszeństwa” wobec diecezji, a jego organizację nazwał „lukratywnym przedsięwzięciem, które zapewnia niezależność finansową od przewidzianego w prawie kościelnym nadzoru”. Pavone dostał nakaz pozostania na terenie diecezji do czasu wyjaśnienia kwestii finansowych. Kaznodzieja odwołał się jednak od tej decyzji do Watykanu i otrzymał ponowną zgodę na prowadzenie działań poza diecezją Amarillo.

Watykan uznał też, że skoro główna siedziba Priests for Life mieści się na terenie archidiecezji Nowego Jorku, to



Ks. Frank Pavone podczas marszu przeciwko aborcji przed budynkiem Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Waszyngton, 22 stycznia 2009 r.

→ właśnie jej władze będą odpowiadały za jej nadzór. I tutaj również doszło do spięć. Ksiądz odmawiał przeprowadzenia audytu zewnętrznego, czym doprowadził do furii kard. Timothy'ego Dolana. W liście do biskupów w 2014 r. kardynał ogłosił, że zrywa relacje z organizacją Priests for Life. Pavone miał też na pieńku z poprzednimi arcybiskupami Nowego Jorku – kard. Edwardem Eganem i kard. Johnem O'Connorem. Obaj byli jego przełożonymi, zanim w 2005 r. został inkardynowany do diecezji Amarillo. To ze względu na konflikt z kard. Eganem starał się o przeniesienie.

Trzy wyjątki

Już 20 lat temu ks. Pavone dowiedział, że ceni sobie niezależność i nie boi się wywoływać kontrowersji. Zwolennicy ruchu *pro-choice* zarzucali mu, że afiszuje się z sympatią dla aktywistów, którzy w latach 80. i 90. organizowali protesty pod klinikami aborcyjnymi. Szerokim echem w 2000 r. odbiła się publikacja „Our Media is the Streets”, w której Pavone pochwalał działania Josepha Scheidlera, współtwórcy inicjatywy Operation Rescue. Jej członkowie blokowali wejście do klinik aborcyjnych, przykuwając się do drzwi. Zastraszali też pracujący tam personel medyczny.

Ks. Pavone wzbudził też wśród liberałów gniew wypowiedzią na temat śmierci George'a Tillera. Lekarz znany z dokonywania tzw. późnych aborcji został zastrzelony w maju 2009 r. przez działacza *pro-life*. Pavone zastrzegł, że nie pochwała zabójstwa Tillera, ale podkreślił, że „wszelkie próby poluźniania przepisów w sprawie aborcji [przez Demokratów – red.] mogą prowadzić do kolejnych aktów przemocy”.

W maju 2019 r. kaznodzieja wywołał opór wśród niektórych członków Partii Republikańskiej. Chodziło o zatwierdzoną przez Senat Alabamy ustawę niemal całkowicie delegalizującą aborcję, nawet w przypadku gwałtu czy kazirodztwa. Tuż po głosowaniu ks. Pavone i kilkunastu aktywistów napisał list do Krajowego Komitetu Partii Republikańskiej. Apelowali w nim, by Republikanie wspierali inne projekty stanowe zakazujące aborcji w przypadku kazirodztwa czy gwałtu. Jak argumentowali w liście: „Mamy świadomość, że to trudne zagadnienie, ale uważamy, że wartość życia

ludzkiego nie zależy od okoliczności, w jakich zostało poczęte”.

Od stanowiska aktywistów *pro-life* zdystansowali się lider Republikanów w Senacie Mitch McConnell i Donald Trump. Prezydent pisał na Twitterze, że aborcja powinna być legalna w przypadku gwałtu, kazirodztwa i zagrożenia życia matki.

Czas to powtórzyć

Ustawa antyaborcyjna z Alabamy została tymczasowo zablokowana przez sądy federalne. obrońcy życia liczą, że po długiej batalii sądowej – te lub podobne restrykcje uchwalone w innych konserwatywnych stanach – trafią pod obrady Sądu Najwyższego USA. Aktywiści mają też nadzieję, że jeśli Trump zdobędzie reelekcję, przy najbliższej okazji nominuje kolejnego konserwatywnego kandydata na sędziego SN. Tym bardziej że Republikanie ostrzą zęby na ewentualny wakat po Ruth Bader Ginsburg. Sędzia z liberalnego skrzydła i ikona feminizmu ma 87 lat, cztery razy chorowała na raka, a ostatnio znów trafiła do szpitala.

Ks. Frank Pavone skomentował ten fakt na Twitterze, pisząc, że modli się o jej zdrowie, ale uważa, że jej przejście na emeryturę będzie dobre dla kraju. Kaznodzieja modli się też za pomyślność kampanii Donalda Trumpa. W jednym z tweetów chwalił się, że odmówił z tej okazji różaniec, po czym dodał: „czy któryś z dziennikarzy i fałszywych katolickich liderów ma z tym problem?”.

Na trzy miesiące przed wyborami nie ma dnia, by ks. Pavone nie zalewał internetu protrumpowskimi tweetami. Ostatnio opublikował swoje zdjęcie, na którym ma koloratkę i biały T-shirt z napisem „Catholic for Trump”. Jak dodał w komentarzu: „To zdjęcie zrobiono w siedzibie sztabu Trumpa w 2016 r., na kilka dni przed historycznymi wyborami. Czas to powtórzyć!”. Ks. Pavone nie musi nawet nic o Trumpie pisać. Wystarczy spojrzeć na jego zdjęcie profilowe na Twitterze: uśmiechnięty od ucha do ucha pozuje, trzymając w uścisku dłoń prezydenta USA.

Bo jak przekonywał już w 2004 r. na konwencji Republikanów: „Czy to nie wspaniałe, że istnieją księża, którzy nie boją się angażować w politykę?”.

© MARTA ZDZIEBORSKA



Czy Bóg jest mściwy

JÓZEF MAJEWSKI

Ci, którzy podczas pandemii w cierpieniu ludzi widzą karę Bożą, mają pod ręką całkiem sporo argumentów biblijnych. Czy jednak Pismu Świętemu zawsze można ufać?

NA JEDNEJ Z KATOLICKICH STRON INTERNETOWYCH ktoś pod adresem pewnego teologa, specjalisty od trudnych spraw wiary, wyraził niepokój z powodu treści niektórych maryjnych pieśni kościelnych: „Nie mogę się pogodzić ze słowami z pieśni »Serdeczna Matko«:



Współczesne ofiary plagi wojny. Jazydzi uciekają przed przemocą ze strony Państwa Islamskiego. Sindżar, Irak, sierpień 2014 r.

być uważane za stwierdzone przez Ducha Świętego, należy zatem uznawać, że Księgi biblijne w sposób pewny, wiernie i bez błędu uczą prawdy, jaka z woli Bożej miała być przez Pismo Święte utrwalona dla naszego zbawienia” (Konstytucja dogmatyczna o Objawieniu Bożym, nr 11).

Pismo Święte na zawsze pozostaje normą, która normuje wiarę Kościoła – jest, mówiąc językiem tradycyjnej teologii, *norma normans non normata*, normą normującą nienormowaną. Jak zatem rozumieć objawioną naukę o bezbłędności i normatywności Biblii w kontekście biblijnych obrazów Boga niemiłosiernego, ziejącego śmiercią i zniszczeniem?

Kto miażdży cierpieniem?

Zacznijmy od tego, że już całkiem dawno minęły czasy, gdy wszystkim informacjom z Pisma Świętego przypisywano w Kościele bezbłędność, a za odkrywanie w nim uchybień groziły kary, włącznie ze spaleniem na stosie. Nie wszystko w Biblii musi być bez błędu. Dotyczy to np. wiadomości o sprawach będących przedmiotem nauk świeckich. Możemy więc spotkać tam błędne dane dotyczące tego, czym zajmuje się biologia, historia, geografia, kosmologia, matematyka czy fizyka. Biblia nie jest podręcznikiem żadnej z tych nauk. Sprawy te wyjaśnił już w V wieku św. Augustyn, biskup Hippony, w debacie z niejakim Feliksem, manichejczykiem. Obaj spierali się m.in. o to, jaką prawdę miał na myśli Chrystus, gdy w Ewangelii Jana zapowiedział przyjście Ducha Świętego, Pocieszyciela, który „doprowadzi was do całej prawdy” (16, 13).

Manichejski nauczyciel upierał się, że chodzi tu o każdą prawdę, również jak najbardziej świecką, choćby na temat przyrody i kosmosu, np. o tym, „dlaczego jest dzień i dlaczego noc”. Augustyn ripostował: Jezus nie powiedział: „poślę wam Parakleta, który pouczy was o biegu słońca i księżyca. Przecież pragnął uczynić nas chrześcijanami, a nie astronomami”. Biskup Hippony dodał, że w sprawie biegu słońca i księżyca „wystarczy, żeby ludzie poznali to dla własnego pożytku, czego nauczyl się w szkole”. Niestety, w Kościele na długie wieki zapomniano o przesłaniu

»Lecz kiedy Ojciec rozgniewany siecze, szczęśliwy, kto się do Matki uciecze«. Przecież to naiwność (i obraza boska) sądzić że Maryja, która jest tylko Bożym stworzeniem, jest bardziej miłosierna niż Bóg”. W pełni zgadzam się, że to naiwność, a jeszcze bardziej – że to obraza boska. Co jednak na to miał do powiedzenia ów teolog?

Teolog w odpowiedzi napisał: „Ale takie właśnie »gorszące« obrazy znajdują się w Piśmie Świętym! Proszę spojrzeć na obraz rozgniewanego Boga i miłosiernego Mojżesza: »Postanowił ich wytracić, gdyby nie Mojżesz, Jego wybraniec: on wstawił się do Niego, aby gniew Jego odwrócić, aby ich nie zniszczył« (Ps 106, 23)”. Zda się wynikać z tego wniosek, że skoro takie obrazy Boga występują w Biblii, to nie ma co się nimi gorszyć, tylko trzeba – za radą tego samego teologa – „coś pożytecznego dla naszej wiary (...) zrobić z tym faktem”.

Co zatem pożytecznego można zrobić z faktem biblijnych obrazów Boga rozgniewanego, wytracającego, zabijającego,

niszczącego, niemiłosiernego, a przynajmniej mniej miłosiernego niż (niektórzy) ludzie? Wyznam, że nie mam pojęcia! Wiem jednak, że obrazy te nie tylko niepokoją i gorszą, ale także – jak żadne inne argumenty – na ostrzu noża stawiają pytanie o bezbłędność Biblii. Wypada zaś podkreślić, że doktryna o tej bezbłędności należy do depozytu wiary, co znaczy, że jej odrzucenie jest herezją, która wyklucza z Kościoła.

Przypomniał o tym kard. Joseph Ratzinger w komentarzu do listu apostołskiego Jana Pawła II „W obronie wiary” (1998), gdzie mowa o trzech kategoriach kościelnego nauczania: objawionego, ostatecznego i autentycznego (szerzej pisałem o tym w tekście „Wiara stopniowana” w „TP” 16/2020). Odrzucenie tylko i wyłącznie nauczania objawionego jest równoznaczne z herezją. Przyszły papież nie w każdym punkcie swego komentarza był przekonujący, w tym jednak powołał się na Sobór Watykański II: „Ponieważ więc wszystko, co twierdzą autorzy natchnieni, czyli hagiografowie, winno

→ Augustyna, obstając przy totalnej bezbłędności Pisma Świętego, co doprowadziło do wielu ludzkich tragedii oraz konfliktu między Kościołem a nauką, z którego na dobre nie potrafimy otrząsnąć się do naszych czasów.

Tak więc doktryna o braku błędów w Piśmie Świętym ma granice. Można w nim znajdować uchybienia w obszarze zagadnień, którymi para się nauka, i pozostawać wiernym tej doktrynie Kościoła. Czy to samo możliwe jest także w wypadku spraw wiary, zatem tych – jak uczy Sobór Watykański II – „dla naszego zbawienia”? Wydaje się, że nie – ale pomyślmy w tym kontekście o wizji Boga palającego zemstą i rażącego zniszczeniem, a konkretnie np. o Jego obrazie w tzw. Czwartej pieśni o cierpiącym Słudze Jahwe w Księdze Izajasza (rozdział 53). Dlaczego ów wierny Bogu nie winny człowiek cierpi ogromne męki? Odpowiedź Izajasza brzmi: ponieważ „Spodobało się Jahwe zmiążdżyć Go cierpieniem” (wiersz 10).

Właśnie tak brzmi tłumaczenie tego fragmentu, które już od dawna budzi niepokój. „Przekład ten sugeruje – pisze Wacław Hryniewicz – że to sam Bóg »miazdzy cierpieniem« swojego Sługę, gdyż taka jest Jego wola i Jego upodobanie! Jakie uczucia mogą budzić w człowieku, zwłaszcza cierpiącym niewinnie, tego rodzaju słowa? Czy nie naraża się go w ten sposób niepotrzebnie na bunt i bluźnierstwo”? Żeby uchronić wiernych przed buntem i bluźnierstwem, niektórzy współcześni tłumacze Księgi Izajasza starają się „wykorzystać” językowe niejednoznaczności hebrajskiego tekstu, odkrywając w Czwartej pieśni sens zgoła odmienny od powyższego: „Pan znalazł wszakże upodobanie w swoim zdruzgotanym (Słudze), ocalił tego, który oddał swe życie na ofiarę pojednania” (Hryniewicz).

Ja stwarzam zło

Zaiste, tekst tradycyjnego tłumaczenia Pieśni o słudze Jahwe brzmi przerażająco: wszechmocny Bóg z upodobaniem łamie, miazdzy ludzką trzcinę. Być może rzeczywiście językowe niejasności pozwalają na inny przekład, uwalniający Boga od zupełnie „nieboskich” znamion. I rzecz jasna, jeśli to tylko możliwe, nowe tłumaczenia kłopotliwych czy bulwersujących tekstów Biblii są konieczne. Z pieśnią Izajasza (chyba) da się to zrobić. Czy jednak da się uczynić tak samo np. z całą

Jakkolwiek byśmy się starali, całej Księgi Hioba i wielu innych partii Pisma nie da się przetłumaczyć w duchu przyjaznym Bogu.

Księgą Hioba, w której Bóg w swojej grze z Szatanem igra ludzkim życiem, razi człowieka niewiarygodnym cierpieniem i nieszczęściem?

Wiele wskazuje na to, że rację miał Carl G. Jung, który w swojej słynnej „Odpowiedzi Hiobowi” maluje obraz Boga tej Księgi w bardzo ciemnych kolorach: „Zaprawdę, nie można nazwać budującym widoku Jahwe bez namysłu wydającego swego wiernego sługę na łup złego ducha, beztrosko i bezlitośnie pozwalającego Hiobowi pograć się w otchłani fizycznych i moralnych cierpień. (...) Jahwe nie okazuje żadnych skrupułów, żalu czy współczucia, lecz jedynie bezwzględność i okrucieństwo”.

Jakkolwiek byśmy się starali, całej Księgi Hioba nie da się przetłumaczyć w duchu przyjaznym Bogu. Nie da się zrobić tego samego i z wieloma innymi partiami Pisma Świętego. Przywołajmy jeszcze raz Księgę Izajasza, gdzie na kilka rozdziałów przed Czwartą pieśnią Bóg mówi: „Ja tworzę światło i stwarzam ciemność, / daję pomyślność, ale i stwarzam zło” (45, 7). Podobne słowa znajdują się w Księdze Syracha: „Dobro i zło, życie i śmierć, / ubóstwo i bogactwo od Pana pochodzą” (11, 4). I u proroka Amosa: „Czyż zdarza się w mieście nieszczęście [dosłownie: zło], / by Pan tego nie sprawił?” (3, 6).

W świetle tych słów trudno się dziwić, że zło wojen wybucha z rozkazu Jahwe. Bóg wręcz nazywany jest „mocarzem wojny” (Wj 15, 3), „Bogiem wojsk izraelskich” (1 Sm 17, 45). Bóg niemiłosiernie niszczy wrogów Izraela: „[Tejże samej nocy] wyszedł Anioł Pański i pobił w obozie Asyryjczyków sto osiemdziesiąt pięć tysięcy. I oto rano, gdy trzeba było wstać, wszyscy oni byli martwi” (Iz 37, 36). Podobne nieszczęścia z ręki Boga spadają na Izrael: „Wówczas zapłonął gniew Pana przeciwko Izraelitom, tak że wydał ich w ręce ciemnych, którzy ich złupili (...). We wszystkich ich poczynaniach ręka

Pana była przeciwko nim na ich nieszczęście, jak to Pan im przedtem zapowiedział i jak im poprzysiągł” (Sdz 2, 11-15). Trudno się dziwić, że autor Drugiej Księgi Królewskiej pisze: „Patrząc! To nieszczęście pochodzi od Jahwe. Dlaczego mam jeszcze nadzieję pokładać w Jahwe?” (6, 33).

Pomyślmy o Drugiej Księdze Samuela: „Zesłał więc Pan na Izraela zarazę od rana do ustalonego czasu. Umarło wtedy z narodu od Dan do Beer-Szeby siedemdziesiąt tysięcy ludzi” (24, 10-15). I przywołajmy jeszcze Pierwszą Księgę Samuela, gdzie Bóg mówi do Saula: „Dlatego teraz idź, pobijesz Ameleka i obłożysz klątwą wszystko, co jest jego własnością: nie lituj się nad nim, lecz zabijaj tak mężczyzn, jak i kobiety, młodzież i dzieci, woły i owce, wielbłądy i osły”. Potem Saul wykonał Boży rozkaz, ulitował się jednak nad pewnymi ludźmi, ale jego litość nie spodobała się Panu: „Żałuję tego, że Saula ustanowiłem królem, gdyż ode mnie odstąpił i nie wypełnił moich przykazań” (rozdział 15).

Przytoczone (i nieprzytoczone) fragmenty Pisma Świętego od początku budziły interpretacyjne i duchowe rozterki wierzących. Zdarzało się, że niektórzy wręcz odrzucali natchniony charakter takich części, a nawet całego Starego Testamentu, pozostając jedynie przy Nowym. Kościół jednak zawsze uznawał natchniony i objawiony charakter nie tylko Drugiego, ale także Pierwszego Testamentu. Dla chrześcijanina rozwiązanie problemu biblijnych obrazów przerażającego Boga poprzez odrzucenie jakiejś części Biblii nie wchodzi w rachubę. Całe Pismo Święte jest normą wiary! Czy oznacza to jednak, że każdy obraz Boga w nim występujący również jest normatywny? Otóż, o ile Biblia jest dla wiary normą normującą, o tyle nie jest tak w wypadku bezwzględnie każdej biblijnej wizji Boga, nawet jeżeli wizję taką kreśli przed nami, pod piórem hagiografa, w pierwszej osobie sam Jahwe.

Ludzkie błędzenie

Biblia – taka jest wiara Kościoła – będąc w całości dziełem Boga (*causa principalis*, przyczyna główna), w każdym calu i pod każdym względem jest również dziełem ludzi, konkretnych ludzi (*causa instrumentalis*, przyczyna narzędziowa). Sobór Watykański II tak to ujął: „W Piśmie Świętym więc objawia się (...) przezdziwne »zniżenie się« wiecznej Mądrości, »abyśmy uczyli się o niewysłowionej do-

broci Boga i o tym, jak bardzo dostosował się On w mowie, okazując przezorność i troskliwość względem naszej natury». Bo słowa Boże, językami ludzkimi wyrażone, upodobniły się do mowy ludzkiej, jak niegdyś Słowo Ojca Przedwiecznego, przyjąwszy słabe ciało ludzkie, upodobniło się do ludzi” (Konstytucja o Objawieniu Bożym, nr 13). Oznacza to, że w Biblii nie ma ani jednego słowa, które byłoby „czystym” słowem Boga, słowem, które nie poddawałoby się ludzkim uwarunkowaniom.

W Piśmie Świętym to, co Boskie, kieruje się ku ludziom zawsze w tym, co prawdziwie ludzkie. A jeżeli tak, to Słowo Boże, „wcielając się” w słowo ludzkie, zarazem bierze na siebie wszystko to, co wiąże się z ludzką kondycją, włącznie – oczywiście – ze wszystkimi ograniczeniami właściwymi człowiekowi: z historycznością, przemijalnością, śmiertelnością, grzesznością, słabością, omyłnością, błędzeniem. Z ludzką skończonością. Innymi słowy, natchnieni przez Ducha Świętego autorzy nie przedstawiali na czas pisania swych dzieł być ludźmi z krwi i kości, wpłatanymi w szczególne i konkretne historyczne, kulturowe, społeczne, rodzinne, osobowościowe czy poznawcze sieci uwarunkowań, które bardzo realnie określały możliwości i sposoby pojmowania misterium Boga.

Stąd spotykamy na kartach Pisma Świętego np. różne czy nawet bardzo różne obrazy Boga, odzwierciedlające konkretne i ograniczone możliwości, czasami bardzo mizerne, konkretnych ludzi. Niektóre obrazy mogą podlegać ludzkim ograniczeniom w tak wielkim stopniu, że zamiast odsłaniać Boga, radykalnie zakrywają Jego oblicze.

Wszystko to oznacza, że nie każdy obraz Boga w Biblii musi być automatycznie traktowany jako norma dla wiary, przy czym nie oznacza to, że sama Biblia tym samym przestaje być dla niej normą. Pismo Święte zawsze ma normujące znaczenie dla chrześcijaństwa, niemniej uczestnicząc w ludzkich ograniczeniach, domaga się właściwej, uwzględniającej te ograniczenia interpretacji.

Ogień Paschy

Oczywiście przyjęcie możliwości występowania w Biblii nienormatywnych obrazów Boga samo w sobie nie unieszkodliwia przerażającej wymowy fragmentów, które ukazują Go jako zięjącego gnie-

Tylko te obrazy Boga mogą być normą dla wiary, które zdołają przejsć przez ogień krytyki Paschy Chrystusa.

wem. Poza tym można zapytać: a jeśli Bóg rzeczywiście właśnie taki jest? Skąd wiadomo, że nie jest? Przecież inne biblijne obrazy Boga – miłosiernego, łaskawego, współcierpiącego z cierpiącymi, pocieszającego i litościwego, również podlegały konkretnym „nieboskim” uwarunkowaniom historyczno-kulturowym, każde słowo ich autorów także nie jest i nie może być nagim słowem Boga. Doprawdy wszystko, co zawiera się w Piśmie Świętym, jest słowem zupełnie ludzkim. Rozstrzygnięcie, które z tych różnych obrazów nazbyt radykalnie zakrywają prawdziwe oblicze Boga, w istocie zależy od odpowiedzi na pytanie: jak rozumiemy bezbłędność Pisma Świętego? Można je sformułować i w taki sposób: jak należałoby rozumieć tę bezbłędność, gdy przyjąć możliwość błędzenia konkretnego autora biblijnego w sprawach wiary? Jedno jest tutaj pewne: święte teksty w nieunikniony sposób prowokują tego rodzaju pytania.

Interesującą i bardzo ważną w naszym kontekście odpowiedź na postawione pytanie zaproponował Norbert Lohfink, katolicki biblista z Niemiec. Uważa on, że bezbłędności Pisma Świętego nie należy rozumieć w takim sensie, jakoby przysługiwała ona niezależnym od siebie autorom poszczególnych ksiąg czy fragmentów (np. Izajasza, Koheleta, Hioba). Jego zdaniem bezbłędność ta nie przysuguje również poszczególnym księgom, traktowanym oddzielnie, samoistnie. Pojęciem bezbłędności w sensie właściwym możemy natomiast posługiwać się tylko w odniesieniu do Pisma Świętego jako całości. Nie można z góry założyć, że ten czy ów autor nigdy się nie pomylił w sprawach wiary. Bezbłędność lub błędność jakiejś wypowiedzi biblijnej ustala się natomiast w ten sposób, że odnosi się ją każdorazowo do intencji całego Pisma Świętego, którą wskazuje, streszcza i rekapitułuje w sobie Ten, który uczniom w drodze do Emaus „wykładał, co we wszyst-

kich Pismach odnosiło się do Niego” (Łk 24, 27), co zaś Kościół ma za zadanie wiernie strzec i wykładać.

W tym też sensie, kiedy czytamy te fragmenty Biblii, w których występują np. przerażające obrazy Boga, bez obaw o naszą wiarę możemy powiedzieć, że autorzy tych obrazów, starając się zrozumieć swoją konkretną sytuację i nie dołę w odniesieniu do tajemnicy Boga, szukając w niej światła dla życia swego i swoich społeczności, mylili się. A możemy to powiedzieć, przypatrując się tym obrazom w świetle, jakie rzuca na wiarę całe – wypełnione w Jezusie Chrystusie – Pismo Święte. Możemy nawet powiedzieć, że w Biblii dochodzi do wzajemnego osądzania się i krytyki konkretnych obrazów i wizji. Spojrzenie i pogląd jednego autora nierzadko poddaje krytyce i korekcie inny autor. A fundamentalnej krytyce wszystkie dane biblijne i wszystkie obrazy Boga poddał ostatecznie sam Chrystus na krzyżu i w zmartwychwstaniu, w godzinie swojej Paschy. A Pascha pokazuje, że Bóg „jest miłością” (1 J 4, 8), że jest On „bogaty w miłosierdzie, przez wielką swą miłość, jaką nas umiłował” (Ef 2, 4), jest „Bogiem miłosiernym i łaskawym, nieskorym do gniewu, bardzo łagodnym i wiernym” (Ps 86, 15), „Bogiem łaskawym i miłosiernym” (Ne 9, 31).

Co to wszystko oznacza dla sprawy spotykanych w Biblii różnych obrazów Boga i Jego relacji do ludzkiego cierpienia? Otóż, tylko te obrazy mogą się ostać, czyli być normą dla wiary, które zdołają przejsć przez ogień krytyki Paschy Jezusa Chrystusa. Obrazy te nie zawierają błędnej wizji Boga, o ile same mają wymiar paschalny. Te, które sprzeciwiają się przesłaniu Paschy, możemy uznać za niezobowiązujące dla naszej wiary. Nie znaczy to jednak, że są bezużyteczne – nie jest tak, bo przecież dają one do myślenia, odkrywają zawiłe i poplątane ludzkie drogi w zmaganiu się z pytaniem o Boga, prowokują potrzebę głębszego namysłu nad tajemnicami wiary, wołają o większą pokorę wobec misterium Nieskończoności, ostrzegają przed zadufaną pewnością w wierze i rzucaniem potępień. Stanowią świadectwo długich dziejów trudnego, mozolnego, bolesnego, ale i błędnego zmagania się i obcowania ludzi Biblii z tajemnicą Tego, którego – poza Jezusem Chrystusem – „nikt nigdy nie widział” (J 1, 18). Także my dzisiaj.

© JÓZEF MAJEWSKI

KWIATY BĘDĄ TEŻ W NIEBIE

PROF. TINA BEATTIE, TEOLOŻKA:

Dziewictwo Maryi postrzegam jako zerwanie władzy patriarchalnego świata nad kobiecym ciałem. Ale nie z seksem – jako czynnością wyrażającą miłość.

ZUZANNA RADZIK: Dlaczego taka Maryja, jaką pokazuje nam tradycja katolicka, drażni wiele kobiet?

TINA BEATTIE: Bo była i jest używana do tego, by je kontrolować. Ja nie wyrosłam z obrazem dziewiczej matki, nigdy mi go nie narzucono – bo jestem konwertytką. To, że katolicy czczą Maryję, otaczający mnie protestanci uważali za okropne. Nie chciałam mieć z nią nic wspólnego nawet po przejściu na katolicyzm.

Ale potem napisałaś o niej doktorat.

Zajęło mi trochę czasu, by ją dostrzec. Po odprowadzeniu dzieci do szkoły wstępowałam do kościoła, by się pomodlić, bo czułam się trochę nieszczęśliwa. Była tam pieta – bardzo sentymentalna i kiepska artystycznie, ale to w niej, po raz pierwszy w chrześcijańskim dziełnictwie, znalazłam symbol matczynej miłości i cierpienia. Zupełnie inaczej niż kobiety wychowane w katolickiej kulturze Polski czy Irlandii, które czuły się uciskane przez ten obraz czystości, skromności, posłuszeństwa i pokory. To smutne, że nasze widzenie Maryi zdominowało myślenie nowożytne, zbudowane na XIX-wiecznym romantyzmie, wzmocnionym męskim lękiem przed kobiecą seksualnością.

Jak sobie z tym poradzić?

Staralam się znaleźć inne obrazy Maryi. Można ich szukać w feministycznej teologii wyzwolenia, gdzie staje się ona biedną kobietą z ludu, a „Magnificat” – pieśnią rewolucyjną. Brytyjczycy w Indiach nie pozwalali śpiewać tego kantyku w kościołach, żeby nie mieszać ludziom w głowach. Ale taka wiara wydała mi się zbyt upolityczniona.

W tekstach starożytnych i średnio-wiecznych, w sztuce, znalazłam moc natury, niezwykłą siłę macierzyńską Maryi. Gdy w pierwotnym Kościele mówiono o dziewictwie, nie chodziło o skojarzenie z abstynencją seksualną. Raczej z czymś, co dziś mamy na myśli, mówiąc o pierwotnym lesie czy oceanie. Czyli z siłą natury, niezdominowaną i niekontrolowaną przez człowieka – mężczyznę. Inaczej niż w tradycyjnej wizji dziewictwa, dyscyplinującego kobietę, w tym ujęciu jest ono zachwycającą siłą natury, którą Bóg wybawia.

Nigdy bym tak o tym nie pomyślała.

Nie sądzę, byśmy mogli zostać przy bladej dziewczynie w błękitnej sukience. Nie bez powodu Bernadetta nie znosiła rzeźby z Lourdes. Mówiła, że to, co widziała, tak nie wyglądało. Przecież ona nawet nie trzyma w ręku dzieciątka... To dla kobiet i dziewcząt obraz bardzo destrukcyjny.



Destrukcyjny w takim sensie, jak fotografie ciał modelek?

Maryja zawsze była przedstawiana zgodnie z obowiązującym kanonem piękna. On, zwłaszcza od początku nowożytności, został jednak przejęty przez męskie wyobrażenia i projekcje. Wtedy straciliśmy szansę, by Maryja przedstawiała to, jak kobiety widzą same siebie. Wcześniej średniowieczna sztuka przedstawiała Maryję i święte w domu i ogrodzie. Miejsce wcielenia jest w domu, a człowieczeństwo Jezusa jest przeżywane wśród kobiet, przychodzi od kobiety.

Musimy zadbać, by kobiety mogły się odnaleźć w obrazie Maryi. Nie ma nic złego w ideałach i aspiracjach, gdy są prawdziwe – nie chcemy być jednak anorektycznymi dziewczynkami.

Ani dziewczynkami, które są matkami.

Co czwarty dom na świecie prowadzi samotna kobieta. Maryja też od pewnego momentu nią była. Swoją drogą, trzeba



„Musimy zadbać, by kobiety mogły się odnaleźć w obrazie Maryi. Nie da się zostać przy bladej dziewczynie w błękitnej sukience”.

NA ZDJĘCIU: kąpiel w rzece Wolta, poniżej zapory w Akosombo. Ghana, kwiecień 2018 r.

Tak. I pojawiał się on w ikonografii od samego początku. A jednocześnie ciągle towarzyszył mu lęk związany z kontekstem, bo w świecie, w którym żyli pierwsi chrześcijanie, kapłanki były bardzo erotyzowane. Ciekawe, że każdy tytuł chrystologiczny miał paralele w tytule danym Maryi, np. król – królowa, Nowy Adam – Nowa Ewa, ale nigdy: kapłan – kapłanka. W średniowiecznej sztuce Maryja występuje w szatach kapłańskich, ale tłumaczy się to tak, że jej ciało było niczym kapłańska szata.

A po co tak komplikować sprawę? Trzeba pamiętać, że po raz pierwszy ktoś może powiedzieć o Jezusie: „to jest moje ciało, to jest moja krew”, gdy Jezus mówi tak o Maryi, a ona o Nim. A dziewczęta nierzadko dają tu jeszcze większy potencjał. Język i ikonografia dotyczące Maryi – dziewicy i kapłanki, zostały zakazane na początku XX w. A skoro czegoś zakazano, to znaczy, że zauważono tego siłę.

Może Kościół wyczuł początki emancypacji? Pisałaś o św. Annie, która jest niemal jak matriarchini.

Nie lubię mówić o matriarchii, bo wtedy zastępujemy jedną hierarchię drugą. Silne matki i kobiety też mogą być destrukcyjne.

Jaka jest Anna?

To historia o człowieczeństwie Jezusa i Jego rodzinie, bo Anna była jego babką. Protoewangelia Jakuba, tekst z II w., jest piękny na wielu poziomach. Nie znalazłam w Piśmie Świętym innego tekstu, w którym kobieta błogosławiłaby narodziny dziewczynki. A w nim Anna, widząc, że urodziła córkę, błogosławi Boga. To zaskakujące w tradycyjnym społeczeństwie, gdzie dziewczynka była raczej kłopotem.

Tradycja katolicka opierała się zawsze twierdzeniu, że Maryja została poczęta bez seksu. Postać Anny przypomina Hannę, matkę Samuela. Jest starą kobietą, nie spłodziła z mężem dziecka – i o dziwo to Joachim starsi Izraela wysyłają za karę na pustynię. Zwykle winą obciążano kobietę. Oboje mają objawienie – jemu anioł objawia się na pustyni, a jej płaczącej →

też odkryć i odzyskać Józefa. To mężczyzna kochający kobietę, której powołanie i syn stają się centrum jego życia. Odrzuca patriarchalne prawo do jej ciała i do tego, by dała mu potomstwo.

Wiele kobiet nie chce słuchać o dziewictwie Maryi w Kościele kontrolującym seksualność.

Postrzegam je jako zerwanie władzy patriarchalnego świata nad kobiecym ciałem.

Nie zerwanie z seksem jako ludzką czynnością wyrażającą miłość, ale z historycznym nadużywaniem seksualnego ciała kobiety. Mīt początków człowieka może być, według mnie, czytany jako początek seksualnego wykorzystania kobiety. Słowa skierowane do Ewy – „Ku twemu mężowi będziesz kierowała pragnienie, a on będzie panował nad tobą” – to jest to potępienie! Narodziny z dziewicy przywracają kobietom pełnię przed Bogiem. Kobieta jako taka jest wystarczająca, by pośredniczyć między stworze-

niem a Bogiem. Gdy Maryja mówi swoje „tak”, to jest to akt konsekracji. Chrystus wkracza w świat materialny po raz pierwszy. Jej „tak” jest też afirmacją szacunku Boga do ciała kobiety.

Bóg pyta, czy może wejść w jej ciało.

Według wielu feministek kobieta zostaje tu użyta, tak jak w mitach o bogach, którzy posiadli kobiece ciało przez przemoc. Ale to nie było tak, że Maryja obudziła się i odkryła, że jest w ciąży. Ewangelści znali mity i wiedzieli, że ich historia się od nich różni. Żaden mężczyzna nie miał ostatecznego słowa przy poczęciu Jezusa.

Mówią nam, że dziewictwo oznacza: nie uprawiaj seksu. W istocie jego sens polega na tym: ty jesteś jedyną osobą upoważnioną przez Boga, by powiedzieć „tak” i zdecydować, co zrobisz ze swoim ciałem.

Skoro mówimy o konsekracji, to czy jest to obraz Maryi-kapłanki?

→ w ogrodzie. Znamy wiele średniowiecznych przedstawień, na których Anna i Joachim wpadają sobie w objęcia w jerozolimskiej Złotej Bramie. To piękne, naprawdę erotyczne przedstawienie miłości małżeńskiej, w którym on trzyma kolano między jej nogami. Średniowieczni teologowie zastanawiali się, czy oni potem poszli do domu i uprawiali seks. I czy był to dobry seks, czy obrzydliwy obowiązek. Jeden stwierdził – i to wyjaśnienie lubię – że to był być może najpiękniejszy stosunek seksualny od początku świata.

Tak „odzyskujesz” niepokalane poczęcie?

Niepokalane poczęcie mówi nam, że było to poczęcie bez grzechu, ale nie bez stosunku seksualnego. Dla kobiet może być ważne, by tego nie odrzucić, ale przewrotnie odzyskać. Powiedzieć strażnikom doktryny: chcemy tych prawd, by czerpać z nich to, co w sobie niosą – ważność kobiet i seksualności.

Kiedys znajoma pastorka powiedziała mi, że zazdrości katolikom wyeksponowania Maryi w centrum wiary, bo w protestantyzmie brakuje jej takiej mocnej, kobiecej postaci.

Dorastałam w kulturze prezbiteriańskiej. Zawsze myślę o patriarchacie w kulturze protestanckiej jako o problemie. Teolog kalwiński Karl Barth twierdził, że Maryja jest tylko „naczyniem na łaskę”... Co to mówi o relacji między Bogiem a Stworzeniem? I czy naprawdę chcemy powiedzieć, że w chwili decyzji o dziecku Bóg pokonuje wolę kobiety? To niepoprawne doktrynalnie.

Ojcowie Kościoła obdarzyli Maryję pięknym tytułem rozumnego raju. Jej ciało było jak dziewicza ziemia, z której stworzony został Adam. Ale miała też wolną wolę i rozum. Mogła rozważyć, o co jest proszona, i podjąć decyzję. Św. Augustyn medytował nad sytuacją, w której Gabriel czeka, aż Maryja odpowie na jego pytanie. Augustyn pisze: „Maryjo, całe stworzenie czeka na twoją zgodę, czemu każesz mu czekać?”. To pokazuje, że Ojcowie Kościoła myśleli o niej kreatywnie.

Według Augustyna Maryja najpierw powiedziała „tak” w swoich myślach, a dopiero potem w łonie. To też ważne, bo on zwraca się do kobiet zgwałconych, których dziecko poczęło się przez

Bóg bierze nas do siebie
z naszym ciałem
i zabałaganioną historią.

O tym opowiada świątę Wniebowzięcia.

przemoc seksualną – że fizycznie bycie w ciąży nie robi z nich matek. To jest kwestia decyzji. Szansę na decyzję daje Maryi zwiastowanie.

A Maryja jako nowa Ewa? Dla wielu katolików to już prawie mitologia, a na pewno nie coś żywego. Kobiety boją się tego zestawienia.

To zestawienie symboliczne. W tej historii jest obecna mizoginia. Jednak w niektórych tekstach starożytnych Maryja jest rzeczniką Ewy. Pytają one, co by było, gdyby powiedziała: „nie”. I widzą Ewę. Ewa jest wtedy symbolem ludzkiej ułomności.

Grzesznej kobiety?

Grzesznego człowieka. Ludzkiej słabości. Szczególnej kobiecej podatności na zranienie, którą czasem jest dominacja przez małżeństwo i rodzenie dzieci w bólu. Ewa niesie ból kobiecej kondycji, a nie nikczemność. Maryja zaś jest obietnicą. Mówi: Bóg jest z Tobą Ewo, zbawia cię. To dziewicze ciało Maryi nie jest karą, jest obietnicą, że cokolwiek cię spotkało, czegokolwiek doświadczyłaś, jest to ciało, jakie Bóg dla ciebie ma, jakie w tobie widzi. To nie Ewa, jaką widzą mężczyźni w Kościele.

Czyli możemy też odzyskać Ewę!

Gdy w pierwotnym Kościele
mówiono o dziewictwie,
chodziło o skojarzenie
z czymś, co dziś mamy
na myśli, mówiąc
o pierwotnym lesie.

W tej ewangelicznej historii jest tyle ukrytych momentów... Opowieść o Jezusie zaczyna się od kobiety komunikującej się z aniołem, posłańcem Boga. Pierwsza homilia wybrzmiewa, gdy Maryja idzie odwiedzić Elżbietę i wypowiada „Magnificat”. A kto spotyka Chrystusa po powstaniu z grobu? Maria z Magdali.

Dlaczego historia, w której kobiety głoszą Dobrą Nowinę zarówno o wcieleniu, jak i zmartwychwstaniu, została przejęta przez mężczyzn uciszających kobiety? Jeśli wrócimy do Pisma i otworzymy się na to, co ono mówi, zobaczymy, że wieki zmagania o pełnię zbawienia są zmaganiem płci, zmaganiem kobiet, by żyć tym, co zostało im obiecanie, oraz zmaganiem mężczyzn, by nie dawać im na to zgody. Ale oni nie mają tej władzy. Zgoda na życie w pełni, której nam odmawiają, została już dana przez Boga.

Mówimy o Maryi Żydówce. Dziś jest potrzeba etniczowanych Maryi – południowoamerykańskich, japońskich, afrykańskich. To charakterystyczne, że ona jest tak silnie identyfikowana z narodami, że zostaje królową Polski czy Meksyku. Wszyscy chcą powiedzieć, że jest ich matką, wyglądającą jak oni. To problem czy szansa?

Jesteśmy w środku historii zbawienia, która ma karty ciemne i te pełne nadziei. Żyjemy w ich zderzeniu. Maryja jest częścią tego zmagania. Jest przechwytywana przez tych, którzy nadużywają władzy, ale jednocześnie zawsze będzie symbolem wyzwolenia.

Podobnie jest z inkulturowanymi obrazami. Trzeba tu utrzymać napięcie trzech elementów. Jezus urodził się w konkretnej kulturze i konkretnym czasie, był Żydem. Coś w ciemnej historii relacji chrześcijańsko-żydowskich skumulowanych w Zagładzie zmusza nas do odzyskania żydowskości naszej historii. Ale musimy pilnować też uniwersalności Maryi, Matki Boga, żeby inne kultury, inne pokolenia i zmieniające się perspektywy miały coś dla siebie. Musimy też uważnie obserwować, gdzie Maryja jest ciągle używana do kontrolowania ludzi, używana przeciwko kobietom.

W Polsce paradoksem uroczystości Wniebowstąpienia jest to, że łączy się ją z rocznicą bitwy z bolszewi-

kami z 1920 r., która, jak niektórzy twierdzą, musiała być cudem, bo my rzadko coś wygrywamy. Myślę o tych wszystkich wojskowych sztandarach, na których jest Maryja, o bitwach, które rzekomo wygrała... Przecież Pani Częstochowska to również obrończyni twierdzy.

Mam na ścianie obraz Matki Bożej Częstochowskiej, przywieziony przez córkę ze szkolnej pielgrzymki. Wspaniały obraz, z tymi śladami szabli. Sprzeciwiam się czyszczeniu naszych wyobrażeń. Świat jest cierpiący, pełen przemocy i krwawy. Jeśli wcielenie było prawdziwe, nie możemy ocalić związanych z nim postaci od tej złożoności. Nie chcę pobożności, w której świat jest miły, a my nie lubimy przemocy. Przemoc jest w każdym z nas i w każdym z nas jest coś, co może ją wyzwolić. Nie oszukujmy się. Dlatego chrześcijaństwo opowiada o upadku, stracie, zbawieniu – ale nie o perfekcyjności.

Sierpień to w Polsce czas pielgrzymek. Jak teologka podchodzi do ludowej pobożności tego typu? Sama mam wielką sympatię do jasnogórskiego obrazu, ale przedzieranie się przez te stragany...

Jako konwertytka bardzo się z tym zmagalam. Pojechałam ze studentami do Lourdes na badania terenowe, chowając się za rolę akademicką. Wracałam tam jednak wielokrotnie i uważam, że mamy tam do czynienia z niemal idealnym wcieleniem całej złożoności tradycji katolickiej. Za każdym razem spędzam popołudnie, pomagając przy kąpielach; kobiety, przewiązane skromnie, ale w zasadzie nagie, przechodzą przez lodową wodę. Dotykam ich chorych, okaleczonych ciał. Tam wszystko jest na przekór temu, co proponuje nam nowoczesność. Nie jestem zbyt uczuciowa, nieczęsto mówię, że czuję obecność Boga, ale tam wiem, że Go dotykam. Zatem Lourdes jest dla mnie rajem na ziemi.

Bazylika też?

Ona oczywiście stoi na szczycie wzgórza, dominuje, reprezentuje siłę Kościoła. Ale pod nią jest wilgotna, kobieca grotka. W tym miejscu natura i Bóg się spotykają.

Poza tym w centrum tego objawienia jest zwiewna Maryja i wiejska dziewczyna.



WOLFGANG SCHMIDT / ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. TINA BEATTIE jest brytyjską teologką feministyczną, emerytowaną profesorką studiów katolickich na Uniwersytecie w Roehampton. Urodzona w Zambii, dzieciństwo spędziła w Kenii i Zimbabwe, w 1988 r. wróciła do Anglii. Studia z teologii zaczęła po konwersji na katolicyzm i wychowaniu czwórki dzieci. Autorka książek, m.in. „New Catholic Feminism: Theology and Theory”, „God’s Mother”, „Eve’s Advocate: A Marian Narrative of Women’s Salvation”, artykułów w „The Tablet”, „The Guardian” i audycji w BBC Radio 4. W grudniu 2014 r. zainicjowała powstanie na Facebooku grupy Catholic Women Speak łączącej katoliczek z całego świata, które wspólnie organizują konferencje, wydają książki, a przede wszystkim wspierają się w trwaniu w Kościele.

Biedna Bernadetta, pierwsza święta czasów fotografii, nie znośiła, gdy przebierali ją w ludowe stroje. Uciekła stamtąd właściwie, umarła w klasztorze położonym daleko. Ale pomyśl: wybór biednej, wykorzystywanej, zapomnianej młodej wieśniaczki i Europejki jest ciekawy. Ona nie jest romantyczną bohaterką.

Nie byłam w Lourdes, ale w Fatimie czy Częstochowie kicz pamiątek, obcość ludyczności tych miejsc jednak mnie krępuje.

Uwielbiam turystyczny magiel i bezwstydną brak gustu tych miejsc. Bo czego chcemy? By Bóg przychodził do religijnego resortu dla klasy wyższej? By Maryja objawiała się tylko w eleganckim otoczeniu? Lourdes było jednym z najbiedniejszych regionów Francji, ci ludzie dzięki turystyce trochę się odbili.

Rozmawiamy przed świętem Wniebowzięcia. 15 sierpnia to w Polsce pielgrzymki, kwiaty z łąk niesione jako pierwsze plony do kościoła, święto wojska i trudny koncept wniebowzięcia. Jak to przetrawić duchowo i znaleźć coś pożywnego?

Wielu teologów było rozczarowanych ogłoszeniem dogmatu o wniebowzięciu, zwłaszcza ze względu na dobro dialogu ekumenicznego. W efekcie to zadziało jak piasek w ostrydze. Czym była ta doktryna, ogłoszona w 1950 r., zaraz po wojnie degradującej i poniewierającej ludzkie ciała? Pomyśl, co znaczy powiedzieć, że obok ciała Zmartwychwstałego w niebie jest ciało Żydówki, jego matki. Tak jakby Kościół mówił, że Boża obietnica nie jest abstrakcyjna, nie mówi o samym duchu. Te ciała, które były palone w piecach, bombardowane, gwałcone, mają wieczne piękno i życie w oczach Boga.

O tym opowiada święto Wniebowzięcia. Bóg bierze nas do siebie z naszym ciałem i zabałaganioną historią. Zławsza teraz wszyscy mamy przed sobą wyzwanie – musimy powiedzieć, że gdy nadużywamy stworzenia, nadużywamy dzieła Boga. Gdy uważamy materię za nieważną, nie widzimy, kim jesteśmy, ani że świat wyraża wielkość Boga. To święto mówi: tak, to zwykłe ciało ma miejsce w niebie!

Czyli to święto podnosi materię i zwykłe ciało. Przynosząc kwiaty z pól do kościoła, lichą materię, możemy wyrazić, że pragniemy zintegrować znów stworzenie i stwórcę, że ten wymiar cenimy?

Szanujemy stworzenie i ciało. Uznajemy, że ciało jest w Bogu. Doktryna o zmartwychwstaniu mówi o materialności w Bogu, w którą dziś, w erze mechaniki kwantowej, nie tak trudno uwierzyć, bo wiemy, że ciało to nie solidna materia. Ciało jest wibrującym ruchem cząstek, którego nie umiemy dostrzec. Dlatego ciężko wierzyć w zmartwychwstanie, skoro nauka mówi nam, że świat jest czymś ponad nasze zrozumienie?

Podoba mi się zwyczaj przynoszenia kwiatów do kościoła z okazji święta Wniebowzięcia. Zwłaszcza w tym roku, gdy tyłu z nas zwróciło na nie uwagę – bo zatrzymani w domach więcej spacerowaliśmy i mieliśmy czas je zauważyć. A kwiaty też będą w niebie.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

Lokatorka

MARIUSZ SEPIOŁO

„Ich piękno tkwi w odrapaniu, w tych ohydnych sztucznych kwiatach przynoszonych tu przez ludzi. Bo wie pan, życie też bywa odrapane” – mówi Majka, miłośniczka warszawskich kapliczek.

LUDZIE MÓWIĄ, ŻE NA WOLI BYŁO KIEDYś groźniej niż na Pradze. Po zmroku nikt tu się nie zapuszczał. Był warszawski folklor, niedzisiejsze miejskie życie, toczące się powoli. Ale świat przyspieszył i przyspieszyła Wola. Nad kamienicami wyrosły biurowce.

A przy Wolskiej 67 nadal stoi ona.

Ma ciemną skórę i poważny wyraz twarzy. Na rękach trzyma dziecko. Właściwie żadna z niej figurka, raczej płasko-rzeźba wpisana w kształt medalionu.

Przed wojną rodziny idące do kościoła zatrzymywały się na sekundę. Ojciec

zdejmował kapelusz, a dzieci pochylały główki. Trzeba było się przeżegnać. Choć wojna zniszczyła całe miasto, dom przy Wolskiej 67 został nietknięty. Ocalała również kapliczka.

Podobno kiedy Niemcy prowadzili Wolską jeńców, ci przystawali, by pod karabinami prosić Maryję o wybawienie. Była tutaj, kiedy trwała rzeź Woli.

W końcu kamienica została wysiedlona ze względu na stan techniczny, a wokół medalionu z kapliczką powstał mural przedstawiający krokodyla. Kapliczka przyciąga wzrok. Mieszkańcy się do niej przyzwyczaili i mają stosunek serdeczny lub obojętny.

W lutym 2014 r. kapliczka potrzebowała ratunku.

Jarek Zuzga, dyrektor artystyczny wydawnictwa i miłośnik warszawskich zabytków, zobaczył, jak na szczycie Wolskiej 67 stawiane są metalowe konstrukcje. Mogło to oznaczać tylko jedno: zawiśnie tu płachta z reklamą. Baner wkrótce się pojawił, przykrywając ścianę i kapliczkę. Jarka aż coś w środku skrzyknęło.

„Mnie osobiście zrobiło się żal, że nikt z tych ludzi, którzy instalowali reklamę, zatwierdzali jej projekt, wreszcie – wyrazili zgodę na zasłonięcie kamienicy reklamą – nie zwrócił na kapliczkę uwagi – napisze Zuzga na blogu. – Szkoda mi

było, bo kamienica pomimo wojny i lat zaniedbań zawsze tam stała i świadczyła o wolskiej przeszłości. Można powiedzieć – stała na przekór”.

Dla Jarka Zuzgi i kilkorga przyjaciół zaczęła się batalia. O to, by kapliczka ciągle stała tu na przekór. Tym razem nie wojnie, ale współczesności. Bo do czego współczesnej Warszawie potrzebny wizerunek Matki Bożej z dzieciątkiem?

DRZWI W DRZWI Są ich setki. Emilii Plater 13, Noakowskiego 10, Narbutta 52, Słupecka 8, Żelazna 31, Dobra 4, Żąbkowska 3, 5, 7, 11, 12 i 16, kilka przy Kawęczynskiej, przy Żąbkowskiej, Brzeskiej i Nieporęckiej. Dla mieszkańców jednego podwórka są miejscem, w którym spotykają się na „majowe”. Dla mieszkańców innego – starociem, który niedługo odezwie się od ściany.

Wokół nich toczyła się historia. Dzielnice – Pragę, Wolę, Śródmieście, Murańów – zamieszkiwali ludzie zróżnicowani społecznie, etnicznie i religijnie. Drzwi w drzwi żyli ze sobą katolicy, żydzi i prawosławni. W PRL-u w kamienicy na Starej Ochocie mieszkali obok siebie oficer służby bezpieczeństwa i działacz pierwszej Solidarności. O kapliczki się nie kłócili – o przeciekający daszek mógł zadbać każdy.



Mogło się wydawać, że po 1989 r., wraz z odzyskaną wolnością, także kapliczki dostaną nowe życie. Tam, gdzie urzędnikom leżało to na sercu, udało się zadbać, by nie zniknęły. Ale były miejsca, gdzie figurki zachodziły takim brudem i rdzą, że nie dało się ich odróżnić od murów.

Tymczasem nad dachami wyrastało nowe: strzeżone osiedla zamknięte szlabanem i biurowce ze szkła. Stare dzielnice stawały się modne, więc do kamienic wprowadzali się nowi mieszkańcy. Nie każdy zauważał kapliczkę, stojącą w ciemnym rogu lub zarośniętą krzakami.

Dawniej gromadziły ludzi, dawały poczucie wspólnoty i bezpieczeństwa. Bo jeśli jest coś takiego jak zbiorowy strach, to kapliczki – przed którymi w nabożeństwa majowe gromadziły się rodziny – musiały przynosić zbiorową, chwilową ulgę.

Co dają dzisiaj?

GESTY Majka Niedzielska jeszcze kilka lat temu mieszkała przy ul. Żłotej na warszawskiej Woli. Maryja przy Żłotej 63, w betonowej konstrukcji i za szklaną szybą, świeciła prosto w okna jej mieszkania.

– Chodziłyśmy do niej ze wspólnotką, czasem chodziłam sama. Odmówić litanie, różaniec albo nieszpory – mówi

Majka. – Jak jestem w okolicy, to czasem tam wpadam.

Kilka lat temu kapliczkę odnowiono. W czasach Majki stały przed nią kwiaty lub ozdoby w doniczkach. Niezmiennie działało w niej światło, które codziennie

ktoś zapalał – jakby w codziennym, cichym hołdzie.

Przez lata takie hołdy oddawali głównie starsi mieszkańcy. Teraz, nie tylko w Warszawie, widać zainteresowanie kapliczkami wśród młodych. Odnotowują to autorzy spacerownika „Szlakiem praskich kapliczek”. „Wydaje się, że w ostatnich latach zostały docenione, a przede wszystkim ich historia prze-

stała być tylko wiedzą →



→ ezoteryczną i zaczęła przedostawać się do większego grona odbiorców” – piszą.

Na czym polega ta zmiana? Choćby na pojedynczych, ale znaczących gestach. Jak wtedy, gdy firma deweloperska zdemontowała kapliczkę specjalnie po to, by ją odnowić i ustawić przy powstałej już inwestycji. Lub kiedy kapliczkę z ul. Sołowskiej na Woli, która stała na drodze budowy linii metra, przeniesiono na ul. Syreny. Wcześniej firma budująca metro odnowiła ją na własny koszt. Jest też druga strona medalu. Co roku średnio jedna kapliczka znika z mapy Warszawy. Taki trend trudno już odwrócić.

PAPIEŻE Majce przywiązanie do kapliczek wydaje się naturalne. – Byłam w duszpasterstwie akademickim, w oazie, mam przyjaciół, którzy interesują się współczesną historią i stąd to przywiązanie do kapliczek – mówi. – Są dla mnie ważne nie tylko dlatego, że jestem katoliczką, ale także dlatego, że po prostu lubię je odkrywać. Lubię włóczyć się po warszawskich podwórkach, poznawać historie z nimi związane.

Ale Majka wie, że na każdym podwórku z kilkoma klatkami schodowymi może mieszkać ktoś, kogo światło kapliczki tylko drażni.

– Ludzie albo nie zwracają na nie uwagi, albo uważają, że szpecą otoczenie. My w gronie znajomych doceniamy kapliczkowy folklor – tłumaczy Majka. – Szczególnie jeśli widać, że taka kapliczka żyje, ludzie znoszą do niej dewocjonalia, co kto ma, zostawiają kwiaty. Jest taka kapliczka na Żąbkowskiej, przed którą jest po prostu wszystko.

Majka mówi, że czasem bawi się w liczenie wizerunków papieża, poupychanych między Matką Bożą a Panem Jezusem. – To takie kapliczkowe zbieractwo, które jest chyba wyrazem prostej, zaboronnej pobożności – mówi.

Trzy lata temu przeprowadziła się, jednak na Złotą czasem wpada. Ale jej „ulubiona Maryjka” jest na Pradze, przy Stalowej 50. – Ma w sobie coś buńczucznego i bliskiego prostemu człowiekowi. Jest taka odrapana i przez to przepiękna – mówi Majka. – Uroda tych kapliczek tkwi właśnie w ich odrapaniu. W historii modlitwy okolicznych ludzi w czasie okupacji, w tych paskudnych sztucznych kwiatach. I chyba w tym, że mimo wiary czy niewiary okolicznych mieszkańców wielu traktuje je z szacunkiem.

Czym dla niej są kapliczki? – Znakiem Bożej bliskości i obecności w zupełnie codziennych, często popaprzanych sprawach – mówi. – Bo wie pan, życie też bywa odrapane.

RENEANS Janek codziennie rano całuje córeczkę w czoło i mówi, że już wychodzi. Ona, jeszcze trochę śpiąc, chwytą go za szyję i mówi: „Tata, jecze nie idź”. Wtedy Janek po raz pierwszy tego dnia czuje, że wszystko jest w porządku.

Schodzi z czwartego piętra budynku na Pradze. Pik, pik – z daleka pilotem otwiera swój nowy samochód. Jedzie do firmy w wieżowcu w Śródmieściu, na piętrze tak wysokim, że z okien widzi Stadion Narodowy.

– Nigdy nie byłem szczególnie religijny. Teraz chyba też nie jestem – mówi. – Chociaż córkę ochrzcziliśmy, ślub też wzięliśmy kościelny. Tylko to był raczej wymóg rodzinny. Ale coś się ze mną dzieje, wiesz? Starzeję się chyba.

– A może dojrzewasz? – mówię, bo Janek tłumaczy, że po raz drugi czuje się bezpiecznie, kiedy mija kapliczkę z ul. Kępnej 6, która przedstawia Maryję z gwiazdą aureolą i kwiatami u stóp. Żona Janka też zanoszą do niej kwiaty, stara się o prawdziwe, ale te czasami znikają – są tacy, co jeszcze kwiaty kradną.

Janek twierdzi, że w gronie przyjaciół ma trochę osób takich jak on. Uprawiają *churching*, potrafią na jedną mszę pojednać specjalnie do Krakowa. Odmawiają z rodziną modlitwę przed jedzeniem i nie jest to jakaś „zachodnia moda”. A kiedyś? Modlili się tylko po kilku piwach na Przystanku Jezus. Kiedyś byli tylko na Boga obrażeni, jak nastolatki na czepialskiego tatę. Teraz z tego buntu wyrastają. Przeszają się wstydić.

W internecie są fora i strony na Facebooku poświęcone kapliczkom. Ludzie wymieniają się zdjęciami, adresami, historiami. Grupy, które gromadzą się w internetowej akcji odnajdywania kapliczek, to przekrój społeczeństwa. Są wierzący, którzy pod postami piszą: „Bogu niech będą dzięki”. Są pasjonaci lokalnej historii. W komentarzach łączy ich sprzeciw wobec ignorancji. Dzisiaj mieszkańcy swoich miast chcą, żeby o ślady przeszłości dbano tak, jak dba się o nowy plac zabaw. Chcą być świadomi.

Kilka lat temu ulicą Brzeską i śladami stojących przy niej kapliczek przeszła droga krzyżowa. Szło sporo młodych ro-



ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

dzin. A na warszawskim Solcu odbywają się podwórkowe nabożeństwa majowe. Taki renesans dotyczy także kapliczek.

Janek też się już nie wstydi. Na Maryję z Kępnej tylko sobie patrzy. To wystarcza. – To jest dla mnie taki stały element w tym dziwnym świecie – mówi.

REMONT Sylwester Klimiuk wraz z członkami Praskiego Stowarzyszenia Mieszkańców „Michałów” postavili sobie cel: sprawić, żeby kapliczka z Zachariasza 10 nie tylko nie wyładowała na śmietniku, ale by została przez mieszkańców Szmulek i Michałowa zauważona.

– Kiedy do nas trafiła, była w opłakanym stanie – mówi Klimiuk. Mała, rozpadająca się już konstrukcja ze spadzistym daszkiem i wizerunkiem Matki Bożej z dzieciątkiem ziała się z kolorem betonowego muru. – Za kilka lat po prostu już nie można byłoby jej odnowić. Udało nam się poddać ją renowacji tylko dlatego, że drewniana konstrukcja została kiedyś obita blachą. To nie był typowy remont konserwatorski. To było odnowienie czegoś, co nadawało się po prostu na śmietnik.

Jak mówi Klimiuk, wiele kapliczek ciągle jest utrzymywanych przez mieszkańców, ale ma to raczej wymiar doraźny. – Ktoś deskę dobije, szybko przetrze czy uporządkuje sztuczne kwiaty – tłumaczy. – Za 20-30 lat możemy takie zaniedbane kapliczki stracić. Ten podkreślany wszę-



PO LEWEJ:
ul. Skaryszewska na
Pradze, lipiec 2020 r.

PO PRAWIEJ:
ul. Podskarbińska,
Praga-Południe,
2010 r.

**NA POPRZEDNICH
STRONACH:**

W pobliżu budowy
węzła obwodnicy
południowej
Warszawy.
Wał Miedzeszyński,
sierpień 2018 r.



LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

dzie walor społeczno-kulturowy tracą wtedy podwórka, osiedla, a nawet dzielnica.

Dzięki członkom stowarzyszenia obraz Matki Bożej z Zachariasza 10 zyskał lekko wyostrzone rysy i nową, elegancką ramę. Obudowa kapliczki otrzymała wyraźny zielony kolor, który przyciąga wzrok przechodniów. Pracą zajęli się fachowcy ochotnicy, wykorzystując do tego zaplecze Domu Sąsiedzkiego „Moje Szmulki”. Pieniądże? Z różnych źródeł – ze środków stowarzyszenia, od ludzi dobrej woli i z własnej kieszeni.

– Kiedy ją ponownie zawiesiliśmy, mieszkańcy byli zdumieni i bardzo wdzięczni – mówi Klimiuk. – Kilka osób z okolicy było nawet zaskoczonych, że taka kapliczka tu wisiała wcześniej. Przez to nasze działanie chcieliśmy zwrócić uwagę na problem zaniedbania tego typu składników naszego otoczenia. Chcieliśmy też zwrócić uwagę urzędników. To w końcu jeden z wyróżników naszej dzielnicy, który musimy zachować kolejnym pokoleniom. I dodaje: – To symbole, których nie powinniśmy się wstydzić. Więcej: to zaniedbywanie ich powinno być powodem do wstydu. To samo mamy ze śmietnikami, ławkami, murami. Renowacja tej kapliczki to zachęta do wspólnego dbania o przestrzeń.

– Czy wierzy pan, że sprawa kapliczek może być czymś, co może nas połączyć? – pytam Sylwestra Klimiuka.

– Absolutnie tak – odpowiada. – Każdy, kto zechce przeżyć nie tylko coś duchowego, a również kulturowego, przy kapliczce znajdzie coś dla siebie. Może porozmawiać z sąsiadem czy włączyć się w pozytywne współzawodnictwo „podwórkowych opiekunów” kapliczek.

REKLAMA – Nie spotkałem się z sytuacją, żeby ktoś modlił się przy kapliczce podwórkowej, za to widuję przy nich sporo wycieczek i fotografów – mówi Jarek Zuzga. – Dla mnie kapliczki są silnym przekaznikiem ludzkich emocji z czasów, gdy powstawały. Tę skumulowaną w nich emocjonalną energię można poczuć do dziś, niezależnie od tego, czy jest się osobą wierzącą, czy nie. Taki *genius loci* w mikroskali. Kiedy widzę zadbaną kapliczkę w podwórku, zawsze ciepło myślę o osobie, która się nią zajmuje. Wydaje mi się, że wtedy cały dom jest zadbany i pod dobrą opieką. Czyją? Trudno powiedzieć, ale może to być i staruszka z parteru, która pamięta czasy okupacji, i porządny dozorca, albo administracja domu, która poważnie podchodzi do swoich obowiązków. Czy nawet młoda, przyjezdna osoba, która odkryła w stolicy swoją nową małą ojczyznę.

Kiedy postanowił, że reklama nie przykryje kapliczki przy Wolskiej, najpierw zapytał ludzi o zdanie na Facebooku: „Czy warto walczyć? Nawet nie o dom czy kapliczkę, ale o zasady. O to, że nie wolno

tak bezmyślnie zasłaniać wszystkiego reklamami. Że warto najpierw przyrzeć się, czy czasem nie robimy komuś zwykłej przykrości, czy kogoś w ten sposób nie urazimy. Czy nie zasłaniamy jakiejś pamiątki przeszłości”.

Większość jest za. Post robi furorę i przyciąga uwagę firmy, która rozwiesiła reklamę. Następuje wymiana maili i komentarzy. Wydaje się, że sprawa umrze, jak wiele podobnych. Ale nie umiera. „W planecie reklamowej wycięto okrągły otwór, dokładnie na wysokości kapliczki. Wracając z pracy ul. Wolską omal nie powoduję wypadku, gdy zauważam to w ostatniej chwili i hamuję na poboczu” – napisze Zuzga.

– Kapliczka nadal jest na swoim miejscu, choć kilkakrotnie pojawiała się informacja, że pobliska parafia chętnie przyjmie ją pod swoje skrzydła, jeśli budynek miałby być rozebrany – mówi mi dziś. – Z jednej strony doceniam ten gest, z drugiej uważam, że przeniesienie medalionu odebrałoby mu część emocjonalnej wartości, którą ze sobą niesie. Bo to właśnie obok tej kamienicy pędzono warszawiaków w sierpniu 1944 r. do punktu selekcyjnego przy kościele św. Wojciecha.

Zuzga ma nadzieję, że budynek, wobec którego toczy się postępowanie reprivatyzacyjne, ocala.

– Widuję tu grupy turystów z aparatami, dostałem też propozycję oświetlenia medalionu – mówi. – A niedawno pod kapliczką ktoś położył kwiaty. Nigdy wcześniej się to nie zdarzało.

© MARIUSZ SEPIŃSKI

LATO NA WYSPACH

Brytyjczycy cieszą się wakacjami. Nie chcą myśleć o brexicie, o jesiennej drugiej fali epidemii ani o kryzysie gospodarki. Jeszcze nie.

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

WGORĄCE SOBOTNIE POPOŁUDNIE łąka koło mostu nad Tamizą, łączącego Pangbourne i Whitchurch-on-Thames, szybko się zapełnia. Rodziny z dziećmi, grupy nastolatków, psy. Ktoś przygotowuje do zwodowania kajak, ktoś już jest na wodzie, na popularnej *paddleboard* – desce do wiosłowania na stojąco. Nieopodal trwają przygotowania do imprezy urodzinowej: postawiono ogrodowy namiot, goście już się schodzą, niosą prezenty i własne składane krzeselka. To alternatywa wobec rodzinnego spotkania dla tych, którzy nie mają domu z ogrodem.

Łąka w Pangbourne zawsze była celem spacerów okolicznych mieszkańców. Miejscem, gdzie można poczytać, pokarmić kaczki czy pograć w piłkę. Ale nigdy jeszcze nie była tak obleżona jak dziś. Podobnie jak ścieżka wzdłuż rzeki, na której teraz co chwila mijają się – co trzeba podkreślić, z zachowaniem dystansu i ostrożności – piesi i rowerzyści.

To, co w weekendy dzieje się w Pangbourne, jest jednak idylliczną sielanką w porównaniu do zatłoczonych plaż i promenad w nadmorskich miejscowościach. Rząd zalecił Brytyjczykom spędzenie wakacji w kraju – wielu posłuchało i teraz z desperacją szuka miejsca, by nacieszyć się słońcem i wolnością po tygodniach narodowego lockdownu. Z sondaży wynika, że tylko co jedenasty Brytyjczyk wyjedzie w tym roku na urlop za granicę.

O czym szumią wierzby

Niewielka rzeka Pang, od której pochodzi nazwa miejscowości, wpada do Tamizy nieco powyżej mostu. Wcześniej przecina podmokłe łąki, pastwiska i niewielkie zagajniki. Korzenie drzew, zanurzone w wodzie, dają schronienie wszelakim wodnym stworzeniom, w tym rakom, których kiedyś żyło tu sporo (teraz są zagrożone przez swojego amerykańskiego kuzyna, raka sygnałowego, sprowadzonego do Europy kilkadziesiąt lat temu).

Na pierwszy rzut oka okolice rzeki niewiele zmieniły się od czasów, gdy miały być inspiracją dla Kennetha Grahame'a, autora słynnej książki dla dzieci „O czym szumią wierzby”, której pierwsze wydanie ukazało się 112 lat temu.

Biały Koń z Uffington, figura licząca ok. 3 tys. lat, to cel wielu Brytyjczyków, którzy w tym roku spędzają urlop w kraju.

To właśnie tu, nad brzegiem Pang, Grahame miał zobaczyć szczura wodnego, jednego z głównych bohaterów opowieści. Do miana pierwowzoru rzeki, opisanej przez pisarza, pretenduje jednak kilka miejsc, a Grahame zamieszkał w Pangbourne już po napisaniu książki. Natomiast wiadomo, że tutaj spotkał się z Ernestem Howardem Shepardem, znanym malarzem i ilustratorem (twórcą wizerunku Kubusia Puchatka) – i skierował Sheparda do swoich kilku ulubionych miejsc nad rzeką, które stały się potem motywem jego ilustracji.

W sumie to nieważne, czy Grahame opisał Tamizę, Pang czy inną rzekę. „O czym szumią wierzby” to przede wszystkim magiczno-sielankowy obraz angielskiej prowincji – wciąż w znacznym stopniu aktualny.

Teraz, gdy zmęczeni ostatnimi miesiącami Brytyjczycy szukają wytchnienia, nie tylko na łące nad rzeką, ale też na samej rzece zrobiło się tłoczniej. Kąpiących się mijają typowe dla brytyjskich rzek i kanałów *narrowboats* – wąskie długie łodzie, rodzaj barek, nierzadko z ziołowym ogródkiem na płaskim dachu kabiny. Są też łodzie większe. I oczywiście pojawiają się stada kaczek i gęsi.

Przy białej ażurowej balustradzie zabytkowego mostu gromadzi się kilku chłopców. Najstarszy, może 15-letni, przypomina młodszym, jak przygotować się do skoku. Po chwili sam staje na balustradzie – skok, fontanny wody, śmiech. Za nim skaczą kolejni, a po nich grupa dziewczyn. Skaczą, nieustraszeni siłą swych kilkunastu lat, beztroski i szczęśliwi.

W takiej chwili nikt nie myśli o koronawirusie.

Prawo wolnych ludzi

Nieco powyżej mostu, przy śluzie, stoi pub The Swan (Łabędź), którego historia sięga XVII stulecia. On też zapisał się w literaturze: jako miejsce, gdzie „Trzech panów w łódce nie licząc psa” Jerome'a K. Jerome'a zakończyło w 1889 r. swoją rzeźną wyprawę.

Przy pubie można przycumować i od razu z łodzi wejść na taras, gdzie serwowane są piwo oraz ryba z frytkami, a także bardziej wyszukane dania. A raczej, tak było do epidemii. Jak wszystkie takie lokale, pub pozostawał zamknięty przez długie miesiące. Po ponownym otwarciu działa zgodnie z nowymi za-

sadami: goście muszą rezerwować stół i zarejestrować się w specjalnym systemie, podając swoje dane kontaktowe. To część zaleceń rządowych, mających ułatwić dochodzenie epidemiologiczne w razie zakażenia koronawirusem wśród odwiedzających. Mimo tych obostrzeń w weekend na miejsce w Łabędziu nie ma szans.

Otwarcie pubów, na które rząd Borisa Johnsona zezwolił 4 lipca, było dla wielu Brytyjczyków świętem. Niektórzy zjawili się na progu ulubionych lokali już w porze śniadania.

Bo brytyjski pub to coś więcej niż knajpka, gdzie można napić się piwa. Szczególnie w małych miejscowościach i na wsi jest to miejsce spotkań mieszkańców, to często też zapis lokalnej historii – jak choćby Łabędź. Dlatego gdy pod koniec marca rząd informował o kolejnych restrykcjach, w tym o zamknięciu pubów, Johnson się tłumaczył: „Zdaję sobie sprawę, że to, co robimy, jest nadzwyczajne. Odbieramy pradawne niezbywalne prawo wolnych ludzi Zjednoczonego Królestwa, aby pójść do pubu”.

Teraz prawo to zostało przywrócone, ale kłopoty dla pubów wcale się nie kończą. Wiele mieści się w starych zabytkowych budynkach: wcześniej ciasnota mało komu przeszkadzała, ale dziś trudno tu o zachowanie dystansu. Mogą więc wpuszczać znacznie mniej klientów. Wiosennych strat nie mogą odrobić też puby w centrach miast: nadal nie wrócili pracownicy biur, teraz pracujący zdalnie, którzy kiedyś chętnie wstępowali po pracy na pintę guinnessa.

Ale, przede wszystkim, jak wynika z sondażu ośrodka YouGov: z powodu zagrożenia koronawirusem prawie połowa pytanym Brytyjczyków deklaruje, że nadal nie czułaby się w pubie komfortowo. Prawie 80 proc. ankietowanych ocenia wyjście do pubu jako ryzykowne. W pierwszych tygodniach po otwarciu ulubiony lokal odwiedziło tylko 20 proc. Ponad 30 proc. ma zamiar to zrobić, ale później.

Powrót do pubu trochę jeszcze potrwa. Pytanie więc, czy pandemia nie zmieni trwale brytyjskich przyzwyczajeń. A także, czy wszystkie puby ją przetrwają.

Na rachunek Rishiego

Na pomoc całej gastronomii – pubom, kawiarniom, restauracjom – stara się przyjąć minister finansów Rishi Sunak, →

→ który ogłosił program pod chwytliwym hasłem „Eat Out to Help Out” (co z grubsza można przetłumaczyć jako: „Jedz, aby pomóc”). Przez cały sierpień w lokalach biorących udział w programie goście mogą liczyć na 50-procentową zniżkę na jedzenie i napoje (z wyjątkiem alkoholu), choć tylko do wysokości 10 funtów na osobę. Ma to zachęcić Brytyjczyków, aby zaczęli wychodzić z domu i wsparli gospodarke.

W pierwszych dniach sierpnia media społecznościowe zalała seria postów zadawolonych gości, posilających się – jak pisano – „na rachunek Rishiego” oraz deklarujących żartobliwie, że właśnie wspierają kraj, zając się burgerami i stekami.

Jednocześnie program spotkała krytyka. Niezadowoleni argumentowali, że zachęca do nadmiernego jedzenia, i to jedzenia kalorycznego oraz niskiej jakości. W programie biorą bowiem udział także sieci fast foodów – i to przed nimi w pierwszych dniach ustawiały się kolejki.

Paradoksalnie dzieje się to w chwili, gdy Boris Johnson wypowiedział narodową wojnę otyłości, zapowiadając m.in. zakaz reklamowania niezdrowych produktów w telewizji i sklepach. Problem nie jest nowy: Brytyjczycy od lat są w niechlubnej czołówce narodów cierpiących na nadwagę. Jako otyłych klasyfikuje się na Wyspach ponad 13 mln dorosłych (na 67 mln obywateli); otyłe jest też co piąte dziecko w wieku 10-11 lat.

Bardziej zdecydowaną reakcję rządu wymusił zresztą koronawirus. Nadwaga może przyczynić się do cięższego przebiegu choroby, o czym miał okazję przekonać się osobiście sam premier.

Jak ma się to do frytek za połowę ceny? Rząd broni programu Sunaka – bo przecież zniżka obowiązuje też na sałatkę, a każdy może zamówić, co chce.

Brexit, jak zawsze

W cieniu epidemii minęła też pierwsza rocznica objęcia przez Johnsa stanowiska premiera. Rok temu, gdy nim został, miał jeden cel: doprowadzić do brexitu.

W zasadzie mu się udało, umowa o wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej została przyjęta i obecnie trwa okres przejściowy, podczas którego miały zostać wypracowane nowe relacje Londynu z Unią. Sądzone, że negocjacje będą



Neolityczny kamienny krąg w Avebury w hrabstwie Wiltshire, lipiec 2020 r.

trudne, ale nikt nie przewidywał epidemii. Rozmowy się więc toczyły bez większego powodzenia, tyle że zniknęły z pierwszych stron gazet.

Porozumienie wciąż jest możliwe, ale czasu coraz mniej. Kolejne rozmowy zaczęły się w drugiej połowie sierpnia. Ich fiasko, czego skutkiem byłby brexit bez umowy z Unią i wszystkie związane z tym konsekwencje, nie pomogłoby Johnsonowi w poprawieniu wizerunku rządu.

Strategiczne błędy, jakie gabinet Johnsona początkowo popełniał w walce z wirusem, jeden z najwyższych w Europie wskaźnik zgonów na COVID-19 (do początku sierpnia zmarło ponad 46 tys. ludzi, zaś infekcję zdiagnozowano u ponad 306 tys.), narastające problemy gospodarcze, a do tego napięcia w relacji z Chinami wokół Hongkongu [patrz „TP” nr 30 – red.] – jest tego sporo i Johnson ma się czym martwić. Według sondażu YouGov, w połowie czerwca brak aprobaty dla rządu zaczął przewyższać poparcie i odtąd trend ten się umacnia. Dziś poparcie dla rządu deklaruje tylko 34 proc. pytanych.

Szkocja, jakżeby inaczej

Co ciekawe, o ile epidemia nadszarpnęła reputację Borisa Johnsona, o tyle szefową

szkockiego rządu autonomicznego Nicolę Sturgeon wzmocniła. A precyzyjnie, wzmocniła ją nie tyle epidemia, co sposób, w jaki lokalne władze na nią zareagowały.

Szkocja, w porównaniu z Anglią, radzi sobie z wirusem nadzwyczaj dobrze – w ostatnim czasie odnotowywano tam niewiele nowych przypadków COVID-19. Zdeteminowana, by powstrzymać koronawirusa, Sturgeon nie traci przy tym okazji, żeby podkreślać różnice między Szkocją i Anglią. W pewnym momencie nie wykluczała nawet wprowadzenia kontroli osób wjeżdżających do Szkocji z południa, co doprowadziło do politycznej słownej przepychanki na temat istnienia (bądź nie) granicy szkocko-angielskiej.

W przyszłości kwestia granicy może okazać się jak najbardziej realna, bo poparcie dla niepodległości Szkocji rośnie – i można podejrzewać, że ma na to wpływ także sukces Sturgeon jako sprawdzonej liderki w czasie pandemii. Według danych z początku lipca, za niepodległą Szkocją opowiada się 54 proc. ankietowanych mieszkańców tego kraju, zaś 46 proc. popiera unię z Londynem.

Przewaga zwolenników niepodległości zaczyna być stałym trendem. Na tyle poważnym, że Johnson pofatygował się ostatnio z wizytą na północ, by przypomnieć o znaczeniu unii i jedności państwa w czasie epidemii.

Przed pomnikiem Churchilla

Na początku pandemii Brytyjczykom sugerowano, że społeczeństwo ma szansę osiągnąć tzw. odporność stadną. Potem powiedziano im stanowczo, żeby zostali w domach. Teraz premier stara się ich skłonić, aby porzucili „domowe biura” i wracali do pracy i sfery publicznej (choć z zachowaniem reżimu sanitarnego). Wszak od tego zależy również przetrwanie sklepów, barów i kawiarni w centrum miast, gdzie rzesze urzędników zwykle kupowały kanapki, kawę na wynos i ciasta.

Na razie jednak w godzinach porannego szczytu londyńskie metro nadal jest pustawą. Podobnie stacje w centrum. Choć do miasta powoli wracają turyści – można ich spotkać przy budynkach parlamentu i opactwa westminsterskiego.

W tej okolicy zawsze jednak coś się dzieje. Ostatnio podczas antyrasistowskich protestów uwagę przyciągały po-

mniki, w tym Winstona Churchilla, na którym napisano „Rasista”. Teraz dwóch mężczyzn w podkoszulkach z brytyjską flagą ustawiło przed pomnikiem napis „Bohater”. Z drugiej strony pomnika czarnoskóry mężczyzna w eleganckim garniturze i z niewolniczym łańcuchem na szyi rozwiesza flagę Jamajki i ustawia kartonowe plansze. Wynika z nich, że domaga się sprawiedliwości dla swego nieżyjącego już ojca, który należał do „pokolenia Windrush”.

Po II wojnie światowej, gdy w Wielkiej Brytanii brakowało rąk do pracy, do imigracji zachęcano mieszkańców Jamajki i innych państw karaibskich. Kilka lat temu okazało się, że w wyniku błędów ministerstwa spraw wewnętrznych ludzie ci i ich rodziny nie mają dokumentów, by udowodnić swoje prawo pobytu na terenie Brytanii. Tym samym utracili prawo do ubezpieczenia i świadczeń socjalnych, a część z nich deportowano.

Określa się ich jako „pokolenie Windrush” – od nazwy jednego ze statków, którym przybyli. Teraz do sprawy Windrush – jako przestrogi – wraca się przy okazji uregulowania pobytu obywateli Unii Europejskiej, mieszkających i chcących pozostać na Wyspach po brexicie. Choć pandemia utrudniła załatwianie spraw urzędowych, termin na uzyskanie tzw. statusu osiedlonego się nie zmienił.

Wielkowiejska namiastka

Latem zwykle nie sposób przejść pieszo przez Most Westminster. To jedna z najbardziej popularnych tras turystycz-

nych, prowadząca spod parlamentu na drugi brzeg rzeki, gdzie mieści się koło obserwacyjne London Eye i inne atrakcje. Teraz jednak przechodniów jest mało, choć optymistycznie otwarto już stoiska z kawą i lodami.

Idąc dalej wzdłuż nabrzeża, za kolejnym mostem dochodzimy do centrum kulturalnego Southbank. Pod koniec lipca było jeszcze zamknięte, ale na nabrzeżu życie wróciło już właściwie do normy. Na ławkach liczni spacerowicze, uliczny sprzedawca książek układa kolejne tomy na swoich stolikach, świeci słońce, biegają dzieci. Skaterzy jak zwykle ćwiczą na deskorolkach. Jest błogo i leniwie. Trwa właśnie odpływ, więc można zejść schodkami na dół – tam, gdzie cofające się wody Tamizy odsłoniły piach i kamienie. Gdzieś tam jest tak dużo, że kilka rodzin rozłożyło koce, dzieci bawią się wiaderkami i foremkami.

Po drugiej stronie rzeki widać City, centrum finansowe i biznesowe, ciągle jeszcze opustoszałe. Jednak w okolicach Southbank o pandemii można zapomnieć, choćby na chwilę. Dla tych, którzy nie mogą lub nie chcą wyjeżdżać dalej, to wielkowiejska namiastka wakacji. Bo dalsze podróże są ryzykiem: ostatnio rząd ogłosił, że zaledwie kilkugodzinnym wyprzedzeniem, przywrócenie 14-dniowej kwarantanny dla powracających z wakacji w Hiszpanii (gdzie ostatnio notuje się kilka tysięcy nowych infekcji dziennie).

Ale krajowe wakacje też nie są wolne od stresu. Bardzo trudno jest o miejsca na polach kempingowych w Kornwalii

czy na południu Anglii, a ze względu na tłumy niektóre plaże zostały określone przez lokalne władze jako „nie do opanowania”. Także ceny noclegów idą w górę. Może trudno się dziwić, skoro na krajowe wakacje decyduje się w tym roku prawie 20 mln Brytyjczyków. Pozostali zostają w domach.

Powiew spokojnego lata

Są jednak wciąż miejsca, gdzie jest spokojnie.

Biały Koń z Uffington to słynna figura rumaka, długa na ponad 100 metrów, „narysowana” w wapieniu na stoku wzgórza w hrabstwie Oxfordshire (jej powstanie, co najmniej kilkaset lat przed naszą erą, przypisuje się Celtom).

Choć już rankiem parking przy Białym Koniu zapełnia się szybko, to przestrzeń łagodnych zielonych wzgórz pozwala turystom rozproszyć się i nie wchodzić sobie w drogę. Gdzieś tam są nawet zakątki, gdzie nie ma nikogo. Można wtedy usiąść w wysokiej trawie i poczuć ciepły powiew angielskiego spokojnego lata.

No i zawsze jest Tamiza lub jakaś inna rzeka. Bo, jak to mówił Szczur Wodny z opowieści Kennetha Grahama’a: „Wierz mi, młody przyjacielu, nie ma nic, naprawdę nic, co dałoby się porównać ze zwyczajną wólcęją łodzią. Po prostu płynąć (...) płynąć... łodzią... płynąć...”.

Podczas pandemii to być może najbezpieczniejszy sposób na wakacje.

© © PATRYCJA BUKALSKA

TP

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU” SPECJALNY DODATEK

1980 – POLSKI ROK

40 lat temu, w lipcu i sierpniu 1980 r., Polskę wstrząsnęła fala strajków. Z czasem coraz bardziej masowych, rozlewających się na cały kraj.

To z nich narodziła się Solidarność: ruch związkowy i obywatelski, rzucający wyzwanie rządzącym w PRL.

Chcemy o tym opowiedzieć – także z perspektywy ludzi, którzy brali udział w tych wydarzeniach. W dodatku:

- ŁUKASZ KAMIŃSKI narysuje zbiorowy portret Solidarności ■ JAN SZKUDLIŃSKI opowie, jak 40 lat temu wyglądało lato w Gdańsku i Trójmieście
- TOMASZ KOZŁOWSKI sportretuje „anatomię rewolucji”: co działo się w różnych miejscowościach w całej Polsce w lipcu i sierpniu 1980 r.

„Tygodnik” z dodatkiem w kioskach od środy 12 sierpnia

WSPÓŁWYDAWCA:

PARTNERZY:



Komisja Europejska



Trzy oblicza kryzysu

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

„Bolszewicy, anarchiści, rozsiewacze chorób”

– tak premier Netanjahu mówi o demonstrantach, którzy koczują pod jego oknami. Wie jednak, że jego złota klatka się trzęsie.

TO JUŻ DRUGI MIESIĄC Z RZĘDU, ODKĄD Izraelczycy masowo wychodzą na ulice swoich miast w całym kraju. Także w sercu całego zamieszkania, czyli przy ulicy Balfoura w Jerozolimie, w pobliżu domu premiera.

Tego Benjamin Netanjahu zapewne się nie spodziewał. Ani w maju, gdy w rządzie jedności narodowej łączyły siły ze swym największym politycznym wrogiem Bennym Gancem. Ani wówczas, gdy triumfalnie ogłaszał koniec pierwszej fali epidemii i zapraszał Izraelczyków do wspólnego świętowania.

Już kilka tygodni później sytuacja zmieniła się dramatycznie. Druga fala epidemii wymogła na rządzących powrót do niektórych ograniczeń. Usiłowano godzić to z podtrzymaniem aktywności ekonomicznej kraju. Bo Izrael ma już najwyższe w swej historii bezrobocie (26 proc.; przed epidemią było to 4 proc.) i nie może pozwolić sobie na kolejne zamrożenie gospodarki.

Próba uwzględnienia wszystkich racji skończyła się serią nieprzemyślanych decyzji, często już po chwili odwoływanych, oraz ogromnym chaosem. Oliwy do ognia dołał fakt, że rząd nie wypłacił na czas zapomóg dla firm mających kłopoty. A także ten szczególny kontekst, jakim jest trwające postępowanie sądowe przeciw „Bibiemu” (jak nazywany jest premier), oskarżonemu o korupcję, defraudację i nadużycie zaufania.

Kryzysowa kumulacja

Teraz dzienny przyrost zachorowań na COVID-19 sięga 2 tys. przypadków. W Izraelu odnotowano dotąd 80 tys. infekcji, z czego do początku sierpnia zmarło niemal 580 osób.

– Kryzys społeczeństwa ma trzy oblicza – mówi „Tygodnikowi” prof. Tamar Hermann, badaczka ruchów społecznych i protestów politycznych. – Pierwsze do-

tyczy epidemii, choć sytuacja nie jest najgorsza: liczba zmarłych nie poraża, społeczeństwo jest relatywnie młode, mamy dobrą służbę zdrowia. Drugie to ekonomia i dramatyczne bezrobocie. To nowość, bo dotąd poczucie bezpieczeństwa rynku pracy było w Izraelu wysokie. Dodatkowo ci, którzy najbardziej teraz cierpią, to młodzi ludzie i pracownicy zawodów słabo płatnych. Widzę tu już mocny podział w społeczeństwie, którego wcześniej nie doświadczaaliśmy.

– No jest i trzecia kwestia – dodaje Hermann. – To kryzys polityczny, którego początku należy upatrywać już pod koniec 2018 r., gdy zapadła decyzja o przyspieszeniu wyborów. Ani po dwóch głosowaniach w 2019 r., ani po ostatnim, na początku marca tego roku, nie udało się wyłonić silnego rządu. Utworzenie gabinetu jedności wymusiła dopiero epidemia. I oto stało się coś, co sprawiło, że wiara ludzi w politykę ostatecznie się zachwiała: Ganc, czyli główny przeciwnik premiera, wraz z częścią swoich ludzi opuścił wła-

sną partię i dołączył do Netanjahu. Utwierdziło to ogólne przekonanie, że sprawami obywateli nie ma się kto zająć.

Czy „Bibi” jest niezastąpiony

Sobota, godzina osiemnasta, tuż przed końcem szabatu. Na mostach w Tel Awiwie pełno protestujących: młodych, starszych, rodzin z dziećmi. Ubrani w czarne koszulki, powiewają czarnymi flagami. Albo: czarnymi z białą gwiazdą Dawida. Samochody zatrzymują się, trąbią, kierowcy machają, pokrzykują z okien, zapewniają o poparciu. Z głośników dobiega muzyka, stojący na moście pozdrawiają się, śpiewają. Ale protestującym nie jest do śmiechu.

Raja i Amnon są emerytami. Mówią, że na protest przyszli dla swoich dzieci i wnuków. – Jesteśmy z powodu korupcji, która rozsada izraelską politykę. Czegoś takiego nigdy tu nie było. Chcemy, żeby nasze wnuki mogły spokojnie żyć, żeby miały swoją przyszłość – mówi Raja.

Małżonkowie są sabrami – urodzili się tutaj, zanim jeszcze w 1948 r. powstało państwo Izrael. – To znaczy, że jesteśmy Palestyńczykami! – uśmiecha się Amnon, którego rodzice przybyli z Polski.

– Chciałabym, żeby przyszłość tego kraju zasadzała się na pokoju między nami i Palestyńczykami, Arabami – dodaje Raja. – Nasza przyszłość byłaby wówczas dużo lepsza. Protestuję też przeciw okupacji przez Izrael ziem palestyńskich. Ona zatrała ludzi i jest powodem wielkiego podziału.

– Prawica mówi, że bez Netanjahu kraj stanie w płomieniach, że nie można dogadywać się z Palestyńczykami bez perspektywy rozlewu krwi, i że tylko „Bibi” jest w stanie ochronić Izrael twardą ręką... – oponuje.

– Powiem pani coś, co może zabrzmi twardo: cmentarze pełne są ludzi niezastąpionych – mówi Amnon. – Nie życzę „Bibiemu” śmierci, oj nie. Ale historia pokazuje, że po liderach, którzy wydawali się niezastąpieni, przychodzili ludzie niepozorni, szarzy, niby mało ciekawi, którzy robili naprawdę dobrą robotę. Jak Eszkol po Ben Gurionie albo Szamir po Beginie.

Raja: – Dlaczego ludzie uważają, że bez Netanjahu sobie nie poradzimy, że jest taki wspaniały? Nie rozumiem tego. Nie chcę takiego kraju dla moich wnuków. Netanjahu podsyca nienawiść między ludźmi.

Tamar protestuje w swoje 49. urodziny.



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



Izraelczycy protestują przeciwko premierowi Benjaminowi Netanjahu. Jerozolima, 1 sierpnia 2020 r.

Lęk przed dyktaturą

Szirli prowadzi arteterapię. Na protesty zabiera trójkę dzieci. Spotyka tam sąsiadów, inne rodziny, skrzykują się na grupach w WhatsAppie. Co tydzień w soboty o osiemnastej.

Szirli: – Moje dzieci mają kolegów w szkołach i w przedszkolu, którzy przechodzą na te protesty z rodzicami. Myślę, że to dla nich doskonała lekcja demokracji. To ważne, żeby dzieci rozumiały, że nie żyjemy w próżni, że o swój kraj, o nasz Izrael, należy dbać i go szanować. Robię to, bo jak patrzę na to, co wyczynia „Bibi”, jak zagarnia naszą rzeczywistość kawałek po kawałku, to się boję, że moim dzieciom przyjdzie już żyć w dyktaturze.

Do protestów dołącza Rywka, teściowa Szirli. – Korupcja zawsze w Izraelu istniała, ale nigdy na taką miarę jak obecnie – tłumaczy swój akces. – Nie mam pomysłu, kto mógłby premiera obecnie zastąpić, ale ten przekroczył już wszelkie granice. Najwyższy czas, by ustąpił.

Jair, wiceszef firmy biotechnologicznej, na protesty chodzi z wielką flagą Izraela: – Mam dosyć lidera, który ma kiepskie umiejętności zarządzania i ciągle znajduje się w jakimś konflikcie interesów. Który przez cały czas stawia osobiste in-

teresy ponad interesami kraju. Nie mogę też wytrzymać mowy nienawiści, którą nas tak okropnie podzielił.

Temperatura debaty

Tymczasem komentując protesty Benjamin Netanjahu okazuje cynizm. Uczestników oskarża o „przenoszenie chorób”, organizatorów nazywa „anarchistami”. Twierdzi, że pomysły na protesty rodzą się „w luksusowych hotelach”. Pracę mediów, które informują o protestach, nazywa „bezczelną propagandą bolszewickiej lewicy”.

W ostatnich tygodniach agresja w debacie publicznej osiągnęła w ogóle wysoki poziom, przenosząc się także na ulice. Policja używała siły, doszło też do poważnych utarczek między zwolennikami i przeciwnikami premiera. Najbardziej niepokojące wydarzenie miało ostatnio miejsce w Tel Awiwie, gdy na protestujących napadła grupa zwolenników skrajnej prawicy z grupy La Familia, która wspiera rządzącą partię Likud. Szczęśliwie nikt nie zginął, ale połała się krew.

Prof. Tamar Hermann: – Mimo tych wydarzeń nie powiedziałabym, że przemoc polityczna jest w tej chwili ogromnym problemem. To nie to samo, co pro-

testy Black Lives Matter. Policja, która z początku używała siły, teraz kontroluje tłum w inny sposób. Ale oczywiście nie wykluczam, że przy takiej temperaturze debaty może wydarzyć się jeszcze coś strasznego. To jest jak epidemia: nie wiadomo, skąd przyjdzie. Jednocześnie w badaniach widzę, że ktoś, kto sięga po przemoc, od razu traci legitymację ze strony opinii publicznej.

Czarne flagi

Szikma Schwartzman Bresler nie spodziewała się, że protesty urosną do takich rozmiarów. Do niedawna głównym jej zajęciem była praca naukowa. Jednak w ostatnich miesiącach ta fizyczka z prestiżowego Instytutu Weizmanna stała się inicjatorką Ruchu Czarnych Flag, który wyprowadził na ulice dziesiątki tysięcy Izraelczyków.

– To nie jest tak, że myśmy to wszystko zaczęli, to stało się już wcześniej – mówi dr Schwartzman Bresler „Tygodnikowi”. – Nie planowaliśmy zakładania ruchu, mamy absorbujące zajęcia: jestem naukowcem, a moi bracia inżynierami. Po godzinach pracy zaczęliśmy działać na rzecz demokracji, ludzie do nas dołączyli. Jestem zaskoczona, ale też szczęśliwa, ⇨

⇒ że w tym, co robimy, inni się odnajdują. Ale przed nami jeszcze długa bitwa.

O Ruchu Czarnych Flag zrobiło się głośno po marcowych wyborach, gdy Netanjahu i Ganc zdecydowali się utworzyć rząd jednności narodowej. Ale prawdziwego rozpędu nabrał, gdy latem, w obliczu drugiej fali epidemii, rząd zaczął wprowadzać chaotyczne ograniczenia, które pozbawiły pracy i rozwścieczyły tysiące Izraelczyków.

Schwartzman Bresler: – W połączeniu z procesem Netanjahu, „korona” i chaos w zarządzaniu kryzysowym dołączyły tylko oliwy do ognia. Poza tym nagle zorientowaliśmy się, że coś, co dotąd działo się powoli, zaczęło nabierać tempa. Że premier odbiera nam podstawowe poczucie równości. Że w tak trudnym czasie zauważamy, iż mamy przywództwo, któremu nie możemy ufać. Że ono nie dba o ludzi. Cała uwaga premiera skupia się na jego własnych interesach.

Kwestia reguł

Teraz jej inicjatywa żyje własnym życiem. O liczbie uczestników niewątpliwie decyduje też miejsce spotkań: to najbliższy most, plac, skrzyżowanie. Mieszkańcy skrzykują się lokalnie. Pomysł zgromadził ludzi o różnych poglądach czy społecznym statusie.

Prof. Hermann: – Takie protesty w Izraelu to nie jest rzecz nowa, zdarzały się już w przeszłości na dużą skalę. Ale charakterystyczne dla obecnego ruchu jest to,

że jego agenda jest tak różnorodna. Dołącza do niego wielu młodych ludzi, bo jest lato, robi się trochę Woodstock. Pocho- dzą z różnych środowisk, mają różne problemy. Oczywiście, sporą część protestu- jących łączy hasło wyrzucenia „Bibiego” z polityki, ale nie ma tu żadnej wspólnej agendy, nie wiadomo, co poza tym chcą osiągnąć.

– Fakt, nie jesteśmy jednorodni w naszych przekonaniach – zgadza się dr Schwartzman Bresler. – Nawet z moimi braćmi i przyjaciółmi, z którymi założyliśmy ruch, mamy różne poglądy na najważniejsze dla Izraela kwestie: rozwią- zanie konfliktu z Palestyńczykami, miej- sce religii w państwie, ekonomię. I do- brze, bo w naszym ruchu nie chodzi o kla- syczne polityczne kwestie, lecz o reguły gry. Chcemy, aby każdy konflikt w kraju był rozwiązywany za pomocą reguł de- mokracji, a nie dyktatury.

Pragnienie zmiany

Czy protesty, w których udział biorą lu- dzie o różnych interesach i poglądach, mają sens?

Jair: – Przychodzę tu co sobotę, już któ- ryś tydzień z rządu. Mam poczucie, że po- parcie dla tych protestów narasta, za każ- dym razem widzę więcej ludzi. To mnie podnosi na duchu.

Szikma Schwartzman Bresler: – W Knesecie są dziesiątki fantastycz- nych parlamentarzystów, którzy mogliby coś zmienić. Ale oni ciągle żyją w cie-

niu Netanjahu. To on blokuje horyzont. A prawda jest taka, że byli politycy przed nim i będą też po nim.

Fizyczka chciałaby poszerzyć skalę protestów: – Wierzę, że im więcej nas na ulicach, tym szybciej Netanjahu znik- nie z naszego życia politycznego. W tej chwili mówimy o dziesiątkach tysięcy na ulicach. Ale nasz potencjał to miliony. Naprawdę w to wierzę.

Tamar, którą spotykam na jednym z mostów w Tel Awiwie, właśnie dziś kończy 49 lat. Na Facebooku poprosiła znajomych, aby zamiast składać jej życze- nia, poszli demonstrować. Sama na prote- sty Czarnych Flag przychodzi regularnie. – Wczoraj byłam na ulicy Balfoura w Je- rozolimie, w zeszłym tygodniu w Haj- fie, dwa tygodnie temu tu, w Tel Awiwie – mówi Tamar. – Wierzę, że te protesty coś zmieniają. Widać, jak w Likudzie na- rasta stres. Choć „Bibi” łatwo nie odpuści, sam z siebie nie odejdzie. Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Ale naprawdę wie- rzę, że będzie zmiana i to niedługo.

Na protest przyszła z plakatem wła- snego autorstwa. Napisała na nim słowa aktora Jossiego Tzabariego: „Bibi odejść, bo nas zniczyłeś, bo zdeptałeś, bo ograbi- łeś. Odejść, bo już po prostu mamy dość”.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Posłuchaj w Podkaście Powszechnym: Karolina Przewrocka-Aderet („TP”) i Ofer Aderet („Haaretz”) komentują protesty w Izraelu: powszech.net/podkast

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cykliów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM

czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana

Magdaleny Łanuszki, która odkrywa
dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela

korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na powszech.net/podkast



SALES||manago
marketing automation



Krymskie dzieciństwo

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

„Staram się dawać im przykład godnego zachowania wobec represji. Nie chcę, aby rosły w nienawiści” – tak o swoich czworgu dzieciach mówi Mumine Salijewa. Jej mąż Sejran siedzi w rosyjskim więzieniu.

TATA NIE ZAGRA Z NIMI W PIŁKĘ, NIE nauczy jeździć na rowerze, nie może odrobić lekcji. Niektóre urodziły się, gdy ojciec był już uwięziony – mogą go zobaczyć na fotografiach i nagraniach z sądów. Na Krymie, anektowanym przez Rosję ponad sześć lat temu, na powrót taty oczekuje 184 dzieci z rodzin krymskotatarskich więźniów politycznych.

Stroganowka, Krym

W pogodne piątkowe popołudnie, 24 lipca, we wsi Stroganowka w rejonie (tj. powiecie) symferopolskim zniknął trzyletni Musa. Chłopczyk bawił się w piaskownicy obok domu. Jego mama, Elzara Sulejmanowa, zostawiła go tam na chwilę, aby pomóc chorej teściowej. Odkąd półtora roku temu rosyjskie służby aresztowały jej męża Rusłana, a także jego brata, została sama z trójką dzieci.

Plakaty ze zdjęciem czarnookiego malca momentalnie obiegły Krym. Musy szukało łącznie kilkanaście tysięcy ludzi. W pomoc zaangażowali się nie tylko Tatarzy Krymscy, ale też inni mieszkańcy Półwyspu: Ukraińcy i Rosjanie przychodzili do Tatarów, mówiąc, że sami mają dzieci, więc rozumieją strach i ból matki. Mówili też, że wiedzą, iż ojciec chłopca jest więźniem politycznym.

Dwa dni później ciało dziecka znaleziono w studzienice kanalizacyjnej. Trwa śledztwo. Najprawdopodobniej był to nieszczęśliwy wypadek. Tatarzy Krymscy nie mówią już o nim inaczej niż „nasz Musa”. Pośmiertnie stał się symbolem

ARCHIWUM PRYWATNE



Mumine Salijewa koordynuje pomoc dla dzieci z rodzin uwięzionych działaczy krymskotatarskich. Krym, 2020 r.

dzieci, których dzieciństwo zostało zrujnowane wraz z rosyjską aneksją Krymu.

Mamo, FSB przyszło

– Widok ojca rzucanego na ziemię w kajdankach zostawia głęboki ślad w dziecięcej psychice – mówi mi Mumine Salijewa. – Razem z moim mężem aresztowano sześciu innych działaczy. Gdy zamknęły się drzwi za naszymi mężczyznami, jednego dnia bez ojców zostało 31 dzieci. Ta liczba mnie uderzyła. Tego dnia zrozumiałam, że trzeba stworzyć jakiś system pomocy dzieciom, bo one są w tej sytuacji najbardziej pokrzywdzone i bezbronne.

Mumine, z zawodu ekonomistka, jest matką czworga dzieci i żoną Sejrana, aktywisty, który trzy lata temu został aresztowany pod zarzutem terroryzmu (to typowy „gumowy” paragraf). Jest jedną z tych kobiet, na które spadło zapewnienie bytu rodzinom i walka o uwolnienie mężów. A także wychowanie pora-

nionych emocjonalnie dzieci – w czym, mimo starań matek, potrzebna jest profesjonalna pomoc.

Bo gdy rozmawiamy o wpływie aresztowań ojców na dzieci, Mumine mówi wprost: zespół stresu pourazowego. Odtąd wiele z nich się jąka, mają tiki nerwowe. Dwunastolatki nagle zaczynają moczyć się w nocy, boją się spać same. Budzą się z krzykiem: „Mamo, FSB przyszło!”. Niektóre zaczynają chorować: wcześniej okazy zdrowia, łapią każdą infekcję.

Dziewięcioletnia córka Mumine zaczęła chorować na młodzieńcze zapalenie stawów; lekarze sądzą, że ze stresu. Aresztowanie ojca było dla niej doświadczeniem traumatycznym. Dopiero po pół roku wyznała, że jeden z funkcjonariuszy popchnął ją na ścianę. – Stała na korytarzu za ojcem, gdy otwierał im drzwi. Gdy wdarli się do domu, po prostu przypadkiem ją przewrócili. Nie sądzę, żeby specjalnie. Ale bardzo to przeżyła – mówi matka.





KRYMSKIE DZIECIŃSTWO

Na zakończenie tegorocznego ramadanu – islamskiego miesiąca postu i modlitwy – kobiety z „Krymskiego Dzieciństwa” przyszły z prezentami także do rodziny Elzary Sulejmanowej. Na zdjęciu Elzara z małym Musą. Wieś Stroganowka na Krymie, 23 maja 2020 r.

⇒ Dziś Mumine koordynuje projekt „Krymskie Dzieciństwo”, w ramach którego dzieci więźniów dostają stałe wsparcie psychologiczne. Mają zajęcia z wolontariuszami, z pedagogami. Poza arteterapią, uczą się języków, historii, matematyki, organizowane są wycieczki, wyjazdy wakacyjne.

Mumine uważa, że ważne podczas tych spotkań jest budowanie w dzieciach poczucia wspólnoty. Kiedyś, po kolejnych aresztowaniach, na spotkanie „Krymskiego Dzieciństwa” przyszły nowe dzieci. Córka mężczyzny, którego tego dnia zabrała Federalna Służba Bezpieczeństwa, stanęła na środku sali i zaczęła płakać.

Podeszła do niej dziewczynka, której ojciec siedzi już cztery lata. Zapytała, czemu płacze. „Wiesz, mojego tatę aresztowali” – padła odpowiedź. Na to jej nowa koleżanka: „No, mojego też. My wszyscy tutaj mamy tatusiów w więzieniach. Więc nie płacz już i chodź się pobawić”.

Rusłana nie puścili

W rosyjskich więzieniach, na samym Półwyspie oraz w Rosji, przebywa dziś co najmniej 76 Tatarów Krymskich, aresztowanych najczęściej pod zarzutem экстре-

mizmu i przynależności do religijno-społecznego ruchu Hizb-ut-Tahrir – na Ukrainie legalnego, ale w Rosji zakazanego. Organizacje międzynarodowe uważają to za represje na tle politycznym. Część z aresztowanych została już skazana, zwykle na kilkanaście lat więzienia.

Ojciec trzyletniego Musy, Rusłan Sulejmanow, jest nauczycielem fizyki i dziennikarzem obywatelskim organizacji „Krymska Solidarność”. W tej grupie działa sieć tzw. streamerów: telefonami komórkowymi dokumentują represje, nagrywają rewizje, procesy. Rusłan został zatrzymany przez FSB w marcu 2019 r., usłyszał zarzut organizowania zamachów. W akcie oskarżenia za przejaw jego działalności terrorystycznej uznano np. organizację festynu dla dzieci podczas corocznego islamskiego Święta Ofiarowania.

– Nie ma żadnych dowodów, aby Rusłan miał cokolwiek wspólnego z terroryzmem – mówi mi prawniczka Lilia Gemendzi, która broni Sulejmanowa. – Ale jak często dzieje się w takich sprawach, podczas pokazowych sądów FSB przedstawiła „sekretnego świadka”, który rzekomo wraz z Rusłanem uczestniczył w przygotowaniu ataków. „Świadek” twierdzi, że przez dwa lata co ty-

dzień brał udział w tajnych spotkaniach Hizb-ut-Tahrir w domu Rusłana. Pytany przez nas o szczegóły wnętrza domu, nie może nic powiedzieć poza tym, co widnieje w protokołach rewizji. To przecież niemożliwe, żeby był gdzieś przez dwa lata i nie pamiętał niczego, mebli ani koloru ścian.

Przeciw uwięzieniu Rusłana Sulejmanowa protestowały ukraińskie i zagraniczne stowarzyszenia dziennikarskie, podkreślając, że jego jedyną „zbrodnią” było nagłaśnianie przypadków łamania praw człowieka przez Rosję.

– Gdy Musa zniknął, rosyjscy funkcjonariusze znęcali się nad moim klientem psychicznie – mówi dziś Lilia Gemendzi. – Sugerowali, że wiedzą, gdzie jest dziecko, że mogło zostać wywiezione do Syrii. Oskarżali go, że jest złym ojcem, bo za spokojnie reaguje na informację o zniknięciu chłopca, choć Rusłan trząsł się z nerwów.

Na wieść o śmierci syna ojciec stracił przytomność.

„Męża nie puścili” – szeptała potem Elzara, gdy kobiety podchodziły ją objąć podczas pogrzebu. Areszt jest oddalony o 15 minut jazdy od rodzinnej wioski. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Ze-

łenski dzwonił w tej sprawie do Władimira Putina. Ale Ruslanowi nie pozwolono wziąć udziału w pożegnaniu Musy. Zgodnie z tradycją ciało do grobu powinien złożyć ojciec. Tutaj kładli je dziadek oraz przyjaciel rodziny i były więzień Ferat Sajfullajew (w więzieniu spędził 5 lat).

– Elzarze grozi teraz sprawa karna za niedopilnowanie dziecka. A kiedy Rosja zostanie osądzona za to, że bezprawnym aresztowaniem rozerwała życie rodziny Sulejmanowów i skazała matkę na samotne wychowywanie trójki dzieci? – pyta Lilia Gemendzi.

Kiedy wróci „babaka”?

– Represje zmieniły zabawy naszych dzieci – opowiada mi 33-letnia Liana, żona więzionego politologa Emila Dżemadenowa. – Po tym, jak zabrali Emila, synkowie bawili się w policję. Pięcioletni Jusuf krzyczał: „Jestem policjantem, aresztuję cię!”. Trzyletni Junus uciekał. Z klocków lego budowali tylko więzienia i wsadzali do nich figurki, o których mówili, że to rosyjscy funkcjonariusze. „Efesbesznika posadziliśmy do więzienia” – cieszyli się.

Jej mąż został aresztowany przez „efesbeszników” (tak tu mówią na ludzi z FSB) w październiku 2016 r. Ona jest dentystką, ale dziś nie pracuje w zawodzie. Trudno jej łączyć pracę z samodzielną opieką nad trójką małych dzieci.

Podczas akcji FSB Liana była w dziewiątym miesiącu ciąży. Córce dała imię Asija, tak sugerował mąż podczas jednej z ich ostatnich rozmów na wolności. Zabrała ją raz na rozprawę, aby pokazać dziecko Emilowi. – Ona jest za maleńka, aby to zapamiętać i rozumieć – tłumaczy. – Teraz opowiadam jej o tacie, pokazuję jego zdjęcia. Ona wciąż mnie pyta, kiedy wróci „babaka” [po krymskotatarsku „tatuś” – red.]. I czy on zabrał komuś cukierki i dlatego posadzili go do więzienia.

Emil choruje poważnie na serce, ma też ciężkie wrzody żołądka. Wyrok 12 lat kolonii karnej odbywa w Baszkirii, na rosyjskim Dalekim Wschodzie. Organizacje praw człowieka uważają, że wysyłanie więźniów politycznych do tak odległych miejsc to tortura psychiczna i próba oderwania ich od wsparcia społecznego. Twierdzą, że Emil jest trzymany w nieogrzewanej celi, która jest zalewana wodą; w więzieniu miał schudnąć ponad 20 kilo.

Dzieci mogą wysyłać mu tylko laurki własnej roboty. I się modlić. Liana uważa,

że skoro na rosyjski wymiar sprawiedliwości i wspólnotę międzynarodową nie można liczyć, ostatnia nadzieja w Bogu. – W naszym domu nie ma dnia bez wspomnień o nim. Przed aneksją moi synkowie chcieli być strażakami. Teraz mówią, że będą adwokatami, żeby bronić tatusia.

Nasze zwycięstwo

– Moje starsze dzieci czytają w internecie wszystkie informacje o represjach, chcą chodzić na demonstracje. Okupacja zbyt szybko nauczyla je dorosłości – mówi Mumine Salijewa.

– Nie chcę chwalić moich dzieci, ale one są dla mnie prawdziwym wsparciem – dodaje. – Najmłodszą córką zajmuje się dwunastoletni Salih, mój najstarszy. Sam ją przewija. Miesiąc temu pojechałam do sądu do Symferopola, a tu on dzwoni: „Mamo, zrobiłem obiad: makaron, kielbaski i omlet”. Pytam, jak dał sobie radę. A on, że sprawdził na YouTube i dzwoni tylko, żebym się nie martwiła, że są głodni.

Opowiada, że na niedawne Święto Ofiarowania sklep zoologiczny podarował wszystkim krymskotatarskim dzieciom

„Krymska Solidarność” prosi o wsparcie

KOBIETY Z „KRYMSKIEJ

SOLIDARNOŚCI” podkreślają w rozmowie z „Tygodnikiem”, że dla ich bliskich, więźniów politycznych, ogromnym wsparciem są listy i pocztówki wysyłane do więzień i aresztów. „To jedyny kontakt mojego męża ze światem. Gdy raz dostał pocztówkę z łotwy, nawet strażnicy byli pod wrażeniem, że ludzie z Europy wspierają mojego Emila i rozumieją, że jest bezprawnie więziony. Byłoby wspaniale, gdyby napisał do niego także ktoś z polskich przyjaciół” – mówi Liana, żona Emila Dżemadenowa.

Przekazaną przez „Krymską Solidarność” instrukcję, wraz z adresami więźniów, opublikujemy przy tekście Moniki Andruszewskiej na naszej stronie internetowej, a także w e-wydaniach.

z rodzin więźniów papugi w klatkach. – Przychodzę do domu, a tu dzieci szaleją z radości. Ale też od razu pytają: mamo, a inne dzieci więźniów też dostały? Bo może trzeba ją oddać komuś, np. rodzeństwu Musy, może oni bardziej potrzebują – wspomina.

Po 2014 r. Mumine i Sejrana mogli opuścić Półwysep: – Ale nie chcieliśmy zostawić naszej ziemi i narodu. Zanim męża zabrali, prowadziliśmy wiele rozmów. Zgodnie podjęliśmy decyzję, że nijk nie da się ukryć rzeczywistości przed dziećmi. Gdy tylko zaczęły się pierwsze areszty, wytłumaczyłam dzieciom, że to niesprawiedliwość, i że zatrzymywani to nie przestępcy, lecz bohaterowie. Dzięki temu dzieci wiedzą, że ich ojciec nic złego nie zrobił.

Jednak nie spodziewała się tego, co stało się w maju zeszłego roku. Gdy wychodziła od teściowej z talerzem pieśni na obiad, została wciągnięta do auta przez funkcjonariuszy. Wraz z drugą aktywistką, Lutfije Zudijewą, zostały zatrzymane na dobę. Pretekstem okazały się ich wpisy w internecie z 2013 r. Wypuszczono je po zapłaceniu grzywny.

Mumine: – Gdy w internecie pojawiły się informacje o moim zatrzymaniu, dzieci były same w domu. To był dla nich chyba większy szok niż aresztowanie męża. Ale Salih zachował się mężnie. Oznajmił dziewczynkom, że skoro nie ma mamy, to on jest najstarszy w rodzinie i mają go słuchać. Zarządził, że nie można płakać i trzeba się modlić, żeby z mamą było wszystko dobrze. I tak dzieci wymodliły moje uwolnienie. Ale potem przez kilka tygodni ze strachu chciały spać ze mną w łóżku.

Mumine Salijewa chce podkreślić, że niezależnie od tego, ile wycierpiała jej rodzina i naród Tatarów Krymskich, ich walka z okupacją jest tylko pokojowa.

– Staram się dawać dzieciom przykład godnego zachowania podczas represji – tłumaczy. – Najważniejsze, żeby nie rosły w nienawiści. Odpowiedzią na zło musi być dobro, bo nienawiść zniżyłaby nas do poziomu okupantów. Nie wiem, kiedy Półwysep Krymski wróci do Ukrainy. Ale wiem jedno: prędzej czy później do domu wrócą nasi mężczyźni. Zstaną kochające ich dzieci, które będą rosły na szlachetnych i silnych ludzi. To będzie nasze zwycięstwo.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

Duma i przekleństwo

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z UZBEKISTANU

W kraju, który jest jednym z największych producentów bawełny na świecie, za zmuszanie do pracy przy jej zbiorach grożą surowe kary. Ale to tylko teoria.

BIAŁY PUCH, KTÓRY MIĘDZY WRZEŚNIEM a listopadem porasta uzbeckie pola – od Doliny Fergańskiej aż po granicę z Turkmenistanem – wygląda jak wata. W najlepszym okresie kwitnienia jest okrągły i mieści się w dłoni. Równiutkie rzędkie niskich krzewów, które porasta ten puch, najpiękniejsze są przy zachodzie słońca. Dają wrażenie trwałości i spokoju – choć bawełna ze spokojem mało ma wspólnego.

Oq oltin (białe złoto), główny surowiec eksportowy Uzbekistanu, jest jednym z bohaterów uzbeckiego godła i sporej liczby popowych piosenek. Od dekad jest też dyktatorem, przez którego cierpią setki tysięcy ludzi.

W pozycji zgiętej

Sasza miała 15 lat, gdy trafiła do domu dziecka. Był rok 2008, zmarła jej matka, a ojciec nie mógł zapewnić córce spokojnego dzieciństwa. To wtedy pierwszy raz zobaczyła pola bawełny. Razem z innymi dziećmi z sierocińca codziennie wożono ją autobusem na pola w Gulistanie, w wilajecie (tj. regionie) syrdaryjskim, aby w palącym słońcu zbierała białe złoto.

Z całej grupy była najstarsza. – Wysyłali nas na pola i nie dbali o dzieci. Musieliśmy pracować od świtu do obiadu, codziennie, dopóki nie zebraliśmy całej bawełny. Nie krzyczeli na nas, gdy nie zebraliśmy wystarczającej ilości, ale musieliśmy pracować do końca zbiorów – wspomina Sasza.

Potem – w 2011 r., już w szkole policealnej – pojechała znowu. Tym razem władze szkoły przewiozły studentów do pustych baraków przy polu, które stały się ich nowym domem na okres zniw. Do spania przygotowano im cieniutkie materace, które nie dawały ochrony przed zimnem betonu. Pracowali od zóstej do dwudziestej. Stale w zgiętej pozycji. Stale głodni i spragnieni. Stale w pełnym słońcu.

– Dwukrotnie zemdlałam. Nie mogłam wytrzymać tak długo na słońcu. Stali nad nami i sprawdzali, ile zebraliśmy. Z nosa poleciała mi krew i straciłam przytomność – opowiada Sasza. – Musieliśmy zbierać 60-70 kilogramów dziennie. To ciężka praca, szczególnie dla kogoś, kto nie jest przyzwyczajony. Zbiera się tylko biały puch i trzeba być ostrożnym. To nie jest proste. Dłonie są poranione, słońce praży i przez cały dzień nie można nic zjeść.

Praca przymusowa

Bawełnę do Uzbekistanu po raz pierwszy przywozili władze carskiej Rosji, ale dopiero Związek Sowiecki zamienił pustynie Centralnej Azji w ogromne plantacje białego złota. Wody Amu-darii i Syr-darii – rzek, które zasilają potężne Jezioro Aralskie – od tej pory przekierowano kanałami tak, aby nawadniały pola bawełny.

W latach 50. XX w., aby wypełnić narzucone przez Moskwę ambitne plany zbiorów, na polach pojawiło się zjawisko pracy przymusowej. Pracownicy administracji, żołnierze, nauczyciele, lekarze i pielęgniarki, ale też uczniowie i studenci – każdego roku podczas zniw zostawiali pracę lub szkołę, aby gołymi rękami zbierać biały puszek na chwałę sowieckiego państwa.

Po jego upadku w 1991 r. zmieniło się niewiele. Odtąd jednak niepodległy Uzbekistan pracował już na własne konto. Choć w 2007 r. Cotton Campaign – zrzeszająca organizacje obrony praw człowieka i zachodnie marki odzieżowe – rozpoczęła bojkot uzbeckiej bawełny, prezydent Islam Karimow (rządzący od 1989 r.) ani myślał pozbywać się bezpłatnej siły roboczej. Zamożniejsi obywatele mogli za paręset dolarów opłacić emerytów, aby za nich zbierali bawełnę. Wielu ten układ wydawał się uczciwy. Dzięki bawełnie kraj się rozwijał, a przez pracę



w polu każdy obywatel mógł dołożyć się do budowy dobrobytu Uzbekistanu.

Dopiero w 2016 r. – po śmierci Islama Karimowa, gdy władzę przejął długoletni premier Szawkat Mirzijojev – o pracy przymusowej zaczęto rozmawiać. Nowy prezydent zapowiedział szereg reform, które miały zakończyć kontrowersyjny proceder.

Na początek nowe władze zdelegalizowały pracę przymusową dzieci. Szybko też z pól zniknęli nauczyciele, wykładowcy, lekarze i pielęgniarki, a za zmuszanie do pracy przy zbiorach bawełny wprowadzono surowe kary. Nadzór nad polami, które dotąd były w rękach państwa, sukcesywnie zaczął przechodzić w ręce prywatne. Powstały dziesiątki klastrów – grup kapitałowych zrzeszających mniejsze firmy – które, konkurując na wolnym rynku, miały zakończyć okres błędów i wypaczeń.

Więcej niż 100 tysięcy

To jednak nie wystarczyło, aby zlikwidować problem.

Dziś praca przymusowa w Uzbekistanie nie ma już – w opinii Międzynarodowej Organizacji Pracy – charakteru syste-



AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

*Zbiory bawełny w miasteczku Buka
w regionie taszkienckim. Uzbekistan, 2019 r.*

ze zbieraczy odpoczywają pod drzewami, które są tak liche, że nie dają cienia. Większość pracuje jednak bez wytchnienia, bo im więcej zbiorą, tym więcej zarobią. Liczy się każdy kilogram.

Nikt z pracujących w polu nie wygląda na pracownika hokimiatu. Zresztą wkrótce okazuje się, że wszyscy zbieracze pochodzą z wilajetu samarkandzkiego, oddalonego od Buki o setki kilometrów. Na polach pracują od lat, a pieniądze za robione podczas zniw to dla wielu z nich jedyny dochód w całym roku.

Twierdzą, że przyjechali do Buki dobrowolnie. Zresztą co roku najmuje się do pracy przy zbiorach bawełny. Ciężko jednak cokolwiek się dowiedzieć, bo zarządzający polami szybko podjeżdżają, by sprawdzić, co się dzieje. Nie ma możliwości porozmawiać ze zbieraczami na osobności.

Zastępcy do wynajęcia

Praca przymusowa nie jest już oczywista. Bo do pracy fizycznej mało kto jest zmuszany. Pracownicy banków, hokimiatu czy służby podatkowej, którzy powinni stawiać się na polach, za swoje pieniądze opłacają pracowników fizycznych, a sami w tym czasie bunkrują się w wynajętych przez lokalne władze domkach. Jedzą, piją i odpoczywają. Z kolei zbieracze lokowani są w często prowizorycznych barakach bez odpowiedniego posłania i pomieszczeń sanitarnych. Tak, aby było jak najtaniej, bo przecież koszty zbiorów w całości pokrywają pracownicy administracji. Choć w teorii to nielegalne.

– Ministerstwo pracy opublikowało listę z nazwiskami 43 oficjeli, których oskarżono o zmuszanie do pracy przymusowej – mówi Umida Nijazowa, szefowa Uzbekiego Forum na rzecz Praw Człowieka. – Choć Międzynarodowa Organizacja Pracy twierdzi, że nazwisk było 259, nie wiemy, kim jest reszta ukaranych. Np. skazano 15 menadżerów banków. To znaczy, że gdy przychodzą zniwa, banki we wszystkich regionach zaczynają wysyłać swoich pracowników na pola bawełny albo zmuszają ich, by wynajęli kogoś na swoje miejsce.

– Oczywiście, że problem jest systemowy – uważa Nijazowa. – Ani bankierzy, ani weterynarze, ani żadni inni →

mowego i systematycznego. Jednocześnie w raporcie opublikowanym na początku tego roku organizacja zaznacza, że podczas zbiorów w 2019 r. ponad 100 tys. obywateli nadal wykonywało pracę przymusową. To sporo – choć zdecydowanie mniej w porównaniu z czasami Kari-mowa, gdy na pola wychodziło co sezon nawet do 3 mln ludzi.

Jednak obrońcy praw człowieka – w tym przedstawiciele Cotton Campaign – uważają, że 100 tys. to grube niedoszacowanie. Ale nawet jeśli ta liczba byłaby zgodna z prawdą, problem nadal jest systemowy. Dlaczego zatem tak ciężko go zlikwidować? I kto zmuszany jest do pracy na polach bawełny?

Przy ostatnich zniwach w 2019 r., mimo oficjalnego zakazu pracy przymusowej, poszczególne regiony nadal miały nałożone plany na produkcję, z których musiały się wywiązać. To sprawiło, że lokalne władze nadal zmuszały pracowników administracji do pracy – w ramach oszczędności. Na polach bawełny w większości przypadków próżno jednak byłoby szukać pracowników służby podatkowej, bankierów czy żołnierzy, choć takie przypadki też się zdarzają. Praca przymusowa jest dziś ukryta.

Od świtu do zmierzchu

Cofnijmy się do jesieni 2019 r. W miasteczku Buka w wilajecie taszkienckim praży słońce, choć jest już prawie połowa października. Wszyscy zaangażowani w zbiory – począwszy od zbieraczy aż po pracowników administracji – wiedzą, że praca przymusowa jest oficjalnie nielegalna. Ale nietrudno się zorientować, że rzeczywistość jest inna.

Szczupła Uzbeczka w ubraniu biurowym, która zawiaduje centrum informacyjnym zbiorów, trzyma przed sobą tabelkę z rozdzielonymi sektorami na najbliższy okres zniw. Za pierwszy sektor odpowiada służba podatkowa, za drugi pracownicy hokimiatu (czyli lokalnej administracji), za trzeci policja. Kobieta nie robi z tego tajemnicy, choć gdy widzi legitymację kontroli Międzynarodowej Organizacji Pracy (wyciągniętą przez towarzyszącą mi badaczkę z MOP), wpada w lekkie popłoch.

Na rozgrzanych polach pracują głównie kobiety. Stare i młode. W roboczych strojach i tradycyjnych nakryciach głowy, niosą na plecach po 20 kg zebranej bawełny i wrzucają ją na wozy wypełnione białym złotem. Pracują od świtu do zmierzchu – skulone, w palącym słońcu, często bez przerwy na obiad. Niektórzy

→ pracownicy administracji nie mają interesu w tym, by wysyłać swoich pracowników na pola. To przecież nakaz, który przychodzi z poziomu administracji regionu. Bo to ona ma plan do wypełnienia.

W marcu tego roku Uzbekistan ogłosił, że kończy z centralnym planowaniem rynku bawełny. Odtąd poszczególne regiony nie będą miały z góry ustanowionego planu, który muszą wypełnić każdego roku. To, w teorii, ma być gwoździem do trumny pracy przymusowej.

Organizacje praw człowieka nie są jednak przekonane. Choć w kwietniu rząd zaapelował do Cotton Campaign, by zakończyła bojkot uzbeckiej bawełny, organizacja nadal nie podjęła ostatecznej decyzji. Bo w końcu władze nie udowodniły jeszcze, że można im wierzyć na słowo. Jak będzie, okaże się dopiero jesienią, przy następnych żniwach.

Staruszki są najtańsze

Praca przymusowa to niejedyny problem, jaki niesie ze sobą bawełna.

Według badań Uniwersytetu Ulsterskiego i Uzbeckiego Forum na rzecz Praw Człowieka, monopol państwowy na rynku bawełny zamienia się teraz w monopol prywatny – przynajmniej w teorii. Większość prywatnych kłastrów, które dziś zarządzają produkcją bawełny, ma powiązania z lokalnymi władzami,

a mało które przedsiębiorstwa spełniają wymogi przejrzystości. Wiele z firm, które dziś zarządzają uzbeckimi polami, było wcześniej zaangażowanych w nielegalne praktyki biznesowe. W takich warunkach nie można wierzyć w to, że praca przymusowa zniknie.

Problemem jest też brak mechanizacji pracy. Staruszki noszące na plecach ciężary w palącym słońcu to typowy krajobraz uzbeckich wsi. Choć rząd zapowiada, że do 2021 r. zbiory bawełny mają być całkowicie zmechanizowane, ciężko dać wiarę tym zapewnieniom.

Do zbiorów mechanicznych potrzebny byłby bowiem inny gatunek bawełny i więcej przestrzeni między rzędami krzewów. Co prawda Uzbekistan przez ostatnie lata starał się zrestrukturyzować sektor – tak, aby eksportować więcej gotowych tkanin, a mniej nieprzetworzonego surowca – lecz całkowita zmiana może okazać się bardziej kosztowna, niż właściciele kłastrów są skłonni zainwestować. W końcu praca staruszek jest najtańsza.

– Nie zgadzam się na ten system. Ludzie tracą zdrowie, oddychają chemikaliami i kurzem. W większości to starzy ludzie. I po co to wszystko? Życie wystarczająco nas doświadcza – mówi Sasza. – Dlaczego ci, którzy nami rządzą, sami nie pójść zbierać bawełny? Wysyłają tych, którzy nie mają wyboru.

Nad brzegiem pustyni

Podróż do Mujnaku, byłego portu nad brzegiem Jeziora Aralskiego, pokazuje prawdziwą tragedię dyktatu białego puchu.

Tam, gdzie kiedyś stał jeden z najważniejszych sowieckich portów, rozciąga się dziś jałowa pustynia. Wiatr roznosi duszący pył pozostałości po nawozach sztucznych i chemikaliach, którymi kiedyś nawożono pola bawełny, a które dziś pokrywają wysuszone dno. Jezioro Aralskie cofnęło się bowiem o 150 km. Wielu tutejszych utraciło jedyne źródło dochodu. Nie ma już rybaków ani fabryki konserw.

Większość ludzi wyjeżdża do miast lub za granicę. W Mujnaku nie mają już czego szukać. Wszystkiemu winna bawełna, która aby rosnąć, zużywa ogromne ilości wody. A w Uzbekistanie wody nie ma. Delta Amu-darii, niegdyś tętniąca życiem, dziś ledwo dyszy.

Choć trudno oczekiwać, aby Uzbekistan – dziś szósty największy producent bawełny na świecie – zrezygnował z jej produkcji, to kolejne pokolenia będą musiały odpowiedzieć na pytanie: czy warto?

Bo bawełna to nie tylko duma tego narodu. To także jego największe przekleństwo.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 253/19 postępowanie z wniosku Aleksandra Zajączkowskiego, o stwierdzenie nabycia przez niego udziału w prawie własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie, oznaczonej geodezyjnie jako działka 1433, o powierzchni 0,0187 ha, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ 1J/00034192/6.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Sąd Rejonowy w Słubicach, w sprawie I Ns 77/20, o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Urbanie, synu Jana i Rozalii, zm. 27 kwietnia 1985 r., ostatnio stale zamieszkałym w Czarnowie – wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. W skład spadku wchodzi zabudowania położone w Czarnowie.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku, pod sygn. akt I Ns 180/20, toczy się z wniosku Romana Lesiaka postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Oldze Niemczyk, c. Michała i Katarzyny, ur. 2 listopada 1908 r. w Sanoczku, zm. 14 lipca 1997 r. w Sanoku, zamieszkałej przed śmiercią w Porążu.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukończenia się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 478/19 postępowanie z wniosku KRUK S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Ewie Banaszak, zm. 18 marca 2017 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. Skład spadku po zmarłej jest nieznan.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

TP 33/2020

1920

Bitwa Warszawska

Na zdjęciu: **STANISŁAWA PALEOLOG**, rocznik 1892, w latach 1918-19 brała udział w walkach o Lwów (była tam ranna). Potem została adiutantką Aleksandry Zagórskiej, założycielki Ochotniczej Legii Kobiet – nowej formacji kobiecej – i w szeregach OLK wzięła udział w bitwie warszawskiej, w stopniu porucznika. Zdjęcie wykonał lwowski fotograf Kazimierz Skórski.

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Ładowanie naboїв do taśmy karabinu maszynowego, Nasielsk, lato 1920 r. Kontratakujące siły polskie stoczyły w dniach 14-16 sierpnia bitwę o to miasto, położone 50 km na północ od Warszawy.

Cud Wisły, cud synergii

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

**W sierpniu 1920 r. wygraliśmy nieprzypadkowo.
Był to nieczęsty w naszych dziejach najnowszyszy moment,
gdy każde pojedyncze działanie wzmacniało wspólny wysiłek.**

14 sierpnia 1920 r. w warszawskim dzienniku „Rzeczpospolita” ukazał się artykuł Stanisława Strońskiego, publicysty i polityka związanego z ruchem narodowym. Stroński apelował o powszechną modlitwę – o „ziszczenie się cudu Wisły”. Dzień wcześniej wojska bolszewickie zdobyły podwarszawski Radzymin. Odrodzona dwa lata wcześniej Polska stała w tych dniach nad przepaścią. Wydawało się, że trzeba cudu, by odwrócić los wojny.

Następnego dnia, 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, z archikatedry warszawskiej wyszła wielka procesja: błagająca o cud właśnie, o zwycięstwo. Kilka godzin wcześniej odbiliśmy Radzymin.

Ani Stroński, ani uczestnicy procesji nie mogli wiedzieć, że przełom już się dokonuje: 12 sierpnia do Skierniewic dotarł węgierski „pociąg życia” transportujący miliony nabożów, na Lubelszczyźnie trwała koncentracja grupy operacyjnej, która za chwilę uderzy na lewe skrzydło i tyły bolszewików, a dzięki kryptologom polski Sztab Generalny czytał bolszewicką korespondencję radiową.

Przedmoście warszawskie było w tych dniach „kowadłem”: miało wytrzymać – w ciężkich bojach obronnych – uderzenia bolszewickiego „młota”, nie dopuścić wroga na Pragę, a przy tym związać go walką, uniemożliwić manewr. Dzięki temu mógł skutecznie uderzyć podwojny polski „młot”: ten mniejszy z Modlina (armia Sikorskiego) i ten główny zza rzeki Wieprz (armia Piłsudskiego).

Cztery dni po artykule Strońskiego cud, o który wołał, już się ziścił: pobici bolszewicy cofali się w nieładzie, często w panice. Nie był to jeszcze koniec wojny, ale widmo klęski zostało oddalone.

Sierpniowa synergia

Co to jest cud? Można ograniczać znaczenie tego słowa do bezpośredniej ingerencji Boga w rzeczywistość doczesną (jak w procesach kanonizacyjnych), można też przyjąć szersze znaczenie: wydarzenie nagłe, niezrozumiałe w kategoriach potocznego myślenia, a pozytywne (korzystne dla oceniającego). Zwłaszcza – wydarzenie przełomowe.

Skoro tak, można mówić o „cudzie Wisły” (wołę to określenie od utartego później „cudu nad Wisłą”). Ale to nie znaczy, że zwrot w wojnie polsko-bolszewickiej,

który nastąpił w dniach 14–18 sierpnia 1920 r., był cudem w rozumieniu religijnym, że można mówić (a taka była intencja propagujących ten termin od razu po wojnie): „cud, a nie wódz”. Wódz był jednym z elementów tego zwrotu, tego cudu.

Coś się stało w tych krytycznych dniach: oto nagle wszystko zaczęło się składać.

Żołnierz, zdemoralizowany tygodniami odwrotu, przyparty do Wisły, rozumiejący groźbę ostatecznej klęski, odzyskał ducha. Większość społeczeństwa zrozumiała powagę sytuacji i wsparła wojsko, nie tylko stając w szeregach Armii Ochotniczej, ale też – karmiąc i obuwając frontowców. Włościanie, dotąd niechętni nowemu państwu, odpowiedzieli na apel Wincentego Witosa, stając się – jak za Kościuszki – tymi, którzy „żywią i bronią”. Zamyśl Naczelnego Wodza został sprawnie i kompetentnie rozpisany przez sztaby na tysiące szczegółowych rozkazów. Szyfranci nie popełnili błędów. Kurierzy dotarli do jednostek na czas. Eszelony węgierskiej amunicji, bez której Wojsko Polskie za kilka dni utraciłoby zdolność prowadzenia walki, zdążyły. Kolarze, rusznikarze, szewcy, piekarze i wozacy – każdy zrobił swoje najlepiej, jak umiał.

Wreszcie podstawa wszystkiego: żołnierze i oficerowie, zmordowani, często głodni, raz jeszcze wykazali uparte męstwo: maszerowali i walczyli, walczyli i maszerowali (lub, jeśli taki był rozkaz, trwali w okopach, odpierając kolejne ataki wroga), często w rozpadających się butach lub zgoła boso. I wywalczyli, wy-maszerowali zwycięstwo.

Był to nieczęsty w naszych dziejach najnowszych przykład synergii: każde działanie przyczyniało się do realizacji zamierzonego celu, wzmacniało wspólny wysiłek. Jak pisał sto lat wcześniej Kazimierz Brodziński: „czyń każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży”. No, niezupełnie sama.

Aby było czym walczyć

Skupieni na wysiłku zbrojnym często zapominamy, że wymagał on stałego wsparcia. Zaopatrzenia. Polska była biedna, wyniszczona sześcioma latami wojen (tej światowej i tych kolejnych, po 1918 r.). Nie miała na swym terytorium ani jednego zakładu produkującego amunicję karabinową. Potrzebowaliśmy stałych dostaw amunicji, broni (która prze-

cież zużywała się i psuła), żywności dla ludzi i furazów dla koni.

Mieliśmy sprzymierzeńca we Francji – mocarstwo dysponującym ogromnymi zapasami pozostałymi po Wielkiej Wojnie i doceniającym już zagrożenie, jakie stanowiła czerwona Rosja (choć Paryż wciąż liczył na przywrócenie Rosji bia-łej). Ale z Francją nie graniczyliśmy, portu morskiego jeszcze nie mieliśmy, a nasi sąsiedzi nie byli skłonni nas wesprzeć. Paryż naciskał na Berlin i Pragę, słał transporty z portów nad Adriatykiem, nawet z Salonik. Niektóre docierały, inne były blokowane. Także materiał wojenny, dostarczony nam przez Węgry, nie trafiłby do nas bez przyzwolenia Francji.

Nasze misje wojskowe w krajach bałkańskich dokonywały cudów, załadunkiem i wyładunkiem nieraz musieli zajmować się żołnierze (czy to francuscy, czy polscy). W dodatku sympatyzujące z bolszewikami związki zawodowe dokerów (także we Francji) blokowały załadunek oraz (to w Gdańsku) wyładunek broni dla Polski. Transporty żywności przechodziły łatwiej.

W połowie lipca Niemcy wstrzymały transporty kolejowe dla Polski. Zaraz potem, 24 lipca, odmówiły ich przepuszczania Wolne Miasto Gdańsk i Czechosłowacja, dążąca do uzyskania wspólnej granicy z Rosją, choćby czerwoną. Najkrótsze drogi zostały zamknięte. Sytuacja stawała się krytyczna także pod tym względem.

„Drogą życia” stała się linia kolejowa z rumuńskich Czerniowiec przez Kołomyję do Przemyśla. Nie tylko sierpniowy „pociąg życia” z węgierskimi zapasami amunicji przejechał tamtędy latem 1920 r. – drogą długą, okrężną.

Pycha kroczy przed upadkiem

Dziennikarze sportowi mówią często, że „gra się tak, jak przeciwnik pozwala”. Jak zobaczymy, błędy nieprzyjaciela w tej wojnie walcie ułatwiły nam zwycięstwo. Błędy, których wspólnym mianownikiem była pycha.

Kierownictwo bolszewickie na początku sierpnia 1920 r. uznało, że Polska jest już pokonana i wystarczy ją dobić, a pierwszoplanowym celem staje się „poniesienie pożaru rewolucji” do Niemiec i na Węgry. Bolszewicy wciąż nie wyobrażali sobie „budowania socjalizmu w jednym kraju” – za warunek przetrwania rewolucji mieli ogarnięcie nią przemysłowych ośrodków Niemiec i Węgier.

→ To dlatego w krytycznych dniach sierpnia północno-zachodnie zgrupowanie ich wojsk, zamiast forsować Wisłę pod Płockiem i obchodzić Warszawę od zachodu, maszerowało na Toruń. Nie po to, aby odciąć szlak zaopatrzenia Polski z Gdańska, lecz aby jak najszybciej wkroczyć do Niemiec. Dopiero gdy 15 sierpnia zostało pobite pod Brodnicą, zawróciło ku Wiśle. Odparte od bram Włocławka 16 sierpnia, dwa dni później zaatakowało Płock, klucz do obejścia Warszawy. Ale tego dnia wszystko było już rozstrzygnięte: na głównym odcinku frontu Wojsko Polskie przechodziło do pościgu za rozgromionym wrogiem.

Na froncie południowym było jeszcze gorzej (dla nas – jeszcze lepiej). Tam wojska bolszewickie, zamiast już pod koniec lipca skierować się ku Wiśle i ją sforsować, wciąż maszerowały na południowy zachód. Ich dowództwo lekceważyło powtarzające się rozkazy z Moskwy, aby zwrócić się na północ, i uparcie trzymało się pierwotnego celu, jakim było przedarcie się na Węgry. Nie najkrótszą, ale najdogodniejszą drogą: przez przełęcz Beskidu Niskiego (powtarzając plan armii rosyjskiej z wiosny

1915 r.). W tym celu trzeba było zdobyć Lwów i Przemyśl (pokonanie Polski w tej fazie działań tego nie wymagało). Zaś Armia Konna, choć już osłabiona, mądrze użyta wciąż mogła wygrać dla Moskwy wojnę.

W krytycznym momencie bolszewikom pod Warszawą zabrakło sił, rozproszonych na innych kierunkach, rwały się też ich łańcuchy dowodzenia (nie bez udziału naszej dywersji radiowej). Nam nie zabrakło nikogo: polskie dowództwo potrafiło zbudować w bitwie warszawskiej przewagę liczebną i techniczną, choć ogólnie siły polskie były słabsze. To był jeden z sekretów zwycięstwa.

Ale niemal do końca wszystko mogło potoczyć się inaczej. Do Michała Tuchaczewskiego, dowódcy sił idących na Warszawę, trafił – przypadkowo przechwycony – jeden z polskich rozkazów przygotowujących uderzenie znad Wieprza. Rozkaz, z którego jasno wynikał polski zamiar. Tuchaczewski zlekceważył ten dar losu, uznał go za polską prowokację. A miał dość sił i czasu, by wzmocnić swe skrzydła, stawić stanowczy opór, a w razie niepowodzenia – przygotować uprządkowany odwrót.

Parę dni później bolszewikom pozostał już tylko odwrót bezładny, ucieczka. Choć trzeba przyznać, że szybko odbudowali swą zdolność bojową. Dlatego konieczna była kolejna wielka bitwa tej wojny – nad Niemnem, w drugiej połowie września.

Spór o laur zwycięzcy

Od blisko stu lat spieramy się, komu przysługuje laur zwycięzcy w bitwie warszawskiej (a więc też – w całej wojnie). Słowa Strońskiego niemal natychmiast podchwyciły partie wrogie Piłsudskiemu. Wielu powtarza opowieści dyskredytujące Marszałka nawet dziś.

Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Kogo obciążilibyśmy odpowiedzialnością za klęskę, gdyby nastąpiła? Oczywiście – Piłsudskiego. I słusznie. On był wodzem. Ale skoro tak – on też był zwycięzcą.

Niektórzy twierdzą, że faktyczne zwycięstwo dokonało się pod Radzyminem i Ossowem, a uderzenie znad Wieprza miało pomocnicze znaczenie. Inni sądzą, że idea tego uderzenia nie wyszła od Piłsudskiego. Stosownie do tego „właściwym” zwycięzcą byłby Józef Haller (obrońca Warszawy), Tadeusz Rozwadowski (szef Sztabu Generalnego) czy nawet gen. Maxime Weygand (szef francuskich doradców).

Jednak samo odparcie nieprzyjaciela na przedmościu warszawskim nie zmieniało sytuacji operacyjnej. Potężna armia wciąż stała pod Warszawą, kolejny szturm był kwestią dni. Nikt nie odbierze Hallerowi jego zasług: opanował panikę, zorganizował obronę Warszawy, powstrzymał wroga, co umożliwiło uderzenie znad Wieprza. Ale to ono było rozstrzygające: cios na głębokie tyły, łamiący kręgosłup sił nieprzyjaciela.

Czy pomysł takiego uderzenia mógł być dziełem Weyganda lub Rozwadowskiego? Tego pierwszego – z pewnością nie. Był on sztabowcem, nigdy nie dowodził wojskami w polu, a doświadczenia Wielkiej Wojny skłaniały go do myślenia kategoriami wojny pozycyjnej, przewagi ognia i masy... O wojnie manewrowej – taką była wojna roku 1920 – nie



W lipcu i sierpniu 1920 r. do specjalnie utworzonej Armii Ochotniczej zgłosiło się ponad 100 tys. ludzi, często bardzo młodych, w tym prawie 25 tys. harcerzy. Na zdjęciu: punkt werbunkowy w Warszawie.

TYGODNIK ILUSTROWANY / DOMENA PUBLICZNA



WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE

„Dostali nowe czapki”: brzmi lapidarny opis tego zdjęcia, wykonanego na froncie wojny polsko-bolszewickiej. Widać na nim, jak różnymi mundurami posługiwało się Wojsko Polskie: kawalerzyści mają przerobione kurtki dawnych armii zaborczych, tzw. ułanki (zaprojektowane w 1917 r. dla Polskiej Siły Zbrojnej), kurtkę brytyjską oraz czapki tzw. typu angielskiego, zapewne zakupione z brytyjskiego demobilu.

wiedział nic. Sam zresztą wielokrotnie zaprzeczał, aby był autorem tej idei.

Z kolei Rozwadowski był artylerzystą i sztabowcem. Jego największe dokonanie wojenne to opracowanie planu ognia artyleryjskiego podczas bitwy gorlickiej w 1915 r., nowatorskiego i skutecznego (był wtedy generałem c.k. armii). Ale nie on był twórcą zamysłu operacyjnego przełamania frontu rosyjskiego pod Gorlicami. Potem jako szef sztabu Polskiej Siły Zbrojnej, powołanej przez Niemców, okazał się znakomitym organizatorem, tworząc w krótkim czasie organizacyjne podstawy Wojska Polskiego. Dowodził w polu krótko (na froncie ukraińskim), wykazując się solidnością, ale nie inwencją operacyjną.

Rozkaz wbrew kanonom

W sierpniu 1920 r. Rozwadowski był zwolennikiem uderzenia na skrzydło bolszewickiego zgrupowania, stojącego tuż pod Warszawą. Gdyby je zrealizowano, byłoby to jedynie rozwiązanie taktyczne, które nie mogło odmienić losów wojny. Ale ponieważ był szefem Sztabu Generalnego, jego obowiązkiem była realizacja decyzji Wodza Naczelnego: przekształcenie jej w niezliczone rozkazy nie tylko dla wojsk na froncie, ale też dla tych na

■ Kogo obciążilibyśmy odpowiedzialnością za klęskę, gdyby nastąpiła? Oczywiście Piłsudskiego. I słusznie, bo on był wodzem. Ale skoro tak, on też był zwycięzcą.

tyłach, odpowiedzialnych za zaopatrzenie. I to zadanie Rozwadowski wykonał znakomicie. To był jego udział w zwycięstwie. Nie potrzebuje nadmiernej, próżnej chwały.

Pozostaje Piłsudski. Był wodzem naczelnym, do niego należało wytyczanie celów, znajdowanie rozwiązań. Nie miał akademickiego wykształcenia wojskowego (podobnie jak jego główny przeciwnik, Tuchaczewski), miał natomiast doświadczenie dowódcze, już wcześniej często podejmował decyzje śmiało i nieszablony. Rozumiał słabości armii, którą dowodził, dlatego szukał rozwiązań w manewrze. W natarciu, nie w obronie.

Kluczowa dyrektywa ofensywy znad Wieprza brzmiała: naprzód i tylko naprzód. Nieważne, czy sąsiedzi nadążają, czy mamy z nimi łączność: trzeba nacierać, bić wroga, siać zamęt na jego tyłach, rwać linie zaopatrzenia. To była taktyka kawalerii, choć realizowana siłami piechoty. Dyrektywa ta była jak najgłębiej sprzeczna z kanonami sztuki wojennej początku XX stulecia. Ale w tej bitwie, w tej wojnie, tylko ona mogła przynieść zwycięstwo.

Po sierpniu

Jak już wspomniałem, bitwa warszawska nie rozstrzygnęła wojny. Siły bolszewickie zebrały się znów w rejonie Grodna. Przygotowywały się do natarcia, tym razem na Białystok-Lublin. Dlatego tak ważne było w ostatnich dniach sierpnia wyeliminowanie, a nie tylko odparcie Armii Konnej. Jej marsz na północ nie mógł wprowadzić (jak lubią pisać Ukraińcy) zmienić losów bitwy warszawskiej, ale mógł umożliwić nieprzyjacielowi powstrzymanie odwrotu i koncentrację już pod Białymstokiem.

Do tego nie doszło: po bitwie pod Komarowem, stoczonej w ostatnich dniach sierpnia, resztki Armii Konnej musiały zostać wycofane z frontu, a siły

WSPÓŁWYDAWCA:



TEN BEZPŁATNY DODATEK „TP” powstał dzięki pokryciu kosztów jego wydania przez Fundację Tygodnika Powszechnego ze środków pochodzących ze zbiórki zorganizowanej na Facebooku pod adresem powszech.net/zbiorke, z płatności online pod adresem powszech.net/dar oraz z darowizn na konto Fundacji, które otrzymaliśmy od 13 lipca br. Serdecznie dziękujemy Darczyńcom. **Tak pracują pieniądze, które nam Państwo ofiarowali.**

→ bolszewickie na froncie południowym straciły zdolność do działań zaczepnych. Polscy żołnierze i sprzymierzeni z nimi Ukraińcy nacierali na Podolu i Wołyniu, nie napotykając zdecydowanego oporu.

W drugiej połowie września Wojsko Polskie podjęło kolejną ofensywę, zwaną bitwą nad Niemnem, a bolszewicy znów zostali rozbici. Tym razem Armia Czerwona także na północy przestała być zdolna do działania, a Moskwa uznała, że trzeba przerwać wojnę. Po sześciu latach zmagania wojennych Rosja (carska, potem czerwona) była wprawdzie u kresu sił, ale na kolejną kampanię w 1921 r. jeszcze mogła sobie pozwolić. Sądzę, że zdecydowało co innego: świadomość, że nie ma szans na wywołanie komunistycznej rewolucji w Niemczech, nawet gdyby Armia Czerwona tam dotarła. Moskwa zdecydowała się cofnąć, przeczekać. Jak się okazało – czekała długo, prawie 20 lat.

Ale także Polska potrzebowała pokoju. Nie mogła ryzykować następnej kampanii. To dlatego we wrześniu 1920 r. nie poszliśmy na Kijów, choć droga była właściwie wolna, dlatego zdradziliśmy ukraińskich sojuszników, którzy byli towarzyszami broni, ale nie zdołali stać się partnerami. Dalszej wojny nie chciał w Polsce nikt, nawet Piłsudski: zbyt dotkliwa była świadomość tego, jak mało dzieliło nas w sierpniu od całkowitej klęski.

Maryja nad Radzyminem?

Odbicie Radzymina nastąpiło w dniu Wniebowzięcia, złało się w świadomości warszawiaków z procesją i apelem Strońskiego. A potem pojawiły się opowieści o cudzie sensu stricto, o objawieniu Matki Bożej na polu walki. W grudniu 1920 r. Józef Teodorowicz, arcybiskup lwowski obrządku ormiańskiego, powiedział w kazaniu w archikatedrze warszawskiej: „Mówił mi kapłan, pracujący w szpitalu wojskowym, iż żołnierze rosyjscy zapewniali go i opisywali, jak pod Warszawą widzieli Najświętszą Pannę, okrywającą swym płaszczem Polski stolicę. I z różnych innych stron szły podobne świadectwa” (cytat za: „X arcybiskup Teodorowicz »Na przełomie. Przemówienia i kazania narodowe«”, Księgarnia św. Wojciecha 1923 r.).

Trochę to dziwne: Maryja ukazuje się nie obrońcom Warszawy, lecz jej (nie-doszłym) zdobywcom... W tym samym kazaniu arcybiskup wspominał też o so-

wieckim ataku na most na Wiśle, który załamał się dzięki Bożemu natchnieniu i przełamaniu paniki przez jednego oficera, co miało być punktem zwrotnym całej bitwy, całej wojny. Jeszcze dziwniejsze, wszak bolszewicy w tej bitwie nawet nie powąchaliby Wisły.

Można te słowa złożyć na karb wojennego zamętu informacyjnego, można i na karb retoryki abp. Teodorowicza, wybitnego kaznodziei i krasomówcy. W tym samym kazaniu, *implicite* skierowanym przeciw Piłsudskiemu, mówił on, że „modły bitwę rozstrzygnęły, modły cud nad Wisłą sprowadziły”, i że „Bóg bierze w ręce przypadek”.

Z tym można się zgodzić, ale na innym poziomie refleksji. Modlitwa ma moc odmieniania świata. Jednak obok, a nie zamiast doczesnego wysiłku. Czy trzeba „ozdabiać” żołnierską chwałę i trud obrazem Matki Najświętszej, która zamiast krzepić swe wierne dzieci – płoszy bolszewików?

Potem – nie wiedzieć jak, nie wiedzieć skąd – pojawiły się opowieści, jak to Maryja objawiła się bolszewikom dwukrotnie, pod Wólką Radzyminską i Ossowem, za każdym razem nad ranem, na tle łuny wschodzącego słońca. Tyle że bolszewicy nacierali na zachód, wstające słońce mieli za plecami. Dodajmy, że nie ma dowodu, by którąkolwiek z tych opowieści spisano przed II wojną światową. Jedną z nich mówi, że Maryja miała się objawić bolszewikom w asyście „skrzydlatych jeźdźców” – to już wyraźne echo znanego obrazu Jerzego Kossaka, będącego przedstawieniem alegorycznym (kontratak na prawym brzegu Wisły obserwuje z łachy Piłsudski ze sztabem!), na którym Matka Boża Loretańska w asyście husarii unosi się nad Warszawą, wspierając jej obrońców.

Wolę wierzyć (i wierzę) we wzmacniającą narodową synergię szczególną pomoc Bożą dla obrońców Polski w tych dniach – od niedowiarka Piłsudskiego po szeregowców wszystkich wyznań – niż w to, że Matka Najświętsza zniżyła się do osobistego gonienia bolszewików.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor jest emerytowanym analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. We wrześniu nakładem Wydawnictwa Wysoki Zamek ukazała się jego książka „Ukraińskie stulecie 1914-2014. Szkice historyczne”.

Kryptolog, który złamał „Rewolucję”

KRZYSZTOF PIĘCIAK

Zwycięstwo w 1920 r. było możliwe także dzięki nim: zespół Jana Kowalewskiego odszyfrowywał sowieckie depesze, dając sztabowcom dane o ruchach wroga.



d noweli Edgara Allana Poe'a i od ślubu siostry kolegi szyfranta zaczęło się rozszyfrowywanie pewnej sowieckiej depeszy. A od niej – sukces Biura Szyfrów, czyli ówczesnych polskich „oczui i uszu”.

„Pewnego dnia porucznik Sroka chciał iść na dwutygodniowy urlop z powodu małżeństwa swej siostry. Zapytał on Jana, czy zastąpiłby go na służbie podczas jego nieobecności” – czytamy w biografii Jana Kowalewskiego. Ten poliglota, znający kilka języków, absolwent chemii i weteran Wielkiej Wojny, jeszcze jako oficer armii carskiej poznał służbę łącznościowca. Szyfrując i odszyfrowując rosyjskie depesze, poznał styl i sposób myślenia tamtejszych wojskowych. Gdy więc już jako porucznik armii polskiej miał zastąpić kolegę, i gdy wpadły mu w ręce dwie depesze Armii Czerwonej, postanowił im się przyrzec.

Punkt zaczepienia w dekrypcie to najsłabszy punkt kodu – taką wskazówkę Kowalewski pamiętał z czytanej w dzieciństwie noweli Poe'a „Złoty żuk”, w której bohaterowie szukali pirackiego skarbu. Szyfr przedstawieniowy to konstrukcja prosta: każdą literę zastępuje się inną literą, cyfrą bądź znakiem, stałym w całej wiadomości (takie szyfry stosowali już starożytni: w tzw. szyfrze Cezara przesuwano każdą literę o stałą liczbę

pozycji w alfabecie, np. A stawalo się D, B – E itd.).

Kowalewski skojarzył. Pirat z noweli Poego nazywał się Kidd, dwie takie same litery lub cyfry to „dd”. Podobnie charakterystyczne jest rosyjskie słowo „dywizja”, które powinno znaleźć się we frontowej depeszy. W zapisie cyrylicą występuje w nim trzy razy litera „i” (дивизия, czyt. diwizija). W składającym się z ciągu liczb tekście każdą literę szyfrowały dwie cyfry – Kowalewski szukał więc ciągu znaków, gdzie trzy razy powtórzy się grupa dwóch cyfr.

Użył tego, co miał pod ręką: grzebień, z którego wylał kilka zębów. Gdy odnalazł „dywizję”, miał już wytypowane kody pięciu liter. Idąc po nitce do kłębka, odczytał nazwisko dowódcy (Iona Jakir), miejsce (Odessa, też charakterystyczne, bo z dwoma „s”). Wkrótce, mając kolejne litery, przeczytał cały telegram.

Matematycy w akcji

Odczytanie jednej depeszy zelektryzowało Naczelnego Dowództwo Wojska Polskiego, świadome wagi sukcesu Kowalewskiego. Aby przekuć go w następne, utworzono nową komórkę: Wydział II Szyfrów Obcych, na czele której stanął on. Okazało się, że prócz wyobraźni i zdolności matematycznych jest dobrym organizatorem: stworzył sprawny zespół.

Wówczas to po raz pierwszy metody matematyczne zastosowano do deszyfracji. Przy depearach szyfrowanych podwójnie (tj. bardziej złożonym kodem) zawodziła prosta metoda „ataku lingwistycznego”. Z pomocą przychodziła nauka. Dzięki wsparciu grupy matematyków z Uniwersytetu Lwowskiego i Warszawskiego (wśród nich Stanisława Leśniewskiego, Stefana Mazurkiewicza i Wacława Sierpińskiego) już wkrótce łamano kolejne szyfry.

Zespół kryptologów odczytywał depeche bolszewików, białych Rosjan i także Ukraińców, dzięki temu śledząc wydarzenia na ogromnym obszarze. Latem 1920 r. wiadomości o znanym kodzie odczytywano w kilkanaście minut, a nowe kody łamano w kilka dni.

Złamanie „Rewolucji”

12 sierpnia 1920 r. bolszewicy podchodzili pod Warszawę. Do jej obrony szykowały się wyczerpane odwrotem pułki i ledwo co przeszkoleni ochotnicy; kopano okopy, otwierano nowy szpital po-

Major Jan Kowalewski jako późniejszy attaché wojskowy w Moskwie, obok podpisany przez niego dokument z 15 sierpnia 1920 r. opisujący 4. Armię bolszewicką.



NACZELNE DOWÓDZTWO W.P.
(SZTAB GENERALNY)

Tłumaczenie szyfrogramu.

Od: Sztabu IV armji Do: Sztabu Zachodn. frontu Przejęto: 14/VIII. Odczytano: 15/VIII.

Uwagi	T R E S Ć Rew. 441.
Oficerów /- równa się - „komandnyj sobor” - „walcących - równa się - „bojacz”	10M2A. dn. 13/VIII. DO Szefa Sztabu Zachodniego frontu.- Podaje meldunek o stanie liczebnym IV armji według danych, na 10/VIII. 12 dywizji strzelców: oficerów-518, bagnietów-2823, szabel-376, walcących- piechoty-3540, zaprowiantowanych-9263, karabinów maszynowych-86, dział polowych-24, ciężkich dział-3, koni-3083, wozów-837. 18-a dywizja strzelców: oficerów-402, bagnietów-4203, walcących- piechoty-6607, zaprowiantowanych-11480, karabinów maszynowych-97, autostaw-23, dział polowych-23, koni-1606, wozów-500. 53-a dywizja strzelców: oficerów-573, bagnietów-2146, szabel-62, walcących piech.-4593, zaprowiantowanych-10636, karabinów maszynowych-7, autostaw-23, dział pol.-24, koni-2530, wozów-712. 54-a dywizja strzelców: oficerów-600, bagnietów-3216, walcących piech.-5624, szabel-160, zaprowiantowanych-13273, karabinów maszynowych-118, autostaw-23, dział polowych-6, koni-752, wozów-237. bręgoła strzelców: oficerów-306, bagnietów-1330, walcących piech.-2406, zaprowiantowanych-3786, karabinów maszynowych-35, dział polowych-8, koni (brak końca) Za zgodność z oryginałem: <i>Kowalewski</i> Naczelnik Wydz. 2.

lowy... Tymczasem zespół Biura Szyfrów głowił się nad nowym kodem szyfrowym o kryptonimie „Rewolucja”. Po kilku godzinach 28-letni wówczas Kowalewski i 32-letni Mazurkiewicz (już profesor) mogli ogłosić sukces: kod złamano.

Gdy następnego dnia przejęto rozkaz, opisujący plan ataku na Warszawę, polscy sztabowcy poznali słaby punkt wroga: osłonięte słabymi siłami jego południowe skrzydło. Kilka dni później w to miejsce wbiła się kontrofensywa wyprowadzona znad Wieprza, która zatrzymała bolszewików i wyszła na ich tyły. Tuchaczewski próbował jeszcze zatrzymać Polaków siłami zawróconej 4. Armii. Ta jednak pozostała głucha na rozkazy. Jedną z jej radiostacji zniszczyli w Cieszanowie ułani, a pozostałą łączność Polacy zagłuszyli, nadając na używanej przez bolszewików częstotliwości teksty z Biblii.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że jednym z czynników, które przyczyniły się do tego zwycięstwa, byli oni – sz Francji, matematycy i żołnierze radiowywiadu. Sztabowcom dali do ręki oręż,

jakiego nie miał dotąd żaden z polskich dowódców: dokładne dane o ruchach wroga.

Kilkanaście lat później łamacze „Rewolucji” będą uczyć kryptografii młodszych kolegów. Ci odniosą własny sukces: złamają tajemnicę niemieckiej „Enigmy”.

Potem

Po wojnie 1920 r. nie zapomniano o genialnym kryptologu. Kowalewski kierował wywiadem podczas III Powstania Śląskiego, łamał depeche niemieckie i czechosłowackie. W wojsku dosłużył się stopnia podpułkownika. Uczył kryptografii japoński wywiad (Japonia była wówczas w przyjaznych relacjach z Polską), a jako dyplomata zajmował kluczowe dla Polski stanowiska attaché wojskowego w Związku Sowieckim oraz w sprzymierzonej Rumunii.

W wywiadzie działał także podczas II wojny światowej, m.in. w operacjach, których celem było przeciagnięcie Rumunii, Węgier i Włoch na stronę aliantów.

Do pojałtańskiej Polski przeczornie nie wrócił. Zmarł w 1955 r. w Londynie. ©



Fotografia o wojnie

KAROLINA PUCHAŁA-ROJEK



W MAJU 1921 ROKU do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie kupiona została – bezpośrednio od Warszawskiej Agencji Fotograficznej – kolekcja 77 zdjęć dotyczących wydarzeń roku 1920.

Z dzisiejszej perspektywy krok ten wydaje się niemal rewolucyjny. Znaczenie fotografii (medium wtedy młodego) w opowiadaniu o zakończonej właśnie wojnie (w marcu podpisano traktat pokojowy) było większe, niż jesteśmy gotowi przyznać dziś – świadomi jej propagandowej roli i nauczani sceptycyzmu w traktowaniu jej jako źródła informacji. Jednak nie tylko Muzeum Narodowe wzbogaciło się już w Dwudziestolecie o zdjęcia z czasów wojen z lat 1918-21. Archiwum Fotografii i Filmów Wojskowych – utworzone w 1930 r. przy Wojskowym Biurze Historycznym – miało w planach nie tylko dalsze kolekcjonowanie prywatnych zdjęć, ale też tworzenie z nich wystaw i albumów.

Zapewne wtedy do zbiorów WBH trafił album, przechowywany tam do dziś, na którego ciemnozielonych kartach wklejono prawie 100 zdjęć. Większość wykonał lwowski fotograf Kazimierz Skórski. Fotografował on żołnierki 2. kompanii Ochotniczej Legii Kobiet w koszarach we Lwowie. Album zadedykowano „Zacnej i kochanej Komendantce OLK”, czyli Aleksandrze Zagórskiej, twórczyni pierwszych oddziałów kobiecych. Zaangażowanie kobiet w tę wojnę nie było jednostkowym zrywem, ono wpisywało się w akceptowaną wówczas powszechnie postawę Polek patriotek. W tym albumie – pomniku, miejscu pamięci – jak uprawnione byłoby go nazwać, wobec braku tradycyjnych form upamiętnienia tych kobiet – ich postawa wybrzmiewa szczególnie mocno. Konwencja pozowanych, formalnych portretów i przede wszystkim znacząca rola mundurów i broni potwierdzają ich profesjonalizm, odwagę i gotowość do walki, ale też do dowodzenia, na równi z mężczyznami.

Rozpatrywanie jakiegoś tematu z różnych perspektyw fotograficznych pozwala dowiedzieć się więcej nie tylko o nim. Może uczyć patrzenia na fotografię w ogóle. Makeda Djata Best, badaczka fotografii wojennej z Harvard Art Museum, w katalogu towarzyszącym naszej wystawie pisze, że żołnierska fotografia amatorska nigdy nie jest tylko prywatna. Przedstawia osobiste doświadczenie, przez co ujawnia sytuacje niespodziewane i nieutożsamiane zwykle z widokami wojennymi.

Takich zdjęć z wojny polsko-bolszewickiej jest dużo. Ich niedoskonałość sprawia, że łatwiej przyjmujemy perspektywę fotografa, np. autora stykowych odbitek ze średnioformatowego aparatu, zapewne kolegę fotografowanych żołnierzy z 35. Pułku. Jego nazwisko nie zostało zapisane – podobnie jak większości fotografów. ©

KAROLINA PUCHAŁA-ROJEK jest kuratorką wystawy „Fotorelacje. Wojna 1920 roku”, którą będzie można oglądać w Muzeum Narodowym w Warszawie od 14 sierpnia (Gmach Główny, Aleje Jerozolimskie 3). Prezentowane zdjęcia pochodzą z tej wystawy.



U GÓRY Z LEWEJ: na warszawskim Nowym Świecie, sierpień 1920 r.

U GÓRY Z PRAWY: żołnierki z Ochotniczej Legii Kobiet w koszarach we Lwowie. Zdjęcie, które wykonał lwowski fotograf Kazimierz Skórski, znalazło się w albumie zadedykowanym „Zacnej i kochanej Komendantce OLK”, czyli Aleksandrze Zagórskiej, twórczyni pierwszych oddziałów kobiecych. Fotografia niedatowana.

NA DOLE: ochotnicy w drodze na wojnę. Idą drogą z warszawskiej Cytadeli przez ulicę Białostocką na Dworzec Wileński, skąd koleją pojadą dalej na front. Rok 1920.



KAZIMIERZ SKÓRSKI / WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE
BEATA GÓRSKA-SZKOP / MNW

Przegrane zwycięstwo

PROF. ANDRZEJ CHWALBA:

Choć w 1920 r. Piłsudski wygrywał militarnie nad Wisłą i Niemnem, to na koniec polityczny sukces odnieśli wrogowie jego wizji Europy Środkowo-Wschodniej.

BARTOSZ DZIEWANOWSKI-

-STEFANČZYK: W swojej najnowszej książce o wojnie polsko-bolszewickiej pisze Pan, że była nieunikniona. Dlaczego?

ANDRZEJ CHWALBA: Bolszewicka Rosja była przeciwnikiem polskich aspiracji niepodległościowych, chciała przejąć całe terytorium dawnej Rosji carskiej. Z kolei polscy politycy – i to niezależnie od różnic ideowych – uważali, że Polska ma prawo do ziem byłego zaboru rosyjskiego, gdyż stanowiły część dawnej polsko-litewskiej Rzeczypospolitej. Zastanawiano się, czy Ukraińcom, Litwinom, Łotyszom i Białorusinom umożliwić własne formy państwowości, ale co do samej zasady sądzono, że uregulowanie tych kwestii to wewnętrzna sprawa polska. Były tu też inne strony: biała Rosja, która również nie zamierzała rezygnować z dawnego zaboru, oraz wspierająca ją Ententa. Alianci uważali, że o przyszłości ziem należących do Rosji carskiej powinna decydować biała Rosja, Polsce przypisywali tu rolę petenta. Z tym nie zgadzali się ani Dmowski, ani Piłsudski, ani Witos – pod tym względem wyjątkowo zgodni. O tym, kto ma rację, musiała rozstrzygnąć wojna.

Dlaczego twierdzi Pan, że było to przegrane zwycięstwo?

W sierpniu-wrześniu 1920 r. Piłsudski wygrał nad Wisłą i Niemnem, ale jego wizja Europy Środkowo-Wschodniej – Polski i jej wschodnich sąsiadów – koniec końców przegrała. Podczas polsko-bolszewickich rokowań w Rydze, zakończonych traktatem pokojowym, to jego polityczni wrogowie mieli przewagę. Owszem, wygraliśmy tę wojnę, bo obroniliśmy niepodległość, a to była dla nas kwestia „być albo nie być”: zwycięstwo Armii Czerwonej oznaczałoby kres suwerennej Polski i zapewne także państw bałtyckich. Ale przegraliśmy ją politycznie oraz wizerunkowo na arenie światowej. Nie

tylko europejska lewica, ale też znaczna część świata była po stronie Moskwy, a nie Warszawy. Polska była powszechnie uważana za państwo imperialne, za agresora. Ten wizerunek do dziś jest konserwowany i wykorzystywany m.in. przez kremlowską propagandę.

Jaka była wtedy reakcja świata?

W latach 1919-20 w licznych i głośnych środowiskach w Europie i świecie postrzegano tę wojnę jako starcie dobra – czyli bolszewickiej Rosji – ze złem, czyli z Polską. Z dzisiejszej perspektywy, gdy wiemy, czym była sowiecka utopia, może się to wydać dziwne. Ale wtedy znaczna część mieszkańców Europy życzyła zwycięstwa bolszewickiemu eksperymentowi: chciano wierzyć, że to autentyczne państwo robotników i chłopów. Wieści o terrorze Czeki były skąpe, stalinowski świat zbrodni miał dopiero nadejść. W bolszewickiej Rosji widziano państwo, które jako pierwsze wyszło z Wielkiej Wojny, zawierając już na początku 1918 r. pokój z Niemcami i Austro-Węgrami. Dlatego nie powinno dziwić, że tysiące ludzi w Europie i poza nią manifestowały poparcie dla Moskwy w walce z rzekomym polskim imperializmem. Strajkujący dokerzy nie chcieli ładować statków ze sprzętem wojennym dla Polski, a robotnicy odmawiali jego produkcji na wieść, że ma być użyty przeciw państwu, które – jak wierzyli – miłuje pokój i chce szczęścia ludzkości.

Jak światowi historycy opisywali tę wojnę?

Kiedyś albo lekceważono polski wysiłek, albo oskarżano Polskę o agresję. Bardziej wyważone sądy były rzadkie. Powoli zaczęło się to zmieniać po 1989 r., coraz więcej było uczciwych opinii, dalekich od tez nacechowanych ideologią prosowiecką. Wprawdzie z perspektywy Wielkiej Wojny ten konflikt wciąż lokuje się

na peryferiach, jako jeden z epizodów powsersalskich, ale w popularnych leksykonach zachodnich bitwa warszawska jest dziś wymieniana niejednokrotnie wśród stu najważniejszych starć w dziejach świata, podobnie jak Grunwald czy Wiedeń. Natomiast znana w Polsce teza lorda Edgara d'Abernona – o bitwie warszawskiej jako osiemnastej spośród tych najważniejszych w dziejach globu – nie trafiła do światowej literatury historycznej ani publicystyki. W Polsce spiraliśmy się, kto był autorem planu tej bitwy, Piłsudski czy szef sztabu gen. Tadeusz Rozwadowski. W historiografii europejskiej i amerykańskiej ten spór nie istnieje. Od dekad we francuskojęzycznej literaturze historycznej zwycięzcą tej bitwy był szef alianckiej misji gen. Maxime Weygand. W literaturze brytyjskiej bywało, że w tej roli obsadzano... premiera Lloyd'a George'a, który miał jakoby przygotować zwycięstwo od strony politycznej! To także świadectwo przegranego zwycięstwa.

Jak ocenia Pan teraz, obecną już w okresie międzywojennym, że w 1919 r. straciliśmy szansę na zniszczenie bolszewików, nie podejmując wspólnej akcji przeciw nim razem z wojskami białej Rosji?

To bajkopisarstwo. Jesienią 1919 r. Wojsko Polskie nadal się formowało, miało za mało sprzętu i ludzi, bo roczniki poborowych przeorała Wielka Wojna. Do tego cały czas walczyło na kilku frontach. Kraj nie miał przemysłu zbrojeniowego, nasilały się nastroje pacyfistyczne. Nie można było realnie myśleć o wspólnym zwycięstwie białych i Piłsudskiego nad bolszewikami. Ponadto polski atak na Moskwę mógł spowodować mobilizację Rosjan, nawet tych nieprzyjaznych czerwonym. Również światowa opinia potępiłaby nas.

Temat tamtej wojny wraca we współczesnych relacjach polsko-rosyjskich. Dla odwrócenia uwagi od zbrodni katyńskiej, od 1989 r. Moskwa lansuje tzw. anty-Katyń, zarzucając Polsce zbrodnię na jeńcach sowieckich z wojny 1920 r. Dziś znów się pojawi?

Zapewne niejedną raz jeszcze będzie on orężem kremlowskiej polityki, nawet jeśli o rzekomych polskich zbrodniach opowiadają dziś tylko tzw. dworscy historycy rosyjscy. Pozostali mają podobne zdanie



WSTRZĄSY WTRÓNE W EUROPIE

„Po Wielkiej Wojnie. Nowa Europa 1918-1923” – taki tytuł nosi wystawa opowiadająca o losach Europy Środkowo-Wschodniej po I wojnie światowej. Od 13 sierpnia będzie prezentowana na placu Piłsudskiego w Warszawie; wcześniej odwiedziła Pragę, Sarajewo, Bratysławę, Verdun, Berlin, Weimar, Wrocław i Kraków. Andrzej Chwalba uczestniczył w jej powstawaniu, a jej kuratorami są Robert Żurek i Bartosz Dziewanowski-Stefańczyk. Informacje o wystawie można znaleźć na stronie jej organizatora, Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność: <https://enrs.eu/afterthegreatwar>.

NA ZDJĘCIU OBOK: Po zajęciu wsi Glinna Słoboda (dziś na Białorusi) polscy żołnierze walczą z wszami. Wszecobecne insekty były przyczyną chorób zakaźnych, które dziesiątkowały oddziały. Wiosna 1920 r.

jak badacze polscy i międzynarodowi: że nikt nie mordował czerwonoarmistów w obozach jenieckich. Umierali oni na choroby zakaźne, na czele z tyfusem, cholera i hiszpanką. Polska była wyniszczona przez sześć lat wojen, brak leków i żywności dotykał większości społeczeństwa. Także polscy żołnierze umierali na choroby. Warto natomiast przywołać liczne zabójstwa polskich jeńców przez bolszewików, zwłaszcza z konnych formacji Budionnego i Gaj-Chana. W odwecie zdarzało się rozstrzeliwanie jeńców bolszewickich. Ale to były przypadki, nie reguła.

Jaki wpływ miał rok 1920 na tworzenie się polskiej świadomości zbiorowej? Z najnowszych badań wynika, że nie wszyscy obywatele powstającego państwa, którzy mówili po polsku, mieli sprecyzowaną tożsamość narodową.

W chwili zakończenia Wielkiej Wojny jedynie polscy mieszkańcy zaboru pruskiego z wszystkich warstw społecznych czuli się Polakami. Natomiast całym liczną polskojęzyczną mieszkańców wsi w Galicji, a jeszcze liczniejsi w Kongresówce nie uważali się za Polaków. Dla nich Polak to był pan, który źle ży-

czy chłopom i chce, by wróciła pańszczyzna. Najsłabiej polska tożsamość przejawiała się na wschód od Bugu i Niemna. To nie była wina tych ludzi, to bieg dziejów nie pozwolił im na szybszą identyfikację z polskością. W tym sensie wojna polsko-bolszewicka zdecydowanie przyspieszyła proces dojrzwania narodowego tych, którzy jeszcze nie czuli się częścią narodu. Wspólna praca aparatu państwowego, wojska, Kościoła katolickiego, środowisk obywatelskich, twórców – to wszystko przyniosło dobre skutki. Nie znaczy to, że w 1921 r. wszyscy, którzy mówili po polsku, czuli się już Polakami. To się stanie dopiero po kolejnych kilkunastu latach.

Profesor Andrzej Nowak uważa, że w 1920 r. Polska została po raz pierwszy zdradzona przez Zachód, który zostawił nas na pastwę bolszewików. A czy my też nie mamy na sumieniu zdrady naszych sąsiadów?

Polska nie była wtedy sojusznikiem Francuzów i Brytyjczyków, więc trudno mówić, że nas zdradzili, skoro nie przysięgali nam wierności. Oba mocarstwa kolonialne kierowały się, co zrozumiałe, własnymi interesami i możemy się tylko

zżymać, że nie zawsze rozumiały interesy Polaków. Dla Paryża i Londynu byliśmy krajem znikąd. Co do naszych sąsiadów, to Litwini czują pewien resentyment, ale o Wilno i Żeligowskiego. Białorusini nie mają do nas żalu, bo polscy politycy nie zapowiadali powołania państwa białoruskiego. Natomiast mieliśmy sojusz wojskowy z Ukraińską Republiką Ludową Symona Petlury, choć Sejm nie ratyfikował tej umowy. Podczas rokowań w Rydze polscy politycy porzucili Petlurę. Miał on prawo do ostrego komentarza wobec postawy Warszawy. Stąd też znane przeprosiny Piłsudskiego. Stojąc w maju 1921 r. przed ukraińskimi oficerami, Marszałek powiedział: „Ja was przepraszam, panowie, ja was bardzo przepraszam, tak nie miało być”. ©

PROF. ANDRZEJ CHWALBA jest wykładowcą UJ. Autor książek o historii Polski w wiekach XIX i XX. W połowie sierpnia w Czarnym ukaże się jego nowa praca „Przebrane zwycięstwo. Wojna polsko-bolszewicka 1918-1920”.

DR BARTOSZ DZIEWANOWSKI-STEFAŃCZYK jest historykiem, zastępcą kierownika działu naukowego Instytutu Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność.



WSZYSCY LUBIĄ NIEBIESKI

To, co żywe, przykuwa uwagę i zachwyca, a kontakt z naturą łagodzi stres i wpływa na długość życia. Ale właściwie dlaczego?

KASPER KALINOWSKI

W 1982 r. Japońska Agencja Leśnictwa wpadła na niecodzienny pomysł. W trosce o dobrostan obywateli zaleciła im *shinrin-yoku*. W dosłownym tłumaczeniu „kąpiele leśne” – spacery na łonie natury i kontemplowanie jej piękna. Gdy w dwa lata później Edward Wilson wydał książkę „Biofilia”, japoński pomysł zainteresował naukowców.

Wilson do historii nauki przejdzie jako jeden z twórców socjobiologii – nauki po-

szukującej ewolucyjnych wyjaśnień zachowań społecznych zwierząt (w tym ludzi). Jednak stworzył on również termin „biofilia” i zapoczątkował naukowe podejście do badania wpływu kontaktu z naturą na ludzki dobrostan i zdrowie. Jak pisze we wstępie swojej książki, biofilie można zdefiniować jako wrodzoną tendencję do skupiania się na życiu i jego procesach. W momencie publikacji książki Wilsona wiele z jego intuicji

nie miało jeszcze empirycznego potwierdzenia.

Piękne, naturalnie!

W 1975 r., jeszcze przed pionierską pracą Wilsona, brytyjski geograf Jay Appleton zaproponował wyprzedzające swoje czasy podejście do estetyki. W zapomnianej dziś książce „The Experience of Landscape” zauważył, że klucz do zrozumienia poczucia piękna współczesnych *Homo sapiens* leży



*Dystans społeczny na łonie natury.
W ogrodzie zielonym na górze Rokkō nad Kobe,
Japonia, 2 sierpnia 2020 r.*

To nie jest dobra wiadomość dla zwolenników sztuki nowoczesnej – jej trendy prawdopodobnie nigdy nie zdobędą szerokiego grona zwolenników. Abstrakcyjne, regularne kształty nie są przez nasz umysł zazwyczaj postrzegane jako piękne. Melamid był początkowo zdziwiony wynikami. „Niewiarygodne, prawda? Kenia i Islandia – co może bardziej się różnić w całym tym pieprzonym świecie – i oba te kraje chcą niebieskich krajobrazów” – komentował w jednym z wywiadów. Sam kolor niebieski wybierali jako ulubiony ankietowani we wszystkich państwach poza Rosją. Ściśle, tam też wygrał niebieski – jednak w jaśniejszym odcieniu.

Denis Dutton, autorytet w dziedzinie ewolucyjnej analizy zjawiska sztuki, efekty uzyskane przez Komara i Melamida określił jako oszałamiające. To, że zostały uzyskane niezamierzenie, jego zdaniem nie przekreśla ich doniosłości. Nie było to badanie naukowe, ale trudno interpretować jego wyniki inaczej niż w kategoriach ewolucyjnych. Jak podkreślił Dutton w książce „Instynkt sztuki”: „przenosząc nasz sposób rozumienia ewolucji na sztukę, możemy zwiększyć przyjemność wynikającą z obcowania z nią”.

Psycholodzy badają drzewa

Zjawiskiem zainteresowali się przedstawiciele raczkującej wówczas dyscypliny – psychologii ewolucyjnej. Judith Heerwagen i Gordon Orians wykazali np., że preferencje estetyczne wobec kształtu drzew mają charakter uniwersalny. Nie tylko obecność drzew zwiększa atrakcyjność krajobrazu. Ich zdaniem chodzi o szczególny kształt – umiarkowaną koronę rozwidlającą się blisko ziemi. Skrajności – drzewa zbyt skąpe lub rozłożyste – były oceniane jako o wiele mniej atrakcyjne. Analogiczne wnioski wysnuła dwójka psychologów z Uniwersytetu w Michigan – Stephen i Rachel Kaplan. Ich zdaniem kluczem jest stopień złożoności krajobrazu. Lubimy krajobrazy, które umożliwiają orientację w terenie i zachęcają do jego eksploracji.

W 2010 r. drzewom przyjrzyli się także John Falk i John Balling. Gdy badanym z różnych grup wiekowych pokazywali

rozmaite krajobrazy – od pustyni, przez lasy liściaste i iglaste, po typową dla Afryki Wschodniej sawannę – zauważono, że już najmłodsza grupa uczestników badania (ośmiolatki) za najbardziej atrakcyjny teren uznawała sawannę. A to właśnie wśród takiego krajobrazu, w ciągu setek tysięcy lat ewolucji, rósł i kształtował się ludzki mózg. Oczywiście do takich danych należy podchodzić z dystansem. Łatwo popaść w naiwną wykładnię ewolucji jako czynnika warunkującego każdy ludzki wybór i decyzję, co byłoby poważną nadinterpretacją. Jednak szereg takich wyników skłania do dalszego zgłębiania tematu.

Zwłaszcza że efekt działa na wielu poziomach. W badaniach Jacka Nasara i Minhui Li uczestnicy oceniali atrakcyjność refleksów na wodzie. W przypadku tych najbardziej naturalnych oceny były najwyższe (w pozostałych warunkach eksperymentalnych w tafli wody nie odbijały się np. pobliskie drzewa).

Ale jeszcze istotniejsze jest to, że biofilia nie dotyczy wyłącznie estetyki.

Jak wybrać salę w szpitalu

„Więcej światła” – tak miała brzmieć ostatnia prośba Johanna Wolfganga Goethego na łożu śmierci. Mimo że w jego wieku i stanie zdrowia (zmarł na zapalenie płuc mając 83 lata) światło niewiele mogło już pomóc, to ekspozycja na światło naturalnego pochodzenia wiąże się z szeregiem korzyści. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez zespół Jeffreya Walcha, pacjenci, którzy dochodzili do zdrowia po operacji w uniwersyteckim szpitalu w Pittsburghu w nasłonecznionych salach, odczuwali mniejszy stres i mniej bólu oraz przyjmowali o 22 proc. mniej leków przeciwbólowych niż osoby z drugiej grupy – pacjenci zajmujący mniej nasłonecznione sale. W jednym i drugim przypadku pomieszczenia były identycznych rozmiarów, podobnie jak ich wyposażenie – jedyną różnicą była ilość słonecznego światła. Gdy w szpitalu uniwersyteckim w Uppsali pacjentom przed operacją serca pokazywano sceny naturalne (drzewa, wodę, las), raportowali mniejszy poziom stresu przed zabiegiem niż pacjenci, którym prezentowano obrazy abstrakcyjne.

Efekt biofilii działa oczywiście nie tylko w szpitalach. W 2005 r. Chen-Yen Chang i jego współpracownicy sprawdzili wpływ widoku z okna i roślin znajdujących się →

w ewolucji. Jego zdaniem estetyka to wyłącznie preferencje, które nabywamy, aby zaspokoić wrodzone pragnienia. Większość psychologów i badaczy z obszarów nauk społecznych nie była jeszcze gotowa, by zaakceptować takie poglądy.

W 1995 r. sytuacja wyglądała już trochę inaczej. Witalij Komar i Alexander Melamid, dwaj rosyjscy artyści i dysydenci na stałe mieszkający w USA, rozpoczęli wówczas projekt o nazwie „Wybór ludzi” (ang. „People’s Choice”) – będący jednym z najciekawszych ujęć zagadnienia biofilii. Zapytali ludzi o mnóstwo preferencji: ulubiony kolor, preferowane kształty, elementy znajdujące się na obrazie, liczbę osób itd. Na podstawie odpowiedzi z całego świata artyści stworzyli serię „najbardziej pożądanых obrazów”. Ludzie wywodzący się z różnych kultur skłaniali się ku podobnemu krajobrazowi – z drzewami, otwartą przestrzenią, wodą, ludźmi i zwierzętami.

→ w biurze na niepokój pracowników. Badano m.in. aktywność mózgu, przepływ krwi i napięcie mięśniowe pracowników. I tym razem okazało się, że widok z okna na zieleni czy rośliny w pomieszczeniach łagodzi codzienny stres.

Z kolei gdy Roger Ulrich wyświetlał uczestnikom eksperymentu nieprzyjemny w odbiorze film, poziom stresu spadał u nich znacznie szybciej, gdy badani oglądali zaraz potem sceny naturalne. Gdy po awersyjnym filmie wyświetlano im scenerię miejską, poziom stresu utrzymywał się dłużej.

Zdrowo mieć psa

Rozróżnienie na świat ożywiony i nieożywiony jest fundamentalną właściwością umysłu *Homo sapiens* – i pojawia się wcześniej w rozwoju. Zdaniem psycholog z Uniwersytetu Yale Valerie Kuhlmeier już pięciomiesięczne niemowlaki odróżniają ludzi od przedmiotów. Wiele badań wykazało także, że niemowlęta, niezależnie od kultury, z której się wywodzą, wolą oglądać twarze niż przedmioty – chyba że twarz pozostaje nieruchoma. Taka wywołuje u najmłodszych dzieci frustrację.

Dariusz Kalvaitis i Rebecca Monhardt poprosili grupę 68 dzieci o opisanie więzi, jaką łączy je z naturą, i dokonali jakościowej analizy tekstów. Stosunek dzieci do natury był bardzo pozytywny. Autorzy używają nawet sformułowania „miłość”. Być może to właśnie międzykulturowa uniwersalność i fakt, że biofilia ujawnia się wcześniej w toku rozwoju, skłoniły włoskich naukowców, Giuseppego Barbiera i Chiare Marconato, do traktowania biofilii jako emocji. Jak piszą w artykule z 2016 r.: „Sposoby przejawiania się biofilii silnie sugerują, że najlepiej byłoby opisać ją jako emocję, zamierzoną jako natchmianową i konsekwentną reakcję na naturalne bodźce, która może być pozytywna (biofilia) lub negatywna (biofobia)”. Biofobię u dzieci skutecznie niweluje kontakt z naturą.

Jest on także korzystny dla ich zdrowia. Zespół pod kierownictwem George’a T. O’Connora wykazał np., że posiadanie zwierząt domowych w okresie niemowlęcym wiązało się z mniejszą zachorowalnością na alergię w wieku siedmiu lat. Badacze wykryli, że w domu dzieci, które nie cierpiały na astmę, kurz miał inny skład – było w nim więcej szczepów bakterii. Jedno z drugim może się zresztą łączyć. Według Roba Dunna, bio-

loga z Uniwersytetu Stanowego Karoliny Północnej, psy odpowiadają za ok. 40 proc. zróżnicowania bakterii w domu. Jego zdaniem oferta antyalergiczna psów to m.in. bakterie jelitowe, które dzieci mogą pozyskać podczas zabaw w czworonogiem.

Rozłąka z łąką

Sposób życia dzisiejszych mieszkańców Zachodu jest sprzeczny z warunkami, w jakich nasz gatunek spędził olbrzymią większość swojej historii. Nie tylko ogranicza bezpośrednie kontakty międzyludzkie, ale również utrudnia kontakt z naturą. Wielu badaczy próbuje łączyć ten fakt z rozmaitymi chorobami – cywilizacyjnymi i psychicznymi, które trapią coraz większy odsetek społeczeństwa. Zdaniem m.in. psycholog Eleanor Gullone mamy jednak obecnie do czynienia dopiero z początkiem negatywnego wpływu postępu cywilizacyjnego na ludzką psychikę.

Pozytywny wpływ natury na nasze zdrowie jest bezsprzeczny, ale urbanizacji nie da się powstrzymać. Według ONZ za 10 lat po raz pierwszy w historii przeszło połowa ludzkości będzie mieszkać w miastach. Do refleksji skłaniają zwłaszcza analizy Toshiakiiego Takano z Chiba University. W 2002 r. wraz ze współpracownikami przyjrzał się ponad trzem tysiącom Japończyków urodzonych w 1903, 1908, 1913 oraz 1918 r. Z jego analiz wynika, że mieszkanie na terenach z zielenią, na których można spacerować, pozytywnie wpłynęło na długość życia zamieszkujących miasta japońskich seniorów, niezależnie od roku urodzenia, płci, stanu cywilnego czy statusu socjoekonomicznego.

Analizując pozytywne skutki biofilii, nie należy jednak popadać w radykalizm. W ostatnich latach na sile zyskują różnego rodzaju ruchy powrotu do korzeni. Specjaliści od marketingu zachęcają do paleodiet, niektórzy gloryfikują społeczności łowiecko-zbierackie, inni negują dorobek współczesnej medycyny. Najsensowniejszym postępowaniem wydaje się po prostu stopniowa zmiana świadomości mieszkańców miast – oraz sposobów projektowania przestrzeni miejskiej.

Na szczęście i takie zmiany stopniowo już zachodzą. Architekci i projektanci wnętrz powołują się na badania psychologów – coraz popularniejszym nurtem w tych dziedzinach jest tzw. *biophilic design*. A w miastach coraz łatwiej można znaleźć łąkę. © KASPER KALINOWSKI

Mistrz osobowości

EDWARD NĘCKA

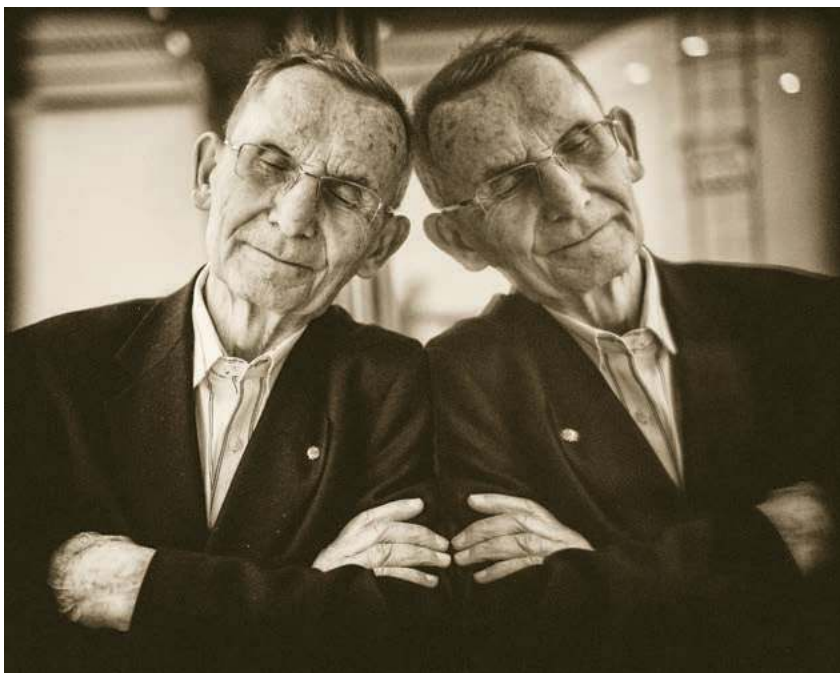
W nocy z 3 na 4 sierpnia zmarł prof. Jan Strelau – najczęściej cytowany polski psycholog, znany z badań nad temperamentem. Miał 89 lat.

ŚRODOWISKO NAUKOWE W POLSCE i na świecie będzie go pamiętać ze względu na dzieła, które po sobie pozostawił – znaczące książki, ważne podręczniki, szeroko znane i cytowane prace badawcze.

Jako psycholog Jan Strelau rozwinął teorię, zgodnie z którą całe bogactwo i różnorodność cech osobniczych da się sprowadzić do kilku podstawowych wymiarów, takich jak ogólny poziom aktywności fizycznej i psychicznej, reaktywność na bodźce zewnętrzne, emocjonalność, wytrzymałość czy mobilność procesów umysłowych. Umiął te podstawowe cechy temperamentu opisać i wyjaśnić, a przy tym zmierzyć ich natężenie, dzięki czemu jego teoria i wypływające z niej prace empiryczne zyskały międzynarodowe uznanie.

To obecnie najczęściej cytowany na świecie polski psycholog. Podstawowe cechy temperamentu są, jak dowodził, w wysokim stopniu odziedziczalne, ale ich rozwój i sposób przejawiania się w działaniu podlega silnym wpływom ze strony środowiska. Co więcej, cechy te mają zdolność regulowania naszych relacji z otoczeniem, tak aby działanie człowieka było dopasowane do jego możliwości.

WYCHOWAŁ KILKA POKOLEŃ BADACZY. Jego uczniowie odgrywają dziś ważną rolę w życiu naukowym w Polsce, rozwijając jego idee i propagując jego system wartości. Jego wpływ jako nauczyciela wykracza jednak daleko poza krąg wy-



MIKOŁAJ GRYNBERG

chowanków i najbliższych współpracowników. Można śmiało powiedzieć, że Jan Strelau przyczynił się do rozwoju całej nauki w Polsce, a szczególnie nauk społecznych i behawioralnych, propagując właściwe wzorce uprawiania nauki. Wymagał przede wszystkim – od innych, ale i od siebie – rzetelności w prowadzeniu badań i dochodzeniu do konkluzji. Wymagał pracowitości, a nawet poświęcenia się dla nauki. Nie tolerował bylejakości i powierzchowności. Wiedział, że nauka jest jedna i nie dzieli się na polską, rosyjską czy amerykańską. Dlatego zawsze starał się komunikować społeczność naukową na całym świecie wyniki swoich badań. Uważał, że tylko konfrontacja i dialog z nauką światową ma sens, że zamykanie się w granicach własnego środowiska, własnego języka czy kręgu kulturowego w gruncie rzeczy degraduje naukę.

Tego wszystkiego nas uczył, z różnym skutkiem, ale w zasadzie nieźle, skoro dzisiaj psychologia naukowa w Polsce dorównuje standardom międzynarodowym. Sam zaczynał w warunkach niedostatku wszystkiego, poczynając od specjalistycznej literatury, a skończywszy na nowoczesnym sprzęcie laboratoryjnym. Co więcej, zaczynał w atmosferze niechęci i ideologicznie motywowanej nieufności wobec rzetelnie uprawianych nauk społecznych, a psychologii w szczególności. O tym wszystkim można się dowiedzieć m.in. z wywiadów, których udzielał w ostatniej dekadzie swojego życia.

UCZYŁ NAS TEŻ PATRIOTYZMU, nie deklarowanego i na pokaz, ale tego, który polega na pracy dla ojczyzny. Mając etnicznie niemieckich przodków i rodzinę po tam-

tej stronie Łaby, łatwo mógł znaleźć bez porównania lepsze warunki życia i prowadzenia badań niż siermiężny PRL. Ale o ile wiadomo, nigdy tego nie brał pod uwagę, czując się Polakiem i podejmując trud rozwijania nauki w Polsce.

A trzeba powiedzieć, że jako bardzo młodego człowieka ojczyzna potraktowała go surowo. W wyniku zaangażowania w ruch harcerski był aresztowany przez UB, terroryzowany i zmuszony do zdawania egzaminu maturalnego w trybie eksternistycznym. Po maturze przyciągał go Katolicki Uniwersytet Lubelski, na którym studiował przez kilka lat, zanim pozwolono mu przenieść się na Uniwersytet Warszawski.

Wiedział, że rozwijanie nauki w Polsce wymaga udziału w życiu społecznym, zaangażowania w pracę administracyjną i pełnienia różnych funkcji. Tych funkcji administracyjnych było w jego życiu sporo. Współtworzył Wydział Psychologii UW i był jego pierwszym dziekanem. Był aktywnym członkiem i wiceprezsem Polskiej Akademii Umiejętności. Już po przejściu na emeryturę z UW zaangażował się w zarządzanie Szkołą Wyższą Psychologii Społecznej, przyczyniając się jako prorektor do przekształcenia tej uczelni w pierwszy w Polsce niepubliczny uniwersytet.

W chwili takiej jak ta najważniejszy jest jednak wymiar ludzki. Dlatego, wspominając dziś profesora Jana Strelaua, mamy przed oczami jego delikatny uśmiech, znamienny dobroć i życzliwość. ©

EDWARD NĘCKA jest profesorem psychologii, byłym wiceprezsem Polskiej Akademii Nauk. Pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Jestem sangwinikiem

W wywiadzie udzielonym Justynie Dąbrowskiej („TP” 13/2016)
PROF. STRELAU mówi:

■ **NIGDY** nie myślałem, że będę żył tak długo. Kiedyś mi się zdawało, że jak dożyję do sześćdziesiątki, to już będzie dobrze. Nie narzekam i nie

grymaszę, co często towarzyszy starości. Ale czuję się stary w tym sensie, że bardzo dużo czasu zajmuje mi dbanie o to, by utrzymać kondycję.

■ **JESTEM** z zasady optymistą. Czyli widzę szklanę do połowy pełną, a nie pustą, i to mi pomaga utrzymać kondycję psychiczną. Nie jest źle, dwa nowotwory – wątroby i skóry – jakoś przeżyłem. Zresztą strasznie wtedy wyglądałem, bo radioterapia zmieniła mi zupełnie twarz.

■ **CHODZĘ** szybciej niż inni w moim wieku, jestem tolerancyjny na zmiany. W żadnym wypadku nie jestem melancholikiem ani flegmatykiem. Może cholerykiem? Ale nie jestem wybuchowy, rzadko się zdarza, bym tracił kontrolę.

■ **POWINIENEM** żałować, że nie wierzę w Boga, ponieważ człowiek, który wierzy, ma pewne oczekiwanie, że coś się dobrego w następnym życiu wydarzy. Że coś będzie. A ja już tego

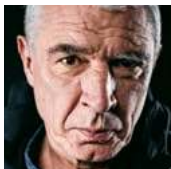
oczekiwania nie mam. Jeszcze miałem próbę, jak byliśmy rok przed śmiercią polskiego papieża w grupie kierownictwa PAN, z wybranymi członkami rodzin, na prywatnej audycji w Rzymie. Był już słaby i schorowany. Każdy z nas po kolei się z nim witał, i ja, witając się, ucałowałem pierścień papieski, ciągle myśląc, że a nuż coś na mnie spłynie.

Rozmowa
na powszech.net/strelau

ANDRZEJ

Stasiuk:

Kraina dzieciństwa (3)



CZY WCHODZIMY W DAWNE DNI W POSZUKIWANIU ocalenia? Poddajemy się ułudzie w lęku przed nieuniknionym? Nie wiem. W każdym razie powracam w tamte strony, ilekroć mam okazję. Czasami wydaje mi się, że to ja jestem duchem. Błąkam się nikomu niepotrzebny. Bez pożytku. Ludzie odwracają na chwilę wzrok, a potem powracają do swoich zajęć i zapominają. Zostawiam po sobie odrobinę zaciekania i pewnie trochę niepokoju. Jak każdy obcy.

Przez lata patrzyłem na ten niszczący dom. Powinno o niego zadbać, ale syciłem tylko swoją melancholię. Patrzyłem, jak dach zapada się niczym grzbiet chorego zwierzęcia, a deszcze i mrozy rozkruszają wystygłe kominy. Jak spod szalowania przeświecają belki i sypie się z nich szary pył, a w zbutwiałej ciemności owady znajdują schronienie. Tak. Nie zrobiłem nic. Ponieważ łatwiej być zjawą, niż zajmować się życiem. Łatwiej błąkać się pośród minionych dni, które zastygłe i znieruchomiałe już nigdy, przenigdy, nie zadadzą nam ran.

Tak sobie myślałem, stąpając po kruchej podłodze. Była tak zbutwiała, że już nawet nie skrzypiała. Sączył się spod niej wilgotny mrok. Szedłem w głąb martwego domu, w którym kiedyś byłem szczęśliwy. W letnie poranki w ukośnych promieniach słońca unosił się złoty kurz. Blask wpadał od podwórza. Tak samo jak te wszystkie dźwięki porannej krzątany. Turkot odwijającego się łańcucha przy studni, gdy wiadro opadało w zimny mrok, a potem skrzyp kołowrotu, gdy pełne wędrowało do góry. Porykiwanie pojonych krów. Jęklawy odgłos uchylanych wrót. Gdakanie i trzepot kur, gdy przeganiał je pies. Niski i ciężki dźwięk kutego metalu, gdy dziadek zakładał orczyk na hak wozu, a potem jego klekot, gdy wyruszał nim w pole, albo w jakichś sprawach do wsi. Dźwięki podstawowe. Znałem je wszystkie, zanim potrafiłem nazwać.

Wszedłem do pokoju, w którym umarła babka. Był mały i pozbawiony sprzętów. Mały jak pokój dla lalek.

Nie było łóżka, na którym umarła, a na którym sypiałem podczas wakacji. Gdy konała, spałem za ścianą w odświętnym, gościnnym pokoju, który otwierało się tylko na wyjątkowe okazje. Nie było pamiątkowego zdjęcia z wojska mojego ojca. Wisiało tam zawsze. Za szkłem, w ramach. Ojciec w mundurze z dystynkcjami bombardiera, bo służył w artylerii, a wokół niezdarnie wymalowane armaty, czołgi, skrzydła husarskie i chyba wieniec z liści laurowych albo dębowych. Wisiało od zawsze, a teraz go nie było. Ani nawet śladu na ścianie, która oblażała z tapet, stała się szarobura i prawie niewidzialna, bo powoli przestawała cokolwiek oddzielać i chronić. Jeśli idzie o skrzydła husarskie, to mogę się mylić, bo to był atrybut raczej wojsk pancernych, a nie artylerii. Zresztą mogę się mylić co do wielu rzeczy. Nie ma to znaczenia. Babka umarła latem za ścianą, która teraz staje się niewidzialna, a wtedy odgradzała od śmierci. Tak skutecznie, że wcale się nie bałem. To znaczy w ogóle nie bałem się śmierci. Byłem tylko smutny i zaciekawiony. Gdy wszedłem, zawołany przez ciotki, do pokoju wpadało takie samo ukośne światło i wirował złoty pył, jak wtedy, gdy w nim sypiałem. Na tym samym łóżku. Tylko na pewno było ciszej.

Było tak cicho jak teraz. Młode jesiony nie wpuszczały słonecznego blasku. Na zewnątrz panował upał, ale tutaj spod podłogi, z ziemi podnosiła się mroczna wilgoć. Pięć ostrożnych kroków na trzy. Taki był ten chłopski pokój. Wówczas wydawał się luksusem. Na co dzień sypiało się w kuchni naprzeciw pieca. Teraz ledwo mogłem się obrócić. Bałem się, że od moich kroków, od gestów, od samej obecności rozkruszy się, rozsypie i zapadnie. Bałem się, że go zniszczę, chociaż, tak mi się wydawało, przybyłem tutaj, by jakoś go jednak ocalić. Tak jak wiele razy wcześniej. Ale oglądałem tylko powolny, nieodwracalny upadek. Przyszło mi do głowy, że powinienem ułożyć się w nim do snu. Przynieść z auta śpiwór, karimatę i zrobić legowisko w miejscu, gdzie stało śmiertelne łóżko babki, w miejscu, gdzie budziłem się w letnie poranki, by doświadczać cudu istnienia świata. Uznałem to jednak za coś w rodzaju naiwnej, a może i ryzykownej nekromancji.

Zaczekałem do zmierzchu i rozbiłem namiot pod rozrastał jabłonią. Wypiłem pół butelki wina. Nasłuchiwałem odgłosów wsi. Były odległe i rzadkie, a wieczorne powietrze pochłaniało je bez śladu. Wczołgałem się do śpiwora. Zasnąłem od razu i nie miałem żadnych snów. W każdym razie żadnego nie zapamiętałem.

Ciąg dalszy nastąpi.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 33/2020

Włóczyki i Powsinoga





Uważność, cierpliwość, pokora

MAJA POPIELARSKA:

Ogród to złożony ekosystem, który ma znaczenie nie tylko przyrodnicze, ale też psychologiczne. Da się wypracować kompromis między potrzebą estetyczną a zostawieniem przyrodzie swobody do życia swoim rytmem.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Od ilu lat prowadzisz swój program?

MAJA POPIELARSKA: Kręcimy już siemdemnasty rok, mamy na koncie 760 odcinków.

Czyli odwiedziłaś sporo ogrodów.

Co się zmieniło w nich przez te lata?

Gdy zaczynaliśmy, ogrody były uboższe. Nie w sensie ekonomicznym, choć zapewne trochę też, ale przede wszystkim gatunkowo – wiele roślin było po prostu mniej dostępnych. Na pewno odmienna była też świadomość ludzi, którzy je zakładali i pielęgowali. Tamte ogrody miały świetną kompozycję, brakowało im jednak koloru, bo opierały się przede wszystkim na drzewach i krzewach zimozielonych, dominowała więc ciemna zieleń z niewielką domieszką odcieni cytrynowych i czerwieni – choćby śliw czy jabłoni ozdobnych. Swoją drogą te ostre zestawienia kolorystyczne są wciąż dość lubiane, podobno to nawet nasz wyróżnik.

A dziś?

Okno na świat otworzyło się także dla ogrodów. Pojawiły się nieskończone możliwości. Cena ziemi rośnie, więc posiadanie ogrodu jest coraz większym luksusem. Wciąż istnieje pogląd, że ogród po prostu wypada mieć – ma być wizytówką, wyznacznikiem statusu ekonomicznego i społecznego. Na szczęście zaczęła dominować inny trend, czyli szybko rosnąca świadomość, że ogród to złożony i cenny ekosystem, który ma znaczenie nie tylko przyrodnicze, ale też psychologiczne. Rośnie też poczucie odpowiedzialności za przyrodę. Dobrze pomyślany ogród może być – symboliczną, ale wciąż – rekompensatą za wielowiekową dewastację przyrody. I choć jest dziełem człowieka, da się wypracować kompro-

mis między potrzebą estetyczną a zostawieniem przyrodzie swobody, żeby żyła swoim rytmem.

A od strony technicznej – nawozy, szkodliwe środki chwastobójcze – czy tu też zmienia się świadomość?

Zależy od ogrodu. Obserwuję długie półki w sklepach z chemią i włos na głowie mi się jeży na myśl, co wlewamy w glebę... Coraz mniej ludzi to robi, ale gdy już ktoś się na to zdecyduje, to skala zjawiska jest porażająca. Na szczęście pojawia się coraz więcej ruchów promujących zdrowe ogrodnictwo – permakulturę, czyli traktowanie przyrody z szacunkiem. Bo trzeba powiedzieć, że ogrodnictwo jako takie nie jest zjawiskiem sprzyjającym naturze, zwłaszcza to współczesne: z rozbuchaną produkcją owoców i warzyw. Niemniej można rozwijać je w sposób rozsądny.

Czyli?

Dbać o jakość gleby: stosować naturalne nawozy, kompostować odpadki, ściółkować glebę, dostosowywać gatunki do warunków (oczywiście trochę inaczej jest z ogrodami warzywnymi), dbać o bioróżnorodność – modne teraz słowo, podobnie jak przedrostek „eko”, który może określać najróżniejsze, nie zawsze sensowne zjawiska. Najcenniejsze są ogrody, które choć w części same się tworzą i rozwijają. To uczy pokory, przywraca też pierwotny instynkt samozachowawczy, który w znacznym stopniu utraciliśmy. Nie przepadam za górnolotnymi słowami, bo z tej perspektywy nie widać wcale najważniejszych i najciekawszych zjawisk.

Ogrody, tarasy czy balkony – w czasach pandemii zyskały nowe życie.

Lockdown przypadł na wiosnę, więc mieliśmy więcej czasu i możliwości do obserwowania, jak wszystko budzi się do życia i zakwita. Nieco zmuszeni przez okoliczności, przetrarliśmy oczy ze zdumienia, bo okazało się, że doniczka z dopiero co wysianym „chabaziem” zamienia się w klejnot. To nie do przecenienia. A własny skrawek ziemi? To już cała szkatułka skarbów.

Tej wiosny wiele razy słyszałam, że ogródek uratował kogoś przed poważnymi problemami psychicznymi czy konfliktami rodzinnymi. Dzieci nie oszalały w zamknięciu (a rodzice wraz z nimi). Ogród zapewnił higienę codziennego dnia, poczucie bezpieczeństwa. Pozwolił odskoczyć, zapomnieć na chwilę o lękach.

Poczułem to na własnej skórze.

Ogródek to odrobina stabilizacji w niepewnych czasach, rodzaj kryjówki czy schronu. Ile drwin jeszcze kilka lat temu słyszało się o ogródekach miejskich. A teraz po te kilkadziesiąt metrów kwadratowych ROD-ów ustawiają się długie kolejki. Koc się położy, ptaki pośpiewają, dziecko poturła się po trawie... Wracamy do przeszłości.

Jak uda mi się wyhodować coś z nasionka, to cieszę się jak dziecko.

Satysfakcja jest ogromna, ale jednocześnie nie jest natychmiastowa, co ma niebagatelne znaczenie w dzisiejszym znerwicowanym świecie. Każda forma obcowania z zielenią uczy uważności i cierpliwości. Ocean pokory. Wielokrotnie słyszałam, że praca w ogrodzie pomogła w wychodzeniu z depresji. W ogrodzie można się też wyżyć, dać upust frustracjom, bo to w końcu ciężka, fizyczna praca. Można pobyć ze sobą, pomilczeć. Nie słyszałam nigdy, żeby ktoś był zmęczony widokiem



Ogród zaprojektowany przez Maję Popielarską

kwiatów albo spacerowaniem po lesie. Ogród to przyjaźń na zawsze.

Twój ogród też się zmieniał przez lata?

Oczywiście – zarówno on, jak i moje jego postrzeganie. Zrezygnowałam z trawnika na rzecz dzikiej murawy, gdzie ciągle coś kwitnie i trzeba uważać, żeby nie nadepnąć na pszczołę lub trzmieła. Rosną pokrzywy – na herbatę, ale też dla motyli. Pielę tylko te miejsca, gdzie chcę mieć rośliny ozdobne. Mam wiele zakamarków, do których zaglądam rzadko, bo ich święty spokój – i mój – jest cenny. Nie stosuję już chemii, od jakiegoś czasu mam swojego jeża. Ostatnio zaczęłam się zastanawiać, gdzie kryją się ropuchy. Wyczekuję z niecierpliwością, żeby się pojawiły, bo ich obecność to najlepszy komplement dla każdego ogrodu.

Co doradzasz, a co odradzasz innym?

Budzą moją wesołość prośby o ogród, który nie wymaga pracy. Podobnie jak ludzie wściekający się na opadające liście, którzy z tego powodu rezygnują z sadzenia drzew. A później lamentują na upały. Wkurza mnie, gdy ktoś zalewa ziemię chemią, bo tną komary, ale w sklepie ku-

puje śmietanę bio. Niektórzy patrzą na ogrody jak na obrazek z Instagrama. Jasne, można się inspirować gotowymi propozycjami, ale ślepe kopiowanie? Po co? Lepiej rozejrzeć się dookoła, zadrzeć głowę, pogrzebać w glebie – poznać miejsce.

Trzeba pamiętać, że zonglujemy tu życiem roślin i zwierząt. Nie wolno robić tego bez szacunku. Ogród to więcej niż dodatek do domu, to organizm, choć stworzony przez człowieka. Dlatego ciągle powtarzam – sadź drzewa, krzewy, kwitnące byliny, łap wodę, zapraszaj zwierzęta. Nie sprzątaj ogrodu jak gabinetu, sterylności mówię „nie”! W takim ogrodzie dzieci nie uczą się przyrody, bo na widok mrówki czy żuka uciekają z krzykiem.

No i straszna nuda...

Właśnie! Kolejne pomieszczenie, tyle że bez dachu. Rośliny podporządkowane musztrze człowieka. A gdzie ptaki, kopiec kreta (wiem, niespodzianka nie zawsze miła...), zapach, trochę błotka po deszczu? Gdzie te wszystkie rzeczy poruszające zmysły? Pustka, nic się nie dzieje.

Albo trawnik w środku głuszy.

Kolejna obsesja i niestety wciąż wyznacznik statusu społecznego. Do tego

żywoplot. Nie mam nic do grzebienia z żywotników, choć ewidentnie ktoś im przeprowadził bardzo udaną akcję PR-ową. A sam trawnik – to przecież najbardziej wymagająca uprawa ze wszystkich możliwych w ogrodzie. Kosztuje dużo pieniędzy i energii – trzeba nad nim pracować bez przerwy. A poza wszystkim w Polsce mamy do niego kiepskie gleby. O wylanych hektolitrach wody nie wspominając. Trawniki nie są potrzebne do szczęścia.

Gdy w czerwcu pisaliśmy o łąkach, był on wrogiem numer jeden dla wszystkich.

Zakładamy go, nie myśląc o konsekwencjach. Patrząc na ogród widzimy tylko to, co na powierzchni, a serce ogrodu to gleba. A tam? Proszę o rachunek sumienia: kto w ogóle pomyślał o tym, co jest istotą jej wartości: że powietrze, że woda, że miliony organizmów drobniotkich i całkiem sporych – i wcale nie chodzi wyłącznie o krety! Trzeba stworzyć odpowiednie warunki dla wszystkich mieszkańców.

Zdrowa gleba plus odpowiednie gatunki roślin – to najlepszy sposób na udany ogród.

A łąki kwietne? Od jakiegoś czasu bardzo je w „Tygodniku” wspieramy.

Są oczywiście przepiękne, choć stosunkowo krótko ozdobne. Wymagają też odpowiedniej pielęgnacji. Nie można zapominać, że to twór zupełnie sztuczny – te dywany kwiatowe mają niewiele wspólnego z łąkami, jakie znamy z naszego krajobrazu. Dlatego wolę nazywać je murawami kwiatowymi. Mieszanki można zrobić samemu – zbierając nasiona, tworząc autorską kompozycję. Lub kupić gotowe nasiona jednoroczne. Choć widziałam niedawno łąkę, która mnie oczarowała, a składały się na nią byliny dwuletnie, cebulowe, m.in. floksy wiechowate, liliowce, lilie, rudbekie, ostróżeczka polna.

Powstaje oczywiście pytanie o stosowanie tych muraw w miastach. I tu mam dylemat. Są piękne i wartościowe – karmią owady, choć wbrew pozorom wymagają sporo pracy. Na pewno jednak wprowadziły do naszego życia trochę

⇒ zamieszania i zainicjowały poważną dyskusję i zmianę myślenia. A to krok w dobrą stronę, bo wierzę w pracę u podstaw i system drobnych zmian. Postawiłabym jednak w pierwszej kolejności na krzewy – bo to wyjątkowo plastyczna grupa roślin o bardzo szerokim zastosowaniu, a na murawy kwietne w drugiej kolejności.

Wysiałem 30 metrów łąki kwietnej u rodziców na działce i jestem zachwycony.

No i świetnie! Pamiętaj tylko, że będziesz musiał ją w odpowiednim momencie skosić, a potem częściowo wysiać na nowo, bo inaczej zaczną w niej dominować trawy, a nie kwiaty. Jeszcze raz podkreślę – siejemy wszystko, na co mamy ochotę i co sprawia nam radość, a łąka

kwietna to wspaniały etap na naszej drodze do odbudowania zbiorowej przyrodniczej mądrości. Nie zapominajmy jednak, że mamy w Polsce dużo poważniejszy problem, który wymaga olbrzymich działań strukturalnych. Mówię oczywiście o wodzie – o fatalnych metodach jej pozyskiwania i przetrzymywania. Efektem tego jest np. zanikanie łąk typowych dla naszego krajobrazu – wilgotnych i świeżych. Gdzieniedzie jeszcze się zachowały. Byłam wczoraj na spacerze pod Zakopanem, spotkałam jedną z nich – cudo!

W wydanym właśnie eseju „O czasie i wodzie” Andri Magnason przekonuje, że rozpaczliwie potrzebujemy nowego języka do opisu naszego świata i miejsca człowieka w nim. W XIX wieku islandzcy poeci wy-

chwalali piękno tamtejszego krajobrazu, co znacząco wpłynęło na powszechną świadomość przyrodniczą. Teraz tego brakuje.

Tak samo było z młodopolskimi poetami, którzy nauczyli nas patrzeć na skaliste góry. Wcześniej mieliśmy Mickiewicza, Orzeszkową. W dwudziestolecie też można znaleźć sporo piewców przyrody, tylko odbiorca się zmienił. Wojna i czas powojenny wyjałowiły człowieka, ograbiły z wrażliwości. Wszędzie szarość i bieda, a dookoła zniszczenia – w tym gruzi pięknych dworów z ich ogrodami. A ogrodnik? Synonim „burzujstwa”, niemalże wróg ludu.

Potem przysłała galopująca cywilizacja. Zachwycaliśmy się lotami w kosmos, ale zapomnieliśmy, jak rośnie marchewka – doszło do wielu absurdów. Na szczęście



Polewka z liści lipy i polskiej fasoli z orzełkiem

Kuchnia łązna

„ŁĘŻNE” TO STAROPOLSKIE OKREŚLENIE na rośliny z lasu łąkowego i przyległych łąk, najczęściej wilgotnych. Z takich miejsc pochodzi wiele nieuprawnych roślin jadalnych, które dla naszych przodków pełniły funkcję warzyw i jarzyn. Zbierano je przez cały rok, nie tylko w okresie głodu, wojen lub nieurodzaju. Zanim import żywności i masowy handel spożywczy przybrał obecne rozmiary, Polacy żywili się tym, co rośło wokół. Prawdziwy slow food – żywność powolna, bezpłatna, lokalna, czysta, wolna od chemikaliów i wysoce etyczna.

Pomysły na łąkowe dania

POLEWKA Z LIŚCI LIPY I POLSKIEJ FASOLI Z ORZEŁKIEM

Lipa to drzewo pojednania – od wieków rozsądzano pod nimi lokalne spory. Jedną z nich rośnie przed wejściem do Wieży Książęcej w Siedlęcinie. Czy fundator drzewa Henryk I Jaworski jadał jej liście? Być może, bo to bardzo stara praktyka, jeszcze z neolitu, podobnie jak spożywanie liści innych naszych rodzimych drzew: brzozy, olchy, buków czy klonów. Jednak na pewno nie było wtedy fasoli, która pojawiła się w Europie dopiero w XVI wieku. Polska fasola z orzełkiem jest jeszcze młodszą. W XIX wieku w jej czerwonej kropce polscy chłopci dostrzegli kształt polskiego godła, więc uprawiali ją również z powodów patriotycznych (mimo zakazu caratu). Moczoną przez dobę i gotowaną powoli przez

6 godzin fasolę dodajemy do bulionu z selera, kapusty i cebuli. Na koniec dorzucamy szczytowe liście lipy drobno listnej wraz z chrupiącymi, zielonymi szypułkami. Śluz, który wytwarzają lipowe liście, jest naturalny i pomaga w trawieniu. Liści nie trzeba długo gotować. Można je jeść nawet na surowo, np. w sałatkach. Warto je tylko sparzyć, aby nie drały bardziej wrażliwych gardła.



Gąszcz z dziewięciu ziół z dziewięciu miedz

GĄSZCZ Z DZIEWIĘCIU ZIOŁ Z DZIEWIĘCIU MIEDZ

Gąszcz to dawna nazwa przecieru lub uciery – gęstego sosu, odpowiednika włoskiego pesto. To potrawa z zamierzonych czasów i nie znajdziemy na nią

przepisów, a jedynie poszlaki w słowiańskich i germańskich źródłach etnograficznych. Jej wariantem jest zupa szczawiowa z jajem, gdyż szczaw był właśnie jednym z owych dziewięciu ziół (chwastów), które należało zebrać z dziewięciu miedz – oddzielających pola pasów o magicznej mocy. Wierzono, że zjedzenie roślin z miejsc granicznych daje szczególną moc: zapewniało dostatek, szczęśliwość, zgodę, zdrowie i dobre plony. Wiosną były to liście, bo zielony kolor symbolizował nowe życie, podobnie jak dodawane do potrawy jaja. Po zebraniu liści siekamy je i gotujemy do miękkości wraz z czosnkiem, solą, odrobiną wody i tłuszczu. Następnie ucierymy ugotowane liście na gładki gąszcz, dodając odrobinę pieprzu i miodu oraz ewentualnie trochę wody, jeśli chcemy uzyskać konsystencję zupy, a nie pasty. Podajemy do grzanek, z jajem albo bez.

© ANNA MARIA RUMIŃSKA

od lat obserwujemy odwrócenie tej logiki. Paradoksalnie pomaga nam w tym pandemia, która pokrzyżowała plany wakacyjne – zamiast lecieć gdzieś daleko, jeździmy po najbliższej okolicy, odkrywając piękno, które cały czas było pod nosem. Bo Polska jest piękna – a byłaby jeszcze piękniejsza, gdybyśmy mądrzej nią gospodarowali.

Zmiany systemowe to jedno – trzeba będzie pewnie jeszcze na nie poczekać. Ale może coś da się zrobić od razu?

Każdy we własnym sumieniu powinien sobie odpowiedzieć na to pytanie. Weźmy pierwszy z brzegu przykład – awokado, które uwielbiam, a jest teraz obiektem powszechnej krytyki: bo ślad węglowy, bo szkodliwe uprawy. Z drugiej strony duży wybór, cena przystępna – czy moja obojętność coś zmieni? Kupi ktoś inny albo zostanie wyrzucone. Pogodziłabym się, gdyby zniknęło ze sprzedaży, ale ta decyzja musiałaby zapaść daleko ode mnie.

Luksus w wyborze produktów, mody sezonowe, zabójcza dla świata pogoda – to nieestetyczne fakty. Z jednostkowej perspektywy nie da się zbawić świata, pytanie, czy ci u władzy chcą tych zmian. Jestem pewna, że nie. Możemy więc żyć skromniej, uprawiać mądre ogrody, bo to ma wymierny wpływ na nasze życie – na dzieci, które dzięki temu zyskują zupełnie inną świadomość, a to z pewnością zaowocuje



KAMIL PIKLIKIEWICZ / EAST NEWS

MAJA POPIELARSKA (ur. 1973) jest architektką krajobrazu, dziennikarką i prezenterką telewizyjną. Od 2004 r. prowadzi program „Maja w ogrodzie” (obecnie pod nazwą „Nowa Maja w ogrodzie”), w którym doradza w kwestii pielęgnacji i hodowli roślin, a także projektowania ogrodów.

w przyszłości. Ostatnio spacerowałam ulicami z moim małym synem zaraz po deszczu. Mówiłam: „Zobacz, ile wody stoi na asfalcie, a ile wchłonęła ziemia, ile drzewa”. Takie lekcje są potrzebne. To niezbędny krok, żeby budować odpowiedzialne społeczeństwo.

Kropla draży beton ignorancji?

Nie ma innego sposobu. Ale ta kropla znów nie jest aż taka mała. Zmiany pozor-

nie błahe – zerwanie kawałka asfaltu czy niepotrzebnej kostki brukowej w mieście i posadzenie na tym miejscu czegoś zielonego i ładnego ma wpływ na życie wielu osób. Zmienia się wygląd okolicy, ale i stosunek mieszkańców. Od kilku lat w Holandii rozwija się akcja „Oddaj cegłę za roślinę” – ludzie bardzo chętnie rezygnują z betonowej pustyni, bo chcą mieć wpływ na otoczenie, w którym mieszkają. Trzeba im tylko dać możliwości. Takie inicjatywy pojawiają się oddolnie, ale stopniowo pną się w górę. Coraz więcej urzędników i innych specjalistów, mających realny wpływ na kształt naszej rzeczywistości, zaczyna myśleć w nowych kategoriach.

Pięknie, gdyby tak było, ale politykę miejską zazwyczaj wciąż kształtują interesy deweloperów, a nie mieszkańców.

Nawet to się zmienia. Dowiedzono już, że dobrze zaprojektowana zieleń wokół inwestycji deweloperskich potrafi podbić ich wartość nawet o 20 procent. Skoro ta droga przynosi efekty, to może warto nią pójść? Przekonajmy innych, że myślenie w kategoriach przyrodniczych – dbanie o krajobraz – może mieć też wymierne efekty ekonomiczne. Bo czy ktoś naprawdę woli mieszkać przy ulicy, gdzie nie ma ogrodów i wycięto wszystkie drzewa? O ile przyjemniej żyje się w ładnej, zrównoważonej przestrzeni, z bzykami, pszczołami, ptakami. Beton czy ogród? Wybór wydaje się prosty.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

SIELSKIE ROWEROWANIE

Wyprawy rowerowe z noclegami w pałacach i innych wyjątkowych miejscach Wielkopolski.

We własnym rytmie, bez peletonu, z wyznaczoną trasą.

Tylko z bidonem. Bagaż my wozimy.



WWW.BAJKS.PL FB BAJKS-WYPRAWY ROWEROWE



Łąka Powszechna w Lubartowie,
wysiała Monika Bordoż



Łąka Powszechna w Brodnicy,
wysiał Bogumił Drogorób



Łąka Powszechna w Sosnowcu,
wysiała Joanna Płata-Malik



Łąka Powszechna w Krakowie,
wysiała Agnieszka Forysta



Ignacy wysiewający Łąkę Powszechną z dziadkiem w Chomętowie

FOT. MARTA FILIPIUK-MICHNIEWICZ

Chwalmy łąki

PARTYZANTKA OGRODNICZA

W KRAKOWIE, ogródki działkowe im. J. Chociszewskiego w Poznaniu, łąka ekumeniczna w Lublinie, niegdyś trawnik w warmińskiej Stawigudzie. A także skwerki, balkony, ugory, działki, parapety, doniczki i donice w podlaskim Sokolu, Toruniu, Wieliczce, Gdańsku, Sulejówku, Gdyni, zachodniopomorskim Chomętowie, Lublinie, Białymstoku, Grudziądzu, Bolesławcu, Rzeszowie, Piasecznie, Elku, Zimnie, Lubartowie, Częstochowie, Krośnie, Łomiankach, Nowym Sączu, Kocmyrzowie, Luborzycy oraz Warszawie – tam rosną Wasze Łąki Powszechne.

A na nich do wyboru, do koloru – mak, kąkol, koper, rumianek, milek, len, czarnuszka i wyka. Dziękujemy Czytelniczkom i Czytelnikom za ogromne zaangażowanie i wszystkie zdjęcia wysianych łąk, za wspólną troskę o każde ziarenko. Dziękujemy także wszystkim partnerom tego projektu, zwłaszcza Fundacji Łąka, za wspólną współpracę, której efekty oglądamy w całym kraju. Nasza Łąka Powszechna już kwitnie!

Galerię wszystkich zdjęć Łąki Powszechnej nadesłanych do Redakcji znajdują Państwo na powszech.net/chwalcielaki



Mniej czasu, mniej wody

MICHAŁ SOWIŃSKI

**Potrzebujemy opowieści oczyszczających wyobraźnię ze smogu.
Porównań poprawiających retencję naszej świadomości.**

W czasach wojen kulturowych największym wyzwaniem dla ludzkości staje się nie tyle diagnozowanie zagrożeń (a nawet nie tyle wymyślanie dla nich remediów), co przekonanie ludzi do słuszności diagnoz. Gwałtowny wzrost zachorowań na COVID-19, jaki obserwujemy w tej chwili w Polsce, bywa tłumaczony w mediach tym, że ludzie „przestali wierzyć w zagrożenie”. Z kolei wysoka dyscyplina z marca i kwietnia miała wynikać z tego, że byliśmy masowo bombardowani dramatycznymi obrazami z Włoch czy Hiszpanii.

Okazuje się więc, że nawet coś tak realnego, jak zagrożenie chorobą potencjalnie śmiertelną, nie jest dziś rozpatrywane w przestrzeni nauki, ale wyłącznie afektów, subiektywnego odczucia i wiary. Tak jakby resztki rzeczywistości stopniały, a nam pozostało jedynie życie w społeczno-naracyjnych bańkach. Cóż poradzić – trzeba się dostosować.

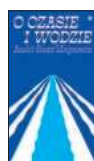
Ten sam bowiem mechanizm, ale na jeszcze większą skalę, działa w przypadku katastrofy klimatycznej. Islandczyk Andri Snær Magnason w eseju „O czasie i wodzie” stawia smutną i jednocześnie przerażającą tezę: nauka nie potrafi nam już za wiele pomóc – co było do dowiedzenia i udowodnienia, zostało już dowiedzione i udowodnione. Brak miejsca na spekulacje – wiemy, co nas czeka, tak samo jak wiemy, co należy zrobić, aby choć trochę załagodzić efekty nadciągają-

cej katastrofy ekologicznej. Tylko co z tego, skoro ta wiedza orbituje ledwie na obrzeżach naszej zbiorowej świadomości?

Nauka ma w rękę wszystkie fakty, brakuje jej jednak języka komunikacji. Tu pojawia się dla wszystkich, którzy na co dzień parają się pracą w języku – dziennikarzy, pisarzy, eseistów, a nawet poetów. W XIX wieku islandzcy artyści mieli odwagę i rozmach w tworzeniu peanów na cześć pięknej i surowej przyrody swojej wulkanicznej wyspy. W ten sposób wsączyli do świadomości pobratymców wrażliwość i szacunek dla przyrody.

To oczywiście analogia odległa od tego, z czym zmagamy się dziś, niemniej istota problemu pozostaje podobna – potrzebujemy nowego języka dla opisu świata, który pędzi ku zagładzie, najwyraźniej nie do końca zdając sobie z tego sprawę. Potrzebujemy opowieści oczyszczających wyobraźnię ze smogu, metafor, które zbudują tamę dla wzbierających oceanów, porównań poprawiających retencję naszej świadomości. A wiecie, co jeszcze poprawia ogólną retencję? Łąki.

© P



Andri Snær Magnason

O CZASIE I WODZIE

przeł. Jacek Godek

Karakter, Kraków 2020

REKLAMA

WSCHÓD
KULTURY

inn: Inne Brzmienia

Wschód Kultury

Inne Brzmienia

3-6 września 2020

Lublin, Błonia

innebrzmienia.eu

Zagrają między innymi:

Nubiyen Twist (GBR)

Barbara Morgenstern (DEU)

Trupa Trupa (POL)

EABS (POL)

Daniel Spaleniak (POL)

MU (POL)

Javva (POL)

Dengue Dengue Dengue (PER)

shishi (LTU)

1984 (POL)



Sptyw kajakowy Narwią

Moda na Mazowsze

Kiedy dalekie podróże są coraz trudniejsze, warto poszukać miejsc bliższych i bezpieczniejszych. Na przykład na Mazowszu, gdzie czeka na nas wiele nieoczywistych zachwyków.

Narew, nazywana polską Amazonką, to jedna z najpiękniejszych i najdłuższych rzek naszego kontynentu. Swoją drogę zaczyna na białoruskich bagnach, ale najciekawszy odcinek przebiega właśnie przez Mazowsze. Zachwyca płataniną nurtów, licznymi odnogami oraz jeziorami powstałymi w starorzeczach.

Płynie przez niezwykle cenne przyrodniczo tereny, zahaczając także o wiele miejsc historycznych – choćby **Pułtusk**, gdzie znajduje się najdłuższy brukowany rynek w Europie, Dom Polonii w historycznym zamku biskupów płockich czy kolegiata Zwiastowania NMP ze wspaniałym renesansowym sklepieniem. Na koniec wpada do niesamowitego Jeziora Zegrzyńskiego, gdzie łączy się z Bugiem. Jej pięknem można zachwycić się z brzegu, choć dużo lepiej robić to dzierżąc w ręce wiosło. Narew to idealne miejsce dla kajakarzy, zwłaszcza początkujących, a także dla rodzin z dziećmi. Nurt jest spokojny, a duży wybór tras sprawia, że każdy znajdzie coś dla siebie.

W średniowieczu **Czersk** stanowił obok Płocka najważniejszy punkt na mapie Mazowsza. Podczas wojen krzyżackich stał się kluczowym ośrodkiem militarnym, dlatego prawa miejskie uzyskał już w XIV wieku. Wtedy też w miejscu dawnego grodu powstał gotycki zamek wzniesiony przez księcia Janusza I Starszego – budowa zakończyła się nieprzypadkowo w roku 1410.

Kiedy zmienił się bieg Wisły, a książę Janusz przeniósł swoją siedzibę do Warszawy, Czersk zaczął

tracić na znaczeniu. Dziś historyczna stolica książąt mazowieckich przypomina o swojej dawnej chwale, a to za sprawą turniejów rycerskich, rekonstrukcji i pikników historycznych. W tym roku w ramach cyklu Historia Viva! do końca września w każdy weekend odbywają się tam imprezy, które przybliżają realia życia w średniowiecznym mieście.

Jeżeli chcemy cofnąć się w czasie o sto lat, warto wybrać się do **Zagrody Kurpiowskiej w Kadzidle** – niezwyklego skansenu, który szczegółowo rekonstruuje dawne życie na kurpiowskiej wsi. Na miejscu podziwiamy oryginalną architekturę – pełną charakterystycznych szalowań, śparogów (ozdobnych zwieńczeń ścian szczytowych) i fantazyjnych zdobień. Możemy też wziąć udział w warsztatach edukacyjnych „Ginące zawody” i podszkolić się w niełatwej sztuce haftu czy garncarstwa. To świetna lekcja historii i przypomnienie ginących tradycji regionu. Dodatkową zachętą mogą być wspaniałe przygody kulinarne – np. ognisko, podczas którego piecze się łagodniaka – tradycyjny kurpiowski placek. Warto też spróbować chleba świeżo pieczonego na liściu chrzanu.

Sobotnie wycieczki po **Winnicy Dwórzno** stały się już tradycją największej na Mazowszu i jednej z największych w Polsce winnicy, której trunki od kilku sezonów zdobywają medale na wielu konkursach winiarskich. Zwiedzanie (także w wersji *online*), połączone często z warsztatami, rozpoczyna się zawsze o 12.00.



Muzeum Wsi Radomskiej

Dwórzno leży niespełna 40 km od Warszawy na Wysoczyźnie Mazowieckiej (czyli najwyższym miejscu w całym regionie). Plantacja położona jest na wzniesieniu nad jeziorem, granicząc z nim od południa, co oznacza cenną dla winorośli południową ekspozycję. Niezwykle ekologicznie miejsce, piękna okolica z pagórkowatą rzeźbą terenu, poprzecinana licznymi rzekami, to warunki znakomite nie tylko dla upraw winorośli, ale także dla turystów spragnionych ciekawych widoków, świeżego powietrza oraz ciszy i spokoju.

Moda na **przedwojenny modernizm** w architekturze wciąż trwa – a warszawskie budynki z lat 30. XX w. wciąż

kryją wiele tajemnic. Na przykład niewiele osób wie, że niektóre ze stołecznych kamienic dysponowały podówczas podziemnymi garażami. Własne auto było luksusem, zarówno ze względu na cenę, jak i koszty utrzymania. A jeszcze większym – miejsce parkingowe w podziemnym garażu własnej kamienicy.

Takie udogodnienia powstawały przed wojną dzięki zastosowaniu nowoczesnych konstrukcji żelbetonowych. Kilka takich miejsc zachowało się na Starym Mokotowie – choćby przy Opoczyńskiej 15, gdzie pierwotnie znajdowało się osiem miejsc postojowych. Właściciele aut mogli sobie pozwolić również na szofera, architekt zaprojektował więc dla kierowców specjalne pomieszczenie socjalne.

Skanseny kojarzą się z nudą i kurzem, jednak **Muzeum Wsi Radomskiej** udowadnia, że może być zupełnie inaczej. Tutaj życie toczy się swoim rytmem: uprawia się zboże i ziemniaki, hodzi chlebowy zakwas i lepi garnki. Święto Chleba i Festiwal Ziemniaka wpisują się w żywe kultywowanie folkloru i wiejskich tradycji, z ostrym przytupem w trakcie tańców na dechach.

Podczas spaceru po skansenie można obejrzeć 80 przykładów dawnego budownictwa wiejskiego, a wkrótce będzie ich więcej, bo 22 kolejne obiekty czekają na montaż. Całość kolekcji dopełnia ponad 16 tys. eksponatów ruchomych, m.in. kolekcje pojazdów, maszyn rolniczych, uli i narzędzi pszczelarskich, tkanin oraz sztuki ludowej. ©

REKLAMA



DETOKS

MIKOŁAJ TRZASKA, MUZYK:

Kimkolwiek jesteś,
masz wiedzieć, kim jesteś.
Kto był twoim przodkiem,
jak naprawdę miała na imię
ciotka, a nie tylko,
że była jakaś Guga.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jaki to dla Ciebie rok?

MIKOŁAJ TRZASKA: Z dwoma punktami zwrotnymi, więc ważny. We wrześniu 2019 r. odszedł mój kochany tato, Andrzej Trzaska. Miał na mnie silny wpływ, pewnie i przez to, że darliśmy koty. Ale pod koniec jego życia nasz związek stał się o wiele silniejszy.

Przez rozmowy?

Mężczyźni, by dobrze się rozumieć, nie muszą prowadzić głębokich, psychologicznych rozmów. Gdy jadą samochodem – jeden kieruje, drugi mu towarzyszy – zazwyczaj milczą i to wystarczy, by mieć treściwą relację. Tak było ze mną i ojcem: wreszcie usiedliśmy obok siebie. I któryś z nas prowadził...

Który?

Tym razem ja.

Jakim człowiekiem był Andrzej Trzaska?

Charyzmatycznym. Ojciec był malarzem, ceramikiem, rysownikiem; nie bywałem erudyta, tej cechy akurat nie odziedziczyłem. Natomiast odziedziczyłem, być może w dwójnasób, imperatyw twórczy. Ojciec mawiał: „Jak człowiek tworzy, to żyje”. I dla niego to był warunek





MIKOŁAJ TRZASKA (ur. 1966 r.) jest saksofonistą, klarnecistą basowym, kompozytorem muzyki do filmów Wojciecha Smarzowskiego. Wraz z m.in. Tymonem Tymańskim i Leszkiem Możdżerem tworzył zespół Mitość. Akompaniował pisarzom – Marcinowi Świetlickiemu i Jurijowi Andruchowyczowi, tworzy projekty muzyczno-literackie z Andrzejem Stasiukiem. Lider kwartetu klarnetowego Ircha, międzynarodowych triów Volume, Riverloam i Shofar oraz kwartetu Inner Ear.

➔ Rozmowa Katarzyny Kubisiowskiej z Mikołajem Trzaską dostępna także w Podkaście Powszechnym: powszech.net/podcast

sine qua non, by istnieć. Jak przestał tworzyć, uznał, że przyszedł na niego czas.

Kiedy przestał tworzyć?

Kiedy odeszła mama. A wydawało mi się, że życie rodziców jest oddzielne. Że ojciec był *macho*, który w niezależności upatrywał wartość nadrzędną. Więcej, szczycił się nią. A okazało się, że bez mojej mamy nie potrafi istnieć. I wewnątrz, sam przed sobą, przyznał się do symbiotycznej cechy, której wyrzekał się całe życie.

W momencie, gdy przestał tworzyć, stało się coś jeszcze: odpuścił rywalizację ze mną. Bo kiedy malował, rysował i robił ceramikę, wtedy konkurował ze swoim synem. Naprawdę nie wiem, do czego mu to było potrzebne. Ale w momencie, kiedy zorientował się, że nie musi tego robić, przyznał się do pięknej słabości człowieka, który potrafi istnieć w relacji. I wtedy stał mi się bliski.

Jak bliski?

Dostałem od niego pigułkę wzmacniającą z siłą, ze wszystkim, co było w nim najlepsze. Poczułem, że połknąłem coś, co ze mnie nie wyjdzie. Ojciec zostawia po sobie spadek, który niekoniecznie ma postać domu, morgów, sztabek złota. I kiedy odchodzi, to automatycznie podłącza cię do przekazu: teraz ty jesteś najstarszym Trzaską w męskiej linii rodziny.

Podłącza do odpowiedzialności?

Tym bardziej, że przez całe życie dziedziczyłem po rodzicach mnóstwo lęków. I tata, i mama byli z pokolenia, które dobrze pamiętało okupację. A to kiereszuje potomstwo.

I?

I potomstwo musi sobie radzić.



→ Jak?

Ja już beknałem za to terapiami – osiem lat analitycznej, dwa lata behawioralnej. Trzeba żyć dalej, nie rozdrapywać ran.

Coś się jeszcze zmieniło po śmierci ojca?

Popatrzyłem na świat z innej pozycji. Nie chcę z siebie robić mędrca, przeciwnie: mam poczucie, że sam straciłem się z piedestału. Dzięki temu mogę być normalnym człowiekiem.

Co to znaczy?

Nie muszę być kimś, kto ma cel, który jest przeznaczony tylko i wyłącznie do osiągnięcia. Moje życie do pięćdziesiątki – przekroczyłem ją cztery lata temu – było stratą, którą musiałem ponieść w sposób naturalny. Mówię o stracie biorącej się z pogoni, i to nawet nie za czymś konkretnym, tylko za myślą: co w życiu jest do osiągnięcia. To strata dla człowieka, który zajmuje się sztuką i, siłą rzeczy, pozycjonowaniem w rzeczywistości artystycznej. Rodzaj porażki nie do uniknięcia. I jeżeli chcemy pójść w życiu dalej, musimy się z tym skonfrontować.

I Ty się skonfrontowałeś?

Tak. Ale teraz jestem uwolniony. Śmierć ojca wyraźnie mi uzmysłowiła, że i ja odejdę. Zacząłem świadomy proces mojego odchodzenia.

Dotąd byłeś człowiekiem szalenie zajęтым – i płyty, i muzyka filmowa, i koncerty.

Pomogła mi pandemia. To ten drugi punkt zwrotny. Najpierw śmierć ojca, a potem przymusowy „detoks”, ze wszelkimi jego symptomami.

Jakimi?

Poczekaj moment, najpierw odpowiem na inne pytanie, które kiedyś ktoś mi postawił: jak udaje mi się łączyć życie codzienne ze światem muzyki? Jak sobie radzę z tym, że trzeba odwiedzić dzieci do szkoły, coś załatwić w urzędzie, zapłacić rachunki, jeszcze zakupy, a jeszcze to i tamto, a teraz skoncentruj się i komponuj.

Po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że muzyka jest osobnym światem: przypomina rozwiniętą na ścianie mapę, w którą można wskoczyć jak Alicja na drugą stronę lustra. Ja właśnie w tym osobnym świecie egzystuję. Tu są bogate

emocje, często bogatsze niż w świecie rzeczywistym.

Jak to bogatsze?

Jest pełnia uczuć – gorących i silnych. Jest prawdziwa miłość, jest prawdziwa strata, jest prawdziwa tęsknota. Tyle że one są tylko zamknięte w moim świecie. Emocje są, ale nie ma partnera.

To może być pułapka.

Straszliwa! Artyści potrafią być górnolotni i poruszająco opisywać uczucia. Są w tym brawurowi i uwodzicielscy. Natomiast życiowo, w relacjach z ludźmi, ponoszą porażkę. Nie istnieje biografia artysty, szczególnie genialnego, który nie miałby z tym kłopotu. To znana kulturowa klisza. I, oczywiście, artyści są wrażliwi, ale najczęściej na swoim punkcie.

A Ty?

(Śmiech)

Nooo?

Ja też... I właśnie pandemia odcięła od tego, bo oczywiście koncerty zaspokajają na jakiś czas tę drżączkę – potrzebę upewnienia się, że siedziałeś tyle sam w domu, ćwiczyłeś czy też napisałeś muzykę, a potem to wydałeś i... nic.

Nic?

W sensie: miałem poczucie, że pracuję cały czas, ale nie jestem w stanie się tym podzielić. A spotkanie z człowiekiem przez internet jest kulawe, daje pięć procent relacji, którą możemy mieć w realu. Namiastka, ślad, ułamek: tylko wydaje się, że kogoś słyszysz i czujesz, więcej trzeba się domyślać. Nie ma spotkania oczu, łez, potu, energii, siły i gorąca. I nie widzę w podczerwieni. Jako zwierzę mam naturalnie wmontowaną kamerę podczerwieni. Z publicznością na sali mam organiczny kontakt.

To ciekawe.

A kiedy przestałem występować na scenie, zaczął się proces odstawieniowy, właśnie ten detoks. Teraz odpowiadam na twoje wcześniejsze pytanie. Detoks był dla mnie o tyle silny, że od początku czułem ból w sercu i stawach, jakbym miał się zaraz rozchorować. Plus inne rzeczy: nie ma się już z kim napić po koncercie. W ogóle nie ma się z kim napić. Pić w domu, z rodziną, z żoną, z dziećmi? Trochę głupio. Na detoksie świat mikro stał

się światem makro, zaczął inaczej pachnieć i smakować. Lepiej, pełniej, intensywniej.

Czyli to zatrzymanie świata było potrzebne?

Pierwsza moja myśl, gdy ogłoszono pandemię: straciłem pracę. Poczuję się jak górnik za czasów Thatcher, zamknęli moją kopalnię. „Kim ja będę?” – myślałem. I powoli zacząłem być – w cudowny sposób – nikim.

Cudowny?

Bo ja przecież zawsze jestem kimś: Trzaska kompozytor, Trzaska saksofonista, Trzaska rewolucjonista, Trzaska punkt zwrotny. A w pandemii nie było nikogo, kto byłby Trzaskę podziwiał, i nikogo, kto by na Trzaskę pluł.

Trzaska zorientował się, że została mu w dłoni wymięta torba z Biedronki, stoi z nią na skrzyżowaniu i czeka, by ktoś go wziął na stopa. Tu chodzi o ludzką potrzebę identyfikacji – czegoś, co cały czas stwarza ci warunki, byś te punkty zwrotne mógł zauważać. Byś mógł czasami wskoczyć do rozpędzonego auta, albo gwałtownie skręcić w prawo, albo wylecieć z zakrętu – to też się przydaje, parę razy to zaliczyłem, choćby wyrzucenie z zespołu Miłość. Ale też w pewnym momencie trzeba dodać gazu i nie hamować.

Teraz hamujesz.

Wiesz, co mnie niepokoi najbardziej? Relatywizm świata. Że dla dużej grupy ludzi pandemia jest katastrofą: spowodowała, że bankrutują i nie mają za co żyć. A przede wszystkim myślę o tych, którzy z powodu koronawirusa odchodzą zbyt wcześnie i w cierpieniu.

A ja cały czas komponuję, mam mnóstwo pracy, zmieniło się to, że nie koncertuję. Czuję się jak artysta, który skaleczył się w palec, trzyma go w górze i jęczy: „Ała, ała, cierpię, widzicie?”.

Nie będę więcej narzekał, cokolwiek będzie się działo – to moje postanowienie. Lubię bardzo zdanie z „Wojny polsko-ruskiej” Masłowskiej: „mogło być inaczej, a jest inaczej”.

No tak, a mogłoby być inaczej.

W połowie lat 80. studiowałeś malarstwo na ASP, gdy Twój tata namówił Cię na kupno saksofonu i pośrednio wyrzucił Twoje życie do góry nogami.

Broniłem się przed tym, mówiłem: „Daj spokój, po co mi saksofon?”

Piękna sprawa: intuicja ojca.

No piękna! Tym piękniejsza, że przez następne 30 lat ojciec bardzo żałował, że to zrobił. Szybko przeraził się, że to, do czego mnie namówił, stało się ciążem. To właśnie było nasze darcie kotów – wieczny spór. Ojciec powtarzał, że mi się nie uda. Słyszałem: „Talentu nie masz przecież, powiedzmy sobie szczerze, słoń ci na ucho nałapał. Nikt w rodzinie Trzasków nie ma słuchu. Po co ci to? Malarzem jesteś, dostałeś się na te studia! I co, grał będziesz, do tego na saksofonie? Grał będziesz w burdelach, na kurwy?”. A ja na to: „A ty będziesz malował obrazki i woził do Niemiec, bo tam się kupuje za marki?”. Po jego śmierci pomyślałem, że to jego mówienie było jedną z lepszych mobilizujących technik, z którymi się spotkałem.

Chyba żartujesz!

To było niebywale wspierające. Choć długo miałem wrażenie, że ojciec usiłuje mnie dyskredytować. A on w ten sposób syna sprawdzał, czy ja jestem silny typ, czy mam zacięcie i odporność na niepowodzenia. Ojciec, urodzony przed rokiem '39, z wojennym doświadczeniem, robił to tak, jak nakazywała jego epoka.

Uch.

Ojciec mi pomógł, nikt tak nie wierzył we mnie jak on. To kolejny stopień relatywności rzeczywistości. Jak w dobrym kryminale: nic nie jest takie, jak wydaje nam się, że jest.

I nigdy nie żałowałeś, że rzuciłeś malarstwo, choć bardzo dobrze Ci szło, na rzecz saksofonu, który jest piekielnie trudnym instrumentem?

To był dopiero punkt zwrotny, gdy się przesiałem z pędzla na saksofon. Uciekłem od czegoś, co nie tylko sprawiało mi łatwość, ale też od świata malarstwa, które jest czemuś podporządkowane. Bałem się tego. I co się stało? Wskoczyłem w świat saksofonu, który również jest czemuś podporządkowany. Wpieprzyłem się w trudność, z którą borykam się do dziś.

A jaśniej?

Sądziłem, że jak ucieknę od malarstwa, to trafię na cudowną działkę muzyczną, gdzie świat jest mi przychylny, układa się

Saksofon
nie stał się wyzwoleniem.

Inaczej mówiąc:
**nie każdy wybór
czyni cię do końca
wolnym.**

po mojemu i wszystko dostanę od razu. A okazało się, że nic nie ma za darmo, że dźwięk trzeba wypracować. Cudów nie ma: nie obudzisz się pewnego dnia i okaże się, że znasz skalę c-moll, d-moll, potrafisz zagrać ją z góry na dół, w każdym przebiegu kwartowo, tercjowo. Przeciwnie: to wszystko wymaga poprzedzających saksofonogodzin.

Kiedy wszedłem na ścieżkę muzyki, odsłonił się ocean rzeczy niepoznanych. I właściwie przez ten cały czas poznałem z niego niewiele. Nawet zdecydowałem, że w tym „niewiele” będę sobie żył i jakoś radził. Że to stanie się moim językiem, że będę go rozwijał. Saksofon, wbrew temu, co początkowo myślałem, nie stał się wyzwoleniem.

Inaczej mówiąc: nie każdy wybór czyni cię do końca wolnym. Lub jeszcze inaczej: miałem inny pomysł na wolność. Ale nie mogłem już wrócić do malarstwa. Gdybym zostawił saksofon, dałbym ciała na całej linii. Zbudowałem wokół siebie mit, że Trzaska z tym saksofonem jest jak sowiecki bohater, który rzucił się na gniazdo karabinów maszynowych. Ale ja przecież wystrugałem siebie na takiego bohatera. Bo tak było bardziej medialnie.

A jak było naprawdę?

Chyba dlatego zrezygnowałem z ASP, że ojciec był malarzem i uznałem, że inna droga będzie prostsza. Uciekałem od jeszcze większej z nim rywalizacji. Dziś mam odwagę, by zrezygnować z tego mitu. I też dzięki brakowi możliwości koncertowania nie mogę się utwierdzać w narcyzmie... Bo przecież bycie muzykiem to robota dla narcyzów – te ciuchy, te fryzury, te miny.

A teraz co?

W marcu, gdy świat się zatrzymał, pomyślałem, że opustoszałe miasto nie ma

sensu. Dlatego przeniosłem się do domu na Kaszubach. Na mrówkach i ślimakach, które na mnie patrzają, nie robię żadnego wrażenia. Jestem intruzem, więc wkładam wysiłek w to, by stać się częścią natury. Sadzę kwiaty, brzoźki wiąże, żeby nie sparszywały.

A wcześniejsze punkty zwrotne?

Jeszcze ci mało tych punktów zwrotnych? (*Śmiech*)

A ten moment, gdy jako nastolatek podsłuchiłeś kłótnię rodziców? Ojciec powiedział do mamy:

„Wy, Żydzi, ciągle wszystkiego się boicie”.

Wtedy dowiedziałem się, że jestem Żydem. Najpierw jednak muszę powiedzieć o moim podwórku. W latach 60., w których połowie się urodziłem, w Gdańsku, gdzie mieszkam, napływowość była ogromna. Wśród nas żyli ludzie ze Wschodu, ale tego północnego – z Wilna i Kowna. Było sporo uchodźców, w tym ukraińskich. Pamiętam twarze niektórych kolegów i ich rodziców, ale to, że byli Żydami, uzmysłowiłem sobie jako dorosły człowiek.

Wychowałem się więc wśród różnych rodzin – od lekarzy i inżynierów po robotników w stoczni i marynarzy wypływających w rejsy. Przez tę różnorodność byłem bogatszy – wymieszanie środowiskowe w komunie było akurat dobrodziejstwem. Wśród nas, dzieci, było też sporo kibiców Lechii Gdańsk. No i wszyscy opowiadali kawały o Żydach.

Pamiętasz jakiś?

Czym się różni wagon piasku od wagonu z Żydami? Tym, że tego z piaskiem nie da się przeładowywać widłami. Albo: dlaczego Żydzi szli dnem Morza Czerwonego? Bo śmierdzieli i nie chcieli ich puścić przez miasto.

Śmiałeś się?

Wszyscy się śmiali, to były normalne kawały. Wychowałem się jako podwórkowy antysemita. Wyobraź sobie teraz, co się dzieje, gdy otrzymujesz informację, że musisz iść dnem morza i wylądować cię widłami? To dopiero punkt zwrotny.

Co dzieje się po takiej wiadomości?

Odwracasz się, zamykasz oczy, zatykasz uszy, nie chcesz mieć z tym nic wspólnego. Nie jestem ani z Krakowa, →

→ ani z Warszawy, gdzie istniały środowiska żydowskie, za komuny jakoś się wspierały. Tam Żydzi mogli mieć siebie – rodziny, przyjaciół, spotykali się, świętowali. A ja, chłopak z Gdańska, nie miałem z nikim nic wspólnego. Dlatego uciekałem, nie chciałem być Żydem. Moja mama też nie chciała, by jej syn był Żydem – widziała w tym stygmatyzację. W marcu '68, jako lekarz, dostawała masę propozycji, byśmy wynieśli się z Polski, rzecz jasna anonimów.

Mama opowiadała, co wydarzyło się za okupacji?

Mało: że znalazła kapustę przy drodze i pamięta jej smak. I jeszcze to: że nie zdążyła się przestraszyć.

Co to znaczyło?

Właśnie! To znaczy, że myśmy – siostra i ja – zdążyli się przestraszyć. Mama z ojcem nie przestraszyli się, a my, ich dzieci, tak. To drugie pokolenie dostało manto. Oczywiście tego nie było w planie.

To są właśnie lęki, o których mówiłeś?

Przypuszczam, że cała energia życiowa mojej babci, z domu Miriam Majerowicz, poszła w wysiłek, by moja mama nie przestraszyła się w czasie wojny. Dziadek wpadł na pomysł, że wyniosą się z Włocławka i pojedą do Warszawy, bo w wielkim mieście Żydom łatwiej się ukryć. Wiem, że mama, babcia, dziadek ukrywali się w domu przy Filtrowej, czyli po aryjskiej stronie, nie na terenie getta. A potem, dzięki polskiej rodzinie, udało im się uciec w góry. Aryjscy Polacy mają dobre miejsce w pamięci naszej rodziny. I jednocześnie zapisali się w pamięci jako ci niedobrzy. Ciotka Guga, której prawdziwego imienia nie znamy, a była siostrą babci i ukochaną ciocią mamy, zginęła w okolicach świąt 1944 r., kiedy zbliżało się wyzwolenie. Przypuszczamy, że trafiła do polskiego domu i ktoś kazał się jej modlić. Albo zabili ją sami Polacy, albo wydali Gugu Niemcom.

A jaka była mama?

Aktywna, energiczna, oddana. Wychowana w etosie Edelmana, że życie ma wtedy sens, kiedy jest przeznaczone innym. Nie pyta o jej śmierć, prosi. To głęboko zanurzone dłużej w moim sercu. Sześć lat minęło, ale wciąż boli. Dopiero teraz zaczynam jej decyzję rozumieć.

Pierwsza moja myśl,
gdy ogłoszono pandemię:
straciłem pracę.

Myślałem: kim ja będę?

**I powoli zacząłem być
w cudowny sposób nikim.**

Trudne to wszystko.

A ojciec całkiem dostatnio spędził w Warszawie część okupacji. Dziadek Antoni, ojciec ojca, pracował nawet w Café Clubie. Ojciec pamiętał zapach pasztetowej, mama ten smak kapusty znalezionej gdzieś w polu. Gdy ojciec miał 10 lat, wybuchło powstanie warszawskie, które przeżył na Starówce i potem nie chciał wracać do swojego miasta. Rok wcześniej był świadkiem powstania w getcie. Okna domu przy ulicy Barokowej, w którym mieszkali na najwyższym piętrze, wychodzą na Świętojerską. Stamtąd ojciec widział płonące getto i słyszał krzyki ludzi skaczących z dachów. Miał fotograficzną pamięć, te obrazy zostały w nim na zawsze. Opowiadał, że przechodziła do nich z parteru rodzina granatowych policjantów, by popatrzeć, jak „Żydki się palą”. Tata więcej mówił o Żydach niż mama.

No, a Twoja tożsamość?

Z Mikołajem Gryenbergiem jeszcze przed pandemią uczestniczyliśmy w spotkaniu artystów żydowskiego pochodzenia. Było sporo Izraelczyków, byli Żydzi kanadyjscy i amerykańscy. Każdy opowiadał, w jaki sposób identyfikuje się z żydostwem: ktoś przez święta, inny przez tradycję rodzinną. A my z Gryenbergiem, dwóch polskich Żydów, powiedzieliśmy niemal jednocześnie, bez zająknięcia, że identyfikujemy się przez Holokaust. Zobaczyliśmy, jakie wrażenie zrobiło to na przyjacielach z innych części świata.

Nic dziwnego.

Dziś jestem dumny z tego mojego żydostwa. Zaprzeczenie jakiegokolwiek pochodzenia jest krzywdą, którą wyrządza się dzieciom. Kimkolwiek jesteś, masz wiedzieć, kim jesteś. Kto był twoim przodkiem, jak naprawdę miała na imię ciotka, a nie tylko, że była jakaś Guga.

Nie czynię sensacji z tego, że jestem Żydem. W naszym pokoleniu dla każdego pochodzenie stanowiło orzech do zgryzienia. Bo albo pochodziłeś z przedwojennych endeków, albo ze Wschodu. Za każdym razem może być źle. A dziś w Polsce temat powraca, identycznie jak po wojnie, twoje pochodzenie zaczyna cię naznaczać. Zamiast powodować efekt odwrotny, czyli budzić zainteresowanie. Jednocześnie obsesyjnie lękam się rasizmu żydowskiego. Istnieją Żydzi, także w moim otoczeniu, którzy czują się jak naród wybrany. Przed nimi uciekam.

A Twoje dzieci?

Gdy zaczęły się rodzic, żydostwo zaczęło mieć dla mnie inne znaczenie. Największy spokój przynosi poczucie i przekonanie, że nie jesteś zawieszony w przestrzeni, tylko stanowisz ogniwo w łańcuchu rodzinnym. Mikołaj Gryenberg w „Poufnych”, swojej najnowszej książce, napisał, że musimy żyć tak, by zostawić po sobie dzieciom jak najmniej rzeczy, by one nie musiały się z tym całym naszym bałaganem borykać. Staram się więc wyrzucić to, co może być dla nich obciążeniem.

Ale czy to był punkt zwrotny, gdy zostałeś ojcem?

Kiedy pojawiły się dzieci, popadłem w stan najgorszego narcyzmu, zrobiłem wszystko, by nie stanąć na wysokości zadania i kompletnie w tym nie byłem oryginalny. Na świecie robi to tysiące facetów, właśnie wtedy, kiedy powinna budzić się w nich odpowiedzialność, kiedy dostają szansę, by dać serce i głowę. A oni – muzycy w tym są wybitni – mówią: przepraszam, kochanie, ale widzisz, muszę utrzymać naszą rodzinę, mam od cholery koncertów. Nagle okazuje się, że tracisz mnóstwo elementów, wśród których najważniejsze jest dzieciństwo twoich dzieci.

To nie jest tak, że dałem ciała na całej linii, bo w pewnym momencie, kiedy dzieci były wystarczająco małe, zorientowałem się, że to robię.

Dziś jakim jesteś ojcem?

Próbuję się od nich odczepić. Cokolwiek dla nich zrobisz, to zrobisz dobrze albo zrobisz źle.

I co robisz?

Nie radzę sobie. Próbuję im doradzić, ale potem bardzo tego żałuję.

To identycznie jak ja.

Moje rady są nieprzystające do ich życia w świecie kierującym się zupełnie innymi zasadami. Moje wartości są o kant dupy rozbić – dla nich są niemoralne. Córka z synem twierdzą, że urodziłem się seksistą i rasistą, głowę mam pełną klisz. Cały czas gryzę się w język, bo okazuje się, że jestem homofobem, chociaż się za niego nie uważam, tak jak nie uważam się za seksistę i rasistę.

Pokolenie naszych dzieci ma wolne umysły, a jednocześnie problemy w świecie relacji.

W tym tkwi niesprawiedliwość – jakby każdy miał swoją rzecz do załatwienia w dzisiejszych czasach. My swoje, oni swoje. Jedno jest pewne: nasze doświadczenie niewiele zda się młodym. Wobec problemów moich dzieci czuję się bezradny. Jedyna siła, która nie powinna słabnąć, to być blisko nich. Ale też nie za blisko, bo w pewnym momencie muszą się od rodziców odessać, ruszyć w świat, zacząć samodzielne życie.

Nie chcę filozofować, że myśmy wychowali się w niedoborze, oni w nadmiarze, to jeden z wielu komponentów. Sądzę, że dziś też jest trudniej dokonać wyboru, bo myśmy nie mieli wyborów, i o wybory własne musieliśmy zaważać. Poza tym myśmy zaczęli prawdziwe mentalne wychowanie już w czasach wolności – po czerwcu '89. Układaliśmy sobie świat na nowo. A nasze dzieci dojrzały wcześniej – o złożoności świata dowiadywały się do dwudziestego roku życia, odkrywały to, co myśmy odkrywali dopiero po naszej dwudziestce.

To będzie puenta naszej rozmowy?

Nie przyznałem się do jednej rzeczy. Kiedy przyszedł okres pandemii, okazało się, że bardzo dobrze znoszę odosobnienie. Że pragnę być sam i dobrze się ze sobą czuję. Detoks od ludzi, proces odrucia, przebiegł dosyć szybko, pomyślnie, i samotność była wspaniałym doświadczeniem. Ale witamina samotności wypełniła mój organizm i teraz ta samotność nie jest mi tak bardzo potrzebna.

I?

I znowu są mi potrzebni ludzie.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



ZYGMUNT RYTKA © FUNDACJA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ IN SITU

Jedno z ikonicznych zdjęć Zygmunta Rytki z cyklu „Bluff” przedstawia postać karateki przykutego kajdankami do telewizora. Zapowiada późniejszy cykl „Fotowizja” i krytycznie odnosi się do mediów sterujących myśleniem odbiorców.

Genialny blef

MACIEJ TOPOLSKI

Archiwum jednego z najśłynniejszych polskich fotografików stało się właśnie powszechnie dostępne.

MÓWIŁO SIĘ, ŻE JEST „TYM OD ZDJĘĆ z kamieniami”. I była to prawda. Wykonał setki zdjęć kamieni, zapisywał na nich numery, rysował linie, rozbił na dziesięć innych kamieni, później malował je na złoto lub fotografował się z takimi, z których wyrzeźbiono głowy antycznych filozofów.

Z jednej strony ta łątka mogła być dla niego bolesna, bo sprawadzała ogromną, godną podziwu i uwagi

twórczość do jednego faktu, z drugiej zaskakująco trafnie wskazywała na jeden z najważniejszych mechanizmów jego działalności artystycznej. Ten mechanizm napędzało pragnienie uchwycenia, a więc i zrozumienia świata za pomocą „precyzyjnych narzędzi i aparatów wspomagających nasze zmysły” – jak to sam napisał w „Obok sztuki”. Zygmunt Rytka (1947–2018) miał świadomość, jak niemożliwy zarazem →

→ i śmieszny był to pomysł. Zrobić sobie zdjęcie z kamieniami.

Dzisiaj prześledzenie jego twórczości staje się wreszcie łatwiejsze za sprawą dostępnego już w internecie, obszernego i intuicyjnego w obsłudze archiwum (www.zygmunttrytka.pl), którego opracowaniem zajęły się Fundacja Sztuki Współczesnej In Situ w Sokołowsku oraz Fundacja Sztuk Wizualnych w Krakowie. Możemy zobaczyć, jak konsekwentnym był artystą.

Obiekt latający

Debiutował w 1974 r. wystawą „Przedziały czasowe” w warszawskiej Galerii Remont. Podjął temat fotografii

jako zapisu czasu – od początku myślał cyklem fotograficznym, tak jakby pojedyncze zdjęcie nie było zdolne do wielowymiarowego przedstawienia jego koncepcji. Przedstawił m.in. obrazy z serii „1/1000 s” ukazujące rozbryzgi wody, uchwycone tak, że przypominają rzeźby. Dla Rytki decydujący moment wydarzał się dosłownie w każdym ułamku sekundy – dzięki fotografii mógł zatrzymać czas w nieskończoność, tworzyć odrębną percepcję jego upływu, dostrzec, jak narzędzie, którym się posługuje, zaczyna błądować. No właśnie.

Pierwsze użycie słowa „bluff” odnotowano w artykule Erasmusa Darwina – dziadka sławnego Charlesa – opubli-

kowanym w 1778 r., a opisującym nowy przypadek zęza u pięciolatka, którego nieprawidłowe widzenie mogło być spowodowane kształtem jego kapelusika lub włosami opadającymi po obu stronach twarzy „jak klapki zakładane powożącym koniom”. Słowo „bluff”, przejęte do języka polskiego jako „błef”, początkowo oznaczało przewidywanie lub przesłanianie przepaską oczu lub wymuszanie na przeciwniku oszacowania tego, jakie ma karty (w trakcie gry w pokera). Dużo później zaczęło służyć na określenie wszelkich czynności wprowadzających w błąd lub tworzących mylne wrażenie.

Wszystkie te znaczenia uruchamiane przez słowo „błef” ustanawiają istotne wątki w twórczości Zygmunta Rytki. Idą one na przekór twierdzeniom, jakoby wzrok był zmysłem najwyższym, dostarczającym wiedzę obiektywną i godną zaufania. We wspomnianych „Przedziałach czasowych” przedstawił fotografie wykonane z przewiązanymi oczami. W projekcie wymownie zatytułowanym „Wprowadzenie do fotografii obiektywnej” (1976) także ma zasłonięte oczy, w rękach trzyma aparat, a tekst opisujący projekt – mający w zamierzeniu naprowadzać odbiorcę – okazuje się być „/nieczytelny/”. W ten zaskakujący prostotą i celnością sposób zadał pytanie o wiedzę, jaką dostarcza fotografia jako technologia *stricte* wizualna.

W cyklu „Obiekt X – uświadomienie nieosiągalności” (1971) robi zdjęcie wyrzucanemu raz po raz w powietrze, niezidentyfikowanemu przedmiotowi i próbuje go ująć w sposób naśladujący reprezentacje niezidentyfikowanych obiektów latających. Rytki mógł znać słynne zdjęcia z McMinnville w USA wykonane w maju 1950 r., na których – jak twierdzi się po czasie – nie widać latającego spodka, tylko lustro samochodu. Sam użył prawdopodobnie „elementu układu wydechowego jakiegoś pojazdu”. Szmelc zamienił w obiekt nie z tego świata.

W pracy zatytułowanej „Bluff” (1975-79) fotografuje siebie z atrapą aparatu w postaci płaskiego, wyciętego ob-



„CIĄGŁOŚĆ NIESKOŃCZONOŚCI”
„CONTINUAL INFINITY”
1984
ZYGUNT RYTKA 1986

W latach 80. Zygmunt Rytko spędzał więcej czasu nad rzeką Białką. Wykonywane tam fotografie składają się na cykl „Ciągłość nieskończoności”, 1984-85.

razu, który przykłada do oka, imitując typowy gest fotografa. W tym cyklu przywdziewa również kostium karateki-celebryty i naśladuje ruchy z filmów akcji – na długo przed modą na wschodnie sztuki walki (ta miała nadejść wraz z polską premierą „Wejścia smoka” Bruce’a Lee w 1982 r.) i mniej więcej w czasie, kiedy Zdzisław Sosnowski zaczął pracę nad cyklem fotografii i wideo zatytułowanym „Goalkeeper”.

Rytka i Sosnowski podejmowali podobny problem, mianowicie konstruowanie znaczeń przez obrazy – czy to telewizyjne, czy fotograficzne – i wpływ, jaki wywierają na percepcję rzeczywistości. Użyte atrybuty, odpowiednie ustawienie aparatu czy obecność widzów przeistaczają ich momentalnie w postaci o konkretnej tożsamości, ba, bohaterów masowej wyobraźni.

Pożądania i przedmioty

Mówienie o bliefie w kontekście twórczości Zygmunta Rytki dotyczy w rzeczywistości określania podstawowych funkcji, jakie mogą pełnić technologie takie jak fotografia czy telewizja w kształtowaniu rzeczywistości, także tej artystycznej. Cykl „Some Meetings” (1971-81) stanowi dokumentalny zapis polskiego życia artystycznego – przedstawia nie tylko spotkania, wystawy, teksty czy sesje naukowe, ale samą rejestrację tych wydarzeń. Zdjęcia Rytki pokazują przy okazji dominację mężczyzn w ówczesnym życiu artystycznym; warto pamiętać, że w Polsce dopiero pół wieku wcześniej kobiety otrzymały prawo do studiowania sztuk pięknych.

Jak kreowane jest życie artystyczne? Rytka odpowiada w sposób zaskakujący: tworzą je „teorie, poglądy, programy, kierunki, tendencje, prądy, struktury, manifesty i jeszcze wiele innych słów”, które mogą być uwidocznione na fotografiach dzięki choreografii ciał artystów, krytyków, teoretyków czy kuratorów, czy to niewymuszonej, niejako spontanicznej, czy to narzuconej przez fotografa. W tych spotkaniach odnajduje Rytka powtarzający się i obezwładniająco zabawny schemat: rozmawiające ze sobą, umieszczone w jednym kadrze dwie, trzy lub cztery postaci. Prosty wzór na ukazanie całego życia artystycznego.

Jedną z najlepiej znanych prac Zygmunta Rytki jest wideo „Fiat 126p” (1976), gdzie tytułowy samochód ukazany jest jako obiekt pożądania – w seriach powta-



Wiele prac Zygmunta Rytki powstało w formie miniperformansu. W cyklu „Bluff” artysta wcielił się w rolę karateki w złotym garniturze i białych rękawiczkach, wykonującego skoki, uderzenia i pozującego przed kamerami.

rzających się ruchów wsiadania, wysiadania, kierowania, zmieniania biegów, które odzwierciedlają proces kreowania potrzeb. Dodatkowo Rytka korzysta w tym wideo z elementów znanych z filmów pornograficznych, gdzie role płciowe rozdzielone są w sposób przewidywalny, acz wymowny: mężczyzną jest kierowcą i posiadaczem, kobieta natomiast – podobnie jak w „Bluffie” – przedmiotem oglądu.

Wątek zrównania kobiety z przedmiotem pojawia się również w cyklu „Zabawki” (1976): dwóch mężczyzn ogląda niemieckie pismo pornograficzne, w którym obok nagich ciał pojawiają się motocykle. Te zdjęcia stanowią też szczególnie prześmiewczy komentarz do czasów rządu Edwarda Gierka, kiedy Polska miała rosnąć w siłę, a ludzie żyć dostatniej.

Podobnie krytyczne wobec aktualnej sytuacji politycznej jest wideo „Retransmisja” tworzone w latach 1978-88, a powstałe z filmowanych fragmentów programów TVP. To nie tylko praca ukazująca w skrócie wydarzenia, postaci i programy zajmujące widzów w Polsce Ludowej, ale i – jak trafnie komentuje „Retransmisję” Anna Batko – przekaz informacji, który staje się konstruktem,

formą tragikomiczną. W trakcie 15-minutowego wideo zmontowany i odtworzony w przyspieszonym tempie sygnał telewizyjny tworzy wrażenie obezwładniającego zalewu obrazami.

W pewnym momencie na telewizorze pojawia się półprzezroczysta nakładka z napisem OCENZUROWANO, która imituje logo NSZZ „Solidarność”. To przewrotny i niejednoznaczny gest, wprowadzający telewizję na arenę walki politycznej, gdzie medium – bez względu na rzetelność przekazywanych informacji – jest ideologicznie zmanipulowane.

Niemożliwe i komiczne

W 1984 r. w Galerii Labirynt w Lublinie, a rok później w Małej Galerii ZPAF w Warszawie Zygmunt Rytka przedstawił pracę „Ciągłość nieskończoności” – tak, to są te „zdjęcia z kamieniami” – wykonaną nad rzeką Białką na Podhalu. Na pierwszy rzut oka jest to praca odmienna od wcześniej opisanych, scala jednak i rozszerza wszystkie dotychczasowe wątki, umieszczając je w zupełnie nowym kontekście.

Koncept stojący za tym działaniem – w przypadku twórczości Rytki granice między dokumentacją, fotografią, wideo →

→ czy badaniem antropologicznym są stale zacierane – przypomina wyzwanie. Jak opisać, a więc i opanować nieskończoną ilość obiektów tworzących rozrastające się konstelacje znaczeń? Pewnie mógłby, jak sądzę, podpisać się pod fragmentem „Uwięzionej” Marcela Prousta: „i pojąłem trudność ustalenia obrazu zarówno jakiegoś charakteru, jak społeczeństw i namiętności. Charakter zmienia się bowiem nie mniej od nich i jeżeli chcemy sfotografować to, co w nim jest stosunkowo niezmiennie, ukazuje zakłopotanej soczewce kolejno rozmaite fizjognomie (z tym jeszcze, że ów przedmiot nigdy nie jest nieruchomy, ale się rusza)”.

Numerowanie kamieni, rysowanie na nich linii, układanie ich według wcześniej wykreślonego wzoru, pozostawianie mokrego śladu stopy na otoczaku, tworzenie kęgów w piasku – wszystko to i wiele innych gestów, sytuacji, działań składających się na ten projekt można rozpatrywać jako kolejną skazaną na porażkę próbę ujarzmienia natury przez kulturę. Można go traktować jako rozprawę o nietrwałości ludzkiego istnienia lub daremności wysiłków intelektualnych, dążących do poznania przekształcającej się rzeczywistości.

To, co jest najciekawsze w „Ciągłości nieskończoności”, dotyczy porzucenia antropocentrycznej pozycji badacza-artysty, który sam staje się jednym z „żywiółów” tworzących świat. Oto projekt niemożliwy i przez to komiczny, ujmujący swoją prostotą, jak zresztą wszystkie działania artystyczne Rytki, otwierający szerokie pole do interpretacji, powtórzeń, przechwyceń. Wątki obecne w debiutanckich cyklach podejmuje i rozwija w projektach późniejszych, wciąż stawia pytania o granice gatunków artystycznych, funkcję imitacji w performansie, roli czasu w fotografii i nie zadowala się prostymi odpowiedziami. Jego twórczość pozostaje do odkrycia. To nie błąd, to geniusz.

© MACIEJ TOPOLSKI

Autor jest poetą, tłumaczem, eseistą. Za tom wierszy „na koniec idą” był nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia. W tym roku ukaże się jego książka „Niż”, za którą otrzymał Nagrodę Krakowa Miasto Literatury UNESCO (2020).



MATERIAŁ PRASOWY

Kadr z filmu „Arab Blues”

Freud w fezie

ANITA PIOTROWSKA

Przedstawioną w „Arab Blues” groteskową rzeczywistość można streścić w trzech słowach: korupcja, biurokracja i przede wszystkim hipokryzja. Albo nawet w jednym: inszallah.

KANAPA W TUNISIE” – TAK W DOSŁOWNYM tłumaczeniu brzmi tytuł filmu Manele Labidi, francuskiej debiutantki o tunezyjskich korzeniach. A że główną bohaterką jest psychoanalityczka, która wpada na brawurowy pomysł, by otworzyć gabinet w rodzinnym mieście, można spodziewać się, iż terapia dotyczyć będzie całego społeczeństwa, zagrożonego w chaosie i niepewności.

Zamiast gęstej, pikantnej harissy dostajemy jednak lekką sałatkę ze szczyptą lokalnych przypraw. W podobnej, niezobowiązująco komediowej konwencji zanurzony został portret młodej kobiety, rozdartej między Europą i krajem urodzenia. Smaczku z pewnością dodaje fakt, iż na obraz filmowej Selmy nakłada się biografia samej reżyserki, a na to jeszcze prywatna historia grającej główną rolę irańskiej aktorki Golshifteh Farahani. „Arab Blues” to bowiem prosto podana rzecz o skomplikowanych losach dzisiejszych uciekinierów, które na różne sposoby próbują powrócić do siebie, nawet jeśli już nigdzie nie czują się jak w domu.

Labidi odtwarza szczególną atmosferę, jaka zapanowała w Tunezji tuż po jaśminowej rewolucji. Przyniosła ona obalenie dyktatury i wzrost świadomości obywatelskiej, ale też wzmocniła radykalne ruchy salafickie i wywołała nową falę emigracji zarobkowej. Kiedy więc wykształcona we Francji Selma przyjeżdża po latach na przedmieścia tunezyjskiej stolicy, robi to niejako pod prąd ogólnej tendencji. I nie tylko tym wzbudza podejrzenia. Oto niezamężna kobieta, w dodatku wytatuowana, w dzinsach i paląca jak smok, zamierza grzebać w duszach współczesnych Tunezyjczyków i Tunezyjek – a przecież „my tu mamy Boga, nie potrzebujemy tych bzdur”.

Szybko okazuje się, że zapotrzebowanie na psychoterapię jest ogromne. Na dachu domu, należącego do wujostwa bohaterki, mieści się pokój z pluszową kanapą, do którego zaczynają ustawiać się kolejki. Znajdziemy tu cały przekrój społeczeństwa. Jedni płacą gotówką, inni wałówką, dla scenarzystki zaś to nie lada okazja, by zafundować nam galerię barw-

ných karykatur. Mamy zatem imama z depresją – ofiarę salafitów i tureckich telenowel, mamy pacjentów stłamszonych przez własne matki i ojców, czy transwestytę, którego w mokrych snach nawiedzają arabscy (i nie tylko) dyktatorzy. Są także mężczyźni, którym wizyta u kobiety, co to przyjmuje gości przy zasłoniętych oknach i zachęca do przyjęcia pozycji leżącej, kojarzy się jednoznacznie. Podobnie myślą przedstawiciele władzy, w tym lokalny policjant Naim grany przez Majda Mastourę, znane go z filmu „Hedi”. Wyraźnie kluje go w oczy wyzwolona postawa Selmy, toteż na każdym kroku wykorzystuje swe stanowisko, żeby podporządkować sobie atrakcyjną psychoanalityczkę.

Jak się potem okaże, ci najbardziej potrzebujący, najbardziej pochowani w swoich szafach, omijają gabinet szerokim łukiem. Przedstawioną na ekranie groteskową rzeczywistość można byłoby streścić w trzech słowach: korupcja, biurokracja i przede wszystkim hipokryzja. Albo nawet w jednym: *inszallah*. Dlaczegoż zatem aktywna, samodzielnie myśląca kobieta tak bardzo upiera się, by mieszkać w Tunisie? Na to pytanie film odpowiada raczej oględnie. Jako że reżyserka przyznaje się w wywiadach do osobistych związków ze swą bohaterką, możemy przypuszczać, iż w obu przypadkach chodzi o powrót sentymentalno-rozliczeniowy. O to, aby wyrwać się wreszcie z francuskiego stereotypu „islamskiej terrorystki” i arabskich wyobrażeń o „postkolonialnej snobce” i zmierzyć się ze swą złożoną tożsamością.

W pewnym sensie scenariusz „Arab Blues” ma stanowić rozwinięcie porzekadła „lekarzu, lecz się sam”, bo przecież Selma ze swoim kulturowym pomieszaniem też kwalifikuje się na kozetkę. Szkoda, że właśnie ów autoterapeutyczny wątek poprzestaje na samej diagnozie. Niedługo po przyjeździe do Tunezji bohaterka udaje się do salonu fryzjerskiego, gdzie jej wspańnięte loki zostają rozprostowane na europejską modłę. Selma spogląda smętnie w lustro i chwilę potem przywraca naturalną fryzurę, polewając się obficie wodą.

W takich scenach kryje się niewykorzystany potencjał filmu, podobnie jak podczas pierwszego spotkania Selmy i Naima. Oto nadgorliwy policjant z powodu deficytu alkomatów każe kobiecie chuchnąć mu prosto w twarz. Cóż za

piękny początek dla komedii nieromantycznej! Labidi balansuje jednak między pokusą gatunkowej formuły i próbą przełamania jej, nie dając satysfakcji ani klasycznym, ani zbyt wywrotowym oczekiwaniom.

Włosy są z pewnością tematem politycznym w „Arab Blues”. Oglądamy tu wszak kolekcję i wymyślnych uczesań, i tradycyjnych nakryć głowy. Lecz kiedy Olfa, nastoletnia kuzynka Selmy, ściąga na chwilę hidżab, okazuje się, że zadziorna dziewczyna wcale nie nosi go w imię tradycji, ale ukrywa pod nim fatalnie obcięte i ufarbowane kosmyki. Nakrycie głowy jako przewrotny kamuflaż pojawia się u Labidi również w związku z Zygmuntem Freudem. W nowo otwartym gabinecie bohaterka zawiesza portret swego mistrza – ale ma on domalowany fez, co pozwala zamaskować jego żydowskie pochodzenie. Z kolei Farahani, aktorka dziś w swoim kraju wyklęta i pracująca wyłącznie na Zachodzie („Paterson” Jima Jarmuscha, „Piraci z Karaibów: Zemsta Salazara”), lubi wspominać, że będąc młodą dziewczyną goliła sobie głowę – na znak protestu przeciwko obowiązującemu w Iranie nakazowi zasłaniania włosów przez kobiety.

Chcąc nie chcąc prawie wszystkie recenzje tego filmu zamieniają się w hymny pochwalne na cześć irańskiej aktorki, która w 2009 r. zabytnęła rolę w filmie „Co wiesz o Elly?” Asghara Farhadiego. I nie ma w tym zachwycie przesady. Dzięki Farahani cokolwiek pluszowa opowieść o kryzysie, czy to indywidualnym, czy tym zbiorowym, skąpana w śródziemnomorskim świetle, błękitach i europejskim retro popie, wypełnia się życiem. Prawie każdym gestem aktorka wyraża neurotyczną naturę, ale i determinację głównej bohaterki. Pozwala też łatwiej pogodzić się z faktem, że „Arab Blues” mówiony jest głównie po francusku. Najważniejsze jednak, że Farahani i Labidi, pracując na stereotypach i stosując różne przebrania, potrafią je z wdziękiem ośmieszyć. W końcu same doskonale wiedzą, jak to jest żyć w podwójnej rzeczywistości, również tej europejskiej. ©

ARAB BLUES (*Un divan à Tunis*) – reż. Manele Labidi. Prod. Francja/Tunezja 2019. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 14 sierpnia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Niewidoczne życie sióstr Gusmão



Dramat, reż. Karim Ainouz, Brazylia 2019, Cinemax 2, 15 VIII, 20.30, 19 VIII, 20.30 Lata 50., Rio de Janeiro. Bez pruderii, a zarazem

empatycznie i zmysłowo przygląda się brazylijski reżyser losom Eurídice i Guidy, których głęboka siostrzana więź została wystawiona na ciężką próbę. Brutalne rozdzielanie dziewcząt rozwija dwutorową, rozpiętą na kilka dekad opowieść o podeptanych marzeniach, nadziei i żywotach równoległych.

2. Grubaski na front



Dokumentalny, reż. Louise Kjeldsen, Louise Detlefsen, Dania/Szwecja/Norwegia 2019, Canal+ Dokument, 15 VIII, 23.25

Fat Front to ruch skandynawskich kobiet, które wbrew obowiązującym dziś wzorcom kobiecego piękna szcycą się swymi nadliczbowymi kilogramami. Chętnie pokazują swoje ciała w mediach społecznościowych i w równie otwarty sposób mówią, czym jest dla nich „ciałopozytywność” oraz jakie reakcje wywołuje.

3. Kraina Lovecrafta



Serial, tw. Misha Green, Jordan Peele, USA 2020, HBO GO, od 17 VIII Na podstawie powieści Matta Ruffa powstał

dziesięcioodcinkowy horror osadzony w powojennych USA, gdzie rasistowskie upiory nabierają cielesnych kształtów. Ile nowy serial HBO czerpie z mitologii Cthulhu – zobaczymy. Obok twórcy „Uciekaj!” sygnuje go swym nazwiskiem J.J. Abrams, producent wielu filmowych i serialowych hitów.

4. W świecie danych



Serial dokumentalny, odc. 1 – 6, Wielka Brytania 2020, Netflix W jaki sposób wynalazek bomby atomowej, wielka katastrofa mor-

ska czy inwigilacja mogą przynieść pożytek ludzkości? Dlaczego odchody i drobiny pyłu mają aż tak doniosłe znaczenie dla nauki? Latif Nasser, młody dziennikarz popularnonaukowy, szuka ukrytych powiązań między różnymi zjawiskami, pozorem odległymi od siebie.

Lektor:

Skandal sprzed lat



■ Wojciech Szot
PANNA DOKTOR SADOWSKA
Wydawnictwo Dowody na Istnienie,
Warszawa 2020, ss. 384

„PRECZ WIĘC Z POLSKI Z DZIWOŁAGIEM kobiety lekarza” – grzmiał w 1895 r. wybitny chirurg Ludwik Rydygier. Niespełna dwie dekady później warszawianka Zofia Sadowska obroniła w Petersburgu doktorat z medycyny. Działaczka organizacji kobiecych, nie była już osobą anonimową. Podczas I wojny pracowała na rzecz żołnierzy i uchodźców. 11 listopada 1918 r. znalazła się w trzyosobowej delegacji, która przedstawiła Józefowi Piłsudskiemu postulaty kobiet polskich. A sześć lat później stała się bohaterką

skandalu obyczajowego i obiektem nagonki prasy brukowej. Wojciech Szot rekonstruuje biografię Sadowskiej, co nie było zadaniem łatwym. Jak pokazują skrupulatnie przez autora zebrane materiały prasowe, szaleństwo fake newsów nie jest tylko domeną naszych czasów, a skandal wywołał falę najfantastyczniejszych plotek i domniemań. Po drugie zaś Sadowska stała się postacią niewygodną, więc na długo o niej zapomniano, włącznie z pomijaniem jej nazwiska w składzie wspomina-

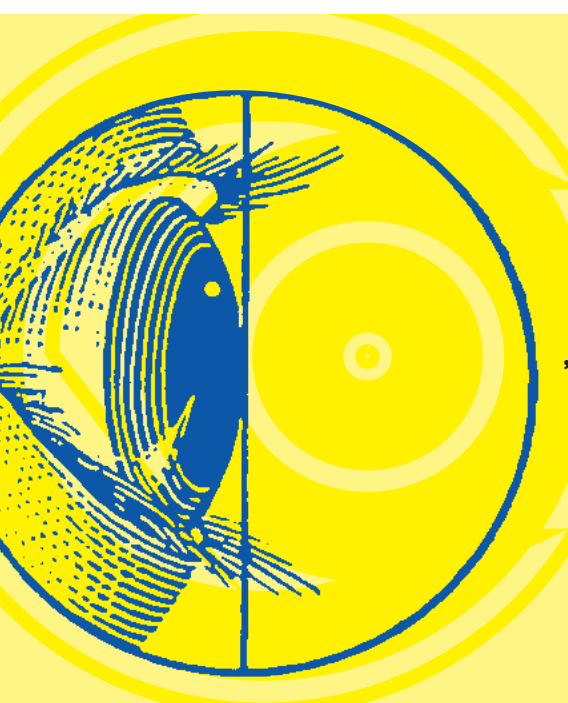
nej delegacji. Gdy zmarła w marcu 1960 r., Stołeczny Wydział Zdrowia zęgnął ją jako „długoletniego, zasłużonego lekarza miasta Warszawy”, ale pomylił jej imię...

Czas przejść do źródeł skandalu i późniejszego przemilczenia. Otóż Sadowska była nie tylko lekarką (dobłą, jak wynika ze świadectw), emancypantką, przedsiębiorczą kobietą biznesu i automobilistką. Była też lesbijką i ze swoją orientacją się nie kryła. Kiedy zaś „Express Poranny” i „Kurier Czerwony” przypuściły na nią atak, oskarżając o deprawowanie, a nawet narkotyzowanie młodych kobiet i organizowanie orgii – zdecydowała się bronić swojej czci przed sądem. No i się zaczęło. Brukowce i ich adwokaci odarli przeciwniczkę z jakiegokolwiek prywatności, sięgając po kuchenne plotki i zeznania ludzi z Sadowską skonfliktowanych – wszystko w imię obrony moralności i ładu społecznego.

„Nie chcemy słuchać szczegółów tak skandalicznych spraw! (...) Ale żądamy, aby z całą energią policja wyśledziła wszystkich, ktokolwiek w całą aferę jest wmieszany” – apelował „Express”. Sadowska stała się bohaterką kabaretowych rewii, karykatur i satyrycznych wierszyków, które zupełnie dziś nie śmieszą, choć wśród ich autorów jest i Tuwim. Nie braknie – też w „Expressie” – listu „sędziwej matrony polskiej” Felicji B., błagającej o wykorzenie „sodomskiego grzechu”. Z tych tekstów przebija niewiarygodna pogarda – doprawdy, Sadowska musiała mieć skórę nosorożca.

Czy taka pogarda dziś byłaby możliwa? Ostatnie wydarzenia sprawiają, że wahałbym się przed odpowiedzią przeczącą. Bo mechanizmy homofobicznego wykluczenia niestety się nie zmieniły i mają podobne jak kiedyś źródła. ©©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Już dziś rejestracja w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto”** umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciółom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny



TYGODNIK
POWSZECHNY

PAWEŁ

Bravo:

O prawdzie i winie



JEDNA CZWARTA. CZY NIE BRZMI TO O WIELE ładniej niż excelowe „dwadzieścia pięć procent”? Kiedy nie mam większych powodów do zmartwień, ubolewam nad tym, że za sprawą dostępności narzędzi do dokładnego liczenia z mowy potocznej znikają proste ułamki, które brały się z codziennego doświadczenia. Jak podzieliś chleb na pół, a potem jeszcze raz na pół, to do koszyka wkładasz ćwiartki, a kiedy z dwiema osobami podajesz sobie w krąg butelkę, to każda wypije jedną trzecią zawartości.

O 25 proc. wzrosła w zeszłym roku sprzedaż produkowanego we Włoszech „wina” bezalkoholowego i był to największy wzrost ze wszystkich segmentów rynku. Udziałami w firmach, które produkują to coś, interesują się koncerny z wielkiej piątki rządzącej rynkiem wysokowym – wedle tej samej logiki, która każe gigantom naftowym inwestować w firmy zajmujące się odnawialnymi źródłami energii: po co się kopać z koniem, lepiej zarobić na tym, co jeszcze wczoraj wydawało się zaprzeczeniem istoty dotychczasowego biznesu.

Podobnie jest z bezalkoholowym „winem” – z początku było to niszowe dziwadło wymyślone dla zaspokojenia kaprysów nielicznych konsumentów muzulmańskich, dziś wjeżdża z triumfem do barów na głównych placach europejskich miast, podoba się bowiem współczesnym Młodziakom – a to oni w tych kryzysowych czasach mają jeszcze parę groszy do wydania na konsumpcję. Słuszną troską o planetę – w sferze kuchennej skutkująca np. niejedzeniem zwierząt – występuje niestety w sosie nowego purytyzmu, a alkohol jest dyżurnym wrogiem każdej kruczaty na rzecz odnowy człowieka.

Podobnie jest z bezalkoholowym „winem” – z początku było to niszowe dziwadło wymyślone dla zaspokojenia kaprysów nielicznych konsumentów muzulmańskich, dziś wjeżdża z triumfem do barów na głównych placach europejskich miast, podoba się bowiem współczesnym Młodziakom – a to oni w tych kryzysowych czasach mają jeszcze parę groszy do wydania na konsumpcję. Słuszną troską o planetę – w sferze kuchennej skutkująca np. niejedzeniem zwierząt – występuje niestety w sosie nowego purytyzmu, a alkohol jest dyżurnym wrogiem każdej kruczaty na rzecz odnowy człowieka.

Nie bez swojej winy zresztą, bo faktycznie w rękach ludzi nieznających umiaru szkodzi ciału, duszy i relacjom z bliźnimi. O czym mógłbym niejedno opowiedzieć z obserwacji, które czynię w swoim drugim, wieczornym wcieleniu. Ale dochowam tajemnicy barmańskiej, pokrewnej z tajemnicą spowiedzi, biorąc pod uwagę, jakie grzechy i słabości demonstrowały, po przekroczeniu rozsądnej miary w picu wina, osoby nawet z wyższych szczebli społecznej drabiny. Jedno mogę powiedzieć: ludzie zrobili się bardziej agresywni. To chyba stresy epidemii i kumulowany od pół roku podskórny lek tak wyłazał na wierzch.

Ale pomimo agresji, której doświadczam, nie chciałbym, aby nagle z baru zniknęły prawdziwe wina. Czy o tej prawdziwości stanowi alkohol? Na razie tak. Nie przekonacie mnie,

że poddana chemicznej kastracji ciecz jest smakowo podobna do oryginału. Musujące uzyskuje się przez wtłoczenie dwutlenku węgla i kwasu cytrynowego do moszczu, któremu nie pozwala się sfermentować. Każdy, kto urządzał kinderbale, pamięta piccolo barwy żółtej, zielonej lub czerwonej. Otóż za analogiczne wyroby, tyle że opakowane w dorosłe butelki i o smaku nieco mniej topornym, ludzie są w stanie płacić grube sumy i jeszcze szczyścić się świadomymi wyborami konsumenckimi.

Ale nie w samym smaku problem, tylko w moim umyśle, który broni alkoholowej definicji wina z równym ferworem, jak prawa część politycznego spektrum 18. artykułu konstytucji – o małżeństwie. Wiem, że stoję na początku drogi. Słowa pomału dostosowują swoje znaczenie w ślad za przemianami tego, do czego się odnoszą. Tydzień temu po raz pierwszy bez ironicznych uśmieszków zjadłem węgalskiego burgera – bo po prostu dzięki postępom technologii czuć go było porządnym mięchem, a nie przyprawioną tekturą. Rzeczywistość w dostępnym człowiekowi wymiarze powstaje drogą nazywania. To, co nienazwane, nie istnieje – ale nie jest tak, że słowa są twardą formą lepiącą bezkształtną plastelinę.

W czasach studenckich walczyłem trochę – bardziej dla przygody niż patetycznych motywów – z ówczesnym złym systemem. Stałem zaledwie w piątym szeregu, czymś tam rzucałem – a na czele, dobrze to pamiętam, zadymą kręcił człowiek, który dziś jest oberpolicmajstrem i nadzoruje pałowanie (nie miejsce tu na dyskusję, czy i jakie ma w tym racje). Jak w obliczu takiej zmiany mógłbym wykluczyć, że kiedyś również i ja będę innym człowiekiem, i inne znaczenia nadam słowom? Wypiję, panie ministrze, za nasze dziwne pokolenie.

©P



Finisz lata to dobry moment, żeby najeść się sałat z gruntu, zwłaszcza że chłodniejsze niebawem dni pozwolą im na nowo bujnie wyrosnąć. Polska ziemia potrafi rodić ogromną różnorodność, żałuję że poza wielkimi miastami mamy wybór tylko paru rodzajów. Możemy za to pograć sosami, których nie lubię zwać dressingiem, ale dość już rozprawiania o słowach. Podstawowy winegret to żadna filozofia, zależy tylko od jakości oliwy oraz octu – jeśli nie mamy dostępu do dobrego winnego, to zamiast taniej masówki poszukajmy dobrego jabłkowego. A także od musztardy – tu nie warto ściubić, trzeba mieć na tę okoliczność porządną dijońską. Można też się bawić w warianty składników – dla mnie ocet jabłkowy świetnie pasuje do oleju z orzechów włoskich, który z kolei genialnie podbija np. smak buraków dodanych do sałaty. Albo sięgnąć po niekonwencjonalne sosy majonezopodobne – pierwszy to wariant greckiego avgolemono: doprowadzamy do wrzenia 200 ml bulionu warzywnego. W misce rozkręcamy 2 żółtka z sokiem z małej cytryny i potem pomału dolewamy bulion, ciągle ubijając. Stawiamy miskę na garnku z wrzącą wodą i dalej ubijamy, aż sos się mocno zagęści (trzeba uważać, bo łatwo możemy przesadzić i się zwarzy). Spróbujcie też kiedyś, robiąc majonez, dodać łyżkę ouzo czy podobnej anyżówki i garstkę posiekanej koperku.

ZMYSŁY

KRÓTKI TEKST O MIŁOŚCI

Moje serce toczyło gwałtowną walkę
z rozumem. Może lepiej poczekać
i kupić sobie ułożonego konia
z zaufanej hodowli?
Miękkłam stopniowo.

DOROTA KOZIŃSKA



NIKT NIE WIE, SKĄD MI SIĘ TO WZIĘŁO. NIE MIAŁAM W RODZINIE żadnych ułanów, żadnych dorożkarzy ani nawet pocziwych wozaków. Rodzina na wsi w razie potrzeby pożyczala konie od sąsiadów. Ojciec kochał psy, matka nie miała zdania, starszy brat – z którym przez kilkanaście lat mieszkaliśmy w jednym pokoju – był urodzonym kociarzem. Tymczasem ja rzucałam się do okna, ilekroć usłyszałam stukot kopyt chabety czerniakowskiego węglarza.

Rysowałam konie, odkąd nauczyłam się trzymać w ręku ołówka. Opanowawszy umiejętność czytania i pisania, uczyniłam z nich bohaterów swoich dziecięcych baśni i opowiadań. Rodzice wstydziłam się ze mną wyjść na ulicę, bo maszerowałam stępem paradnym, rażno poparskując i rżąc – lepiej od naśladowania tych odgłosów wychodziło mi tylko pianie koguta.

Brat droczył się ze mną niemiłosiernie. Poświęciłam kiedyś mnóstwo czasu na sporządzenie tablicy końskich maści wraz z objaśnieniami – wykorzystał chwilę mojej nieuwagi, żeby dorysować jeszcze jedną sylwetkę z dopiskiem: „łysek – brak sierści”. Po tegiej awanturze z bijatyką nastały długie ciche dni.

Szkółek jeździeckich było wtedy jak na lekarstwo – zresztą rodzice i tak nie mieli zamiaru zapisywać mnie na lekcje jazdy konnej. Zazdrościłam dwóm koleżankom z wyższego rocznika w podstawówce, które miały więcej swobody ode mnie – w tygodniu, w zamian za pracę w stajni, pozwalano im dosiadać wierzchowców w pewnym warszawskim klubie, w dni wolne wyjeżdżały kolejką za miasto i wypożyczały konie w teren od miejscowych rolników. Z jedną z nich się zaprzyjaźniłam. Kolekcjonowałyśmy pocztówki i wycinki z gazet, kupowałyśmy wszelkie dostępne książki o koniach, nie przepuściłyśmy żadnego westernu ani filmu historycznego w dzielnicowym kinie.

Kilka lat później udało mi się zgromadzić dzieła wszystkie Witolda Pruskiego, jednego z najwybitniejszych polskich hipologów w dziejach. Końska pasja zaczęła się splatać z zamięłowaniem do genealogii, historii i tajemnic pionierów polskiej hodowli.

O posiadaniu własnego rumaka nie było co marzyć: rodowody najwspanialszych ogierów i klaczy-matek potrafiłam jednak wyrecytować do siódmego pokolenia wstecz, włącznie z datami urodzenia i nazwami stadnin.

Klacz

Wreszcie ulitował się nade mną brat przyrodni. Z wykształcenia zootechnik, koni bał się panicznie i całe serce oddał trzodzie chlewnej – ale na studiach przez krótki czas chodził z zapaloną koniarą, uczennicą legendarnego rotmistrza Tadeusza Jacobsona oraz instruktorką w ostatniej z prowadzonych przez niego stajni. Jakimś cudem przebłągał ojca i od tamtej pory każda z moich niedziel przebiegała pod znakiem wyprawy na rubież stolicy.

W szopie przylegającej do drewnianej chałupy stały wówczas trzy konie, wszystkie co do jednego wyratowane z rzeźni: klacz z lekkim przykurczem ścięgien w przednich nogach i dwa wałachy – jeden z wystającym jak grzebień kręgosłupem, drugi naznaczony taką traumą z przeszłości, że nie wolno nam było do niego podchodzić bez kasku na głowie.

To na nich uczyłam się jeździć: miesiącami na lonży, na oklep, bez wodzy, żeby oszczędzić im bólu, który jest teraz udziałem niemal wszystkich szkółkowych wierzchowców. Siodła dostawaliśmy tylko w teren, strzemion nie dostaliśmy nigdy. Na koniach ułożonych przez Jacobsona nie były potrzebne – do dziś pamiętam, jak w pełnym galopie tuż przed oczyma wyrosła mi gałąź: zanurkowałam wałachowi pod brzuch i wróciłam w siodło dzięki jego wydatnej pomocy. ➔

→ Jacobson i jego instruktorki wybili mi z głowy brawurę, wpoili bezwarunkowy szacunek do zwierzęcia i uświadomili, że wielkiej amazonki ze mnie nie będzie. Wszystkie trzy lekcje przyjąłem z pokorą. Koń to nie jest maszyna na siłowni, a prawdziwy znawca i miłośnik tych zwierząt nie musi być mistrzem olimpijskim.

Nie ustawałam więc w swojej pasji, choć przyszedł czas innych priorytetów. Skończyłam studia, założyłam rodzinę, los zetknął nas z mnóstwem problemów zdrowotnych. Kiedy prowadziłam już w miarę ustabilizowane życie zawodowe, dawna szkolna przyjaciółka przeprowadziła się z mężem na wieś i zaczęła realizować nasze dziecięce marzenie. Szybko dałam się wciągnąć w ten waldenowski eksperyment.

Kiedy w remontowanej stajni zamieszkały już dwa wierzchowce, doszły nas słuchy, że sąsiad nauczyciel chętnie sprzeda w dobre ręce młodszą z dwóch końskich sióstr, które jakiś czas temu odratowali z kolegą z amatorskiej pseudohodowli. Jej właściciel, miejscowy przedsiębiorca, w przypływie sarmackiej fantazji sprawił sobie klacz czystej krwi arabskiej, po czym dwukrotnie ją zażrebił – ogierami angloarabskimi z pobliskiej stadniny.

Starsza klaczka miała więcej szczęścia: panu jeszcze dobrze się wiodło. Potem interesy zaczęły szwankować, skutkiem czego młodsza żróbka spędziła pierwszy rok życia właściwie nie wychodząc ze stajni, zaniedbana, niedożywiona i nieoswojona z ludźmi.

Nauczyciel otoczył ją najlepszą opieką, ale uprzedzał, że dwulatka wciąż wygląda jak skrzyżowanie osła z Rosynantem. Może się jeszcze rozwinie, choć pewnych wad, spowodowanych niedostatkiem ruchu w źrebięctwie, nie da się już zniwelować.

Gwiazda i koronki

Moje serce toczyło gwałtowną walkę z rozumem. Może lepiej poczekać i kupić sobie spokojnego, ułożonego konia z zaufanej hodowli? Miękką stopniowo. Najpierw zobaczyłam jej rodowód. Kaja – bo tak jej na imię – w linii żeńskiej okazała się prawnuczką janowskiego Banata, czempiona Wielkiej Brytanii, a tym samym praprawnuczką legendarnej Bandoli, bodaj najcenniejszej córki Witraza, który wraz z Andrzejem Krzyształowiczem przeżył bombardowanie Drezna. Po mieczu wywodziła się z rodu Arlequina, francuskiego angloaraba czystej krwi, którego potomstwo słynęło z wytrzymałości i doskonałych predyspozycji sportowych.

Potem zobaczyłam ją samą. Opis nauczyciela i tak wydał się nadmiernie pochlebny, bo obrosnięte zimową sierścią siostrieczki zdążyły właśnie wytarzać się w błocie. Zawołałam klacz po imieniu. Zareagowała. Chwilę pobyliśmy razem, po czym – nie wiem, co mi strzeliło do głowy – wdrapałam jej się na grzbiet. I nic się nie stało. Ten moment przeważał. Dobiliśmy targu.

Na wiosnę Kaja zaczęła powolutku rozkwitać. Spod zimowej okrywy wyłoniła się gniada maść o pięknym złotawym połysku – jak u stepowych koni z Turkmenistanu. Na czole podłużna gwiazdka, na obu lewych nogach śmiesznie nakra-

piane koronki – oraz niesforna grzywa, której nigdy nie dało się zaczesać na jedną stronę. Klacz rzeczywiście była łagodna, ale niezwykle pobudliwa – nie potrafiła ustać w miejscu przy żadnym zabiegu, wypuszczona na okólnik pędziła przed siebie na oślep, na łące pasła się krótko, po czym urządziła szalone galopady. Od innych koni trzymała się raczej na dystans.

Gadałam z nią jak z ludzkim dzieckiem, przesiadywałam z nią w boksie i na pastwisku, wciąż nie mogąc uwierzyć, że mam własnego konia. Przyjęła siodło i wędzidło, kilka razy udało się nawet pojechać na spacer stępem do lasu. Za ostatnim wdepnęła w gniazdo ziemnych os, wyskoczyła z czterech nóg w powietrze, pozbyła się mnie w pobliskich zaroślach i urządziła sobie popas pół kilometra dalej. W stajni zyskała opinię narwańca, mieliśmy jednak nadzieję, że najdalej za rok będzie można układać ją do jazdy.

Cztery nogi

Kiedy zdarzył się wypadek, byłam akurat w Warszawie. Czterogodzinna podróż pekaesem dłużyła się w nieskończoność. Kaja wpakowała się w świeżo przyciętą karpę bzu w sadzie i przecięła sobie na wylot dwa ścięgna w przednim nadpęciu. Weterynarz przekonywał, że najrozsądniej będzie ją zgładzić. Serce znów wzięło górę nad rozumem i znów miało rację. Przez pierwsze tygodnie klacz praktycznie nie wstawała ze ściółki. Rana, opatrywana kilka razy dziennie, ziarninowała długo. W końcu zaczęła się goić.

Kilka miesięcy później prowadzona na uwięzie Kaja po raz pierwszy wyszła ze stajni. Na trzech nogach. Wkrótce potem dostawiła czwartą, ale było już pewne, że nigdy nie wróci do pełni sprawności.

Rekonwalescencja Kai była jednym z najdziwniejszych okresów w moim życiu. Nigdy nie miałam samochodu, a od stajni dzieliło mnie prawie dwieście kilometrów. Zaczęłam zabierać robotę redakcyjną na wieś i wpadać do Warszawy na dwa albo trzy dni w tygodniu. Wozilałam autobusami wiadra z przyrządzonym w domu meszem, czyli soloną miksturą z siemienia lnianego, otrębów i ziół, oraz dziesięciokilogramowe lizawki z dodatkiem witamin i mikroelementów. Pół wsi pękało ze śmiechu, kiedy szłam na łąkę z Kają na lince i z książką pod pachą, żeby nie umrzeć z nudów podczas kilkugodzinnego wypasu. Los zadecydował za mnie. Skoro już nigdy nie wsiądę na Kaje, doczekam się od niej potomstwa.

Żrebaki

Kto wie, czy dałoby się uzyskać wpis do głównej księgi stadnej, gdyby nie królewski rodowód mojej kulawej piękności. Pierwszym partnerem Kai został inny arab z Janowa, podobnie jak jej pradziadek wywodzący się z linii Krzyżyka, sprowadzonego w 1876 r. do hodowli Dzieduszyckich w Jarczowcach. Drugim – zjawiskowo piękny ogier pełnej krwi, wnuk Damascusa, jednego z najsłynniejszych koni wyścigowych w historii.

Romanse odbyły się w pewnej prywatnej stadninie, której właściciel, widząc mój zapał, policzył mi za stanówkę i kilkumiesięczną opiekę nad Kają mniej więcej tyle, ile zapłaciła-

**Pół wsi pękało ze śmiechu,
kiedy szłam na łąkę z Kają**
na lince i z książką pod pachą,
żeby nie umrzeć z nudów
podczas kilkugodzinnego
wypasu.



DOROTA KOZIŃSKA

KAJA (ur. 1994) jest w linii żeńskiej prawnuczką janowskiego Banata, czempiona Wielkiej Brytanii, praprawnuczką legendarnej Bandoli, bodaj najcenniejszej córki Witraża. Po mieczu wywodzi się z rodu Arlequina, francuskiego angloaraba czystej krwi, którego potomstwo słynęło z wytrzymałości i doskonałych predyspozycji sportowych.

Suknie

Pomogli starzy znajomi. Kaja przeniosła się kilkadziesiąt kilometrów dalej, do pustej stajenki, gdzie przez rok miała do towarzystwa kozy, owce, psy i energiczną koniarę, która zamierzała własnymi rękami reaktywować niewielki ośrodek jeździecki. Nie udało się, ale i tak jestem jej wdzięczna, że w sytuacji, w jakiej się znalazła, dała mi tydzień na przeprowadzkę.

Tym razem trzeba było poruszyć niebo i ziemię. Na ratunek przyszli nowi znajomi. Spotkałam się z mnóstwem życzliwości ze strony prawie obcych ludzi. Ktoś przypominał sobie o przyjaciółce z lat dawnych, która przyjmuje sędziwe konie na emeryturę. Przyjaciółka z lat dawnych zgodziła się bez wahania. Ktoś pożyczył na transport. Właścicielka samochodu do przewozu koni przez całą akcję ewakuacyjną wspierała nas niczym końsko-ludzki psycholog.

Droga do raju bywa jednak kręta i pełna niespodzianek. W nowym miejscu Kaja w pierwszej chwili zaprzyjaźniła się ze starszą od siebie, ciężko chorą kłaczą, a potem po raz pierwszy w życiu się zakochała. W przystojnym i postawnym, dwa razy od niej młodszym końskim brunecie.

Szczęście trwało krótko: przyszedł czas na Kajowe dramaty. Najpierw opuścił ją oblubieniec, zabrany przez panią do innej stajni. Potem umarła sędziwa przyjaciółka. Kaja wpadła w depresję. Przestała jeść. Zaczęła tracić sierść. Gospodyni końskiego przytuliska wkroczyła do akcji: przekonała właścicielkę bruneta, żeby połączyć kochanków spod przeklętej gwiazdy. Kaja zamieszkała z pięknym karosem i odtąd miała go tylko dla siebie. Z czasem doszło do kilku małżeńskich sprzeczek, ale na ogół snuli się po okólniku jak ośmionożne, dwugłowe końskie monstrum – nierozłączni, zatroskani o siebie nawzajem, płaczący wielkim głosem, ilekroć jego trzeba było wziąć na jazdę albo ją odprowadzić wcześniej do stajni.

A potem nadeszła pandemia. Właścicielka domu ze stajnią straciła pracę i musiała zjechać na stare śmieci. Kaja z brunetem stanęli w obliczu kolejnej przeprowadzki. Aż wierzyć się nie chce, ale znów wszystko się dobrze skończyło. Oblubieńcy wrócili na bujne łąki w poprzednim miejscu i będą razem, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Śmierć może poczekać albo nadejść w każdej chwili. Kaja skończyła w lutym 26 lat. Mówimy do niej jak w piosence Wołka – że jest ciągle młoda, tylko jej suknie wyszły z mody. Ale zdarzyło się jej już poprosić, żeby nie musiała wstawać ze ściółki do karmienia owsem. Wciąż potrafi się rozpędzić, ale już zapomina, że stawy nie te, i przewraca się na zakręcie.

Pocieszam się myślą, że jej arabska praprababka zmarła w wieku 35 lat. Wiem, że końscy rekordziści żyli jeszcze dłużej. Tęsknię. Dalej nie mam samochodu, a podróż zatłoczonym pociągami w obecnej sytuacji wciąż nie wchodzi w grę. Też mam już swoje lata. I kolejny cel przed sobą: dożyć końca tej pandemii, bo przecież koń na mnie czeka.

© DOROTA KOZIŃSKA



Nakładem wydawnictwa Multico
ukazała się właśnie
książka edukacyjna
DOROTA KOZIŃSKA
OPOWIADA O KONIACH

bym za koński pensjonat w Warszawie. Mówił do mnie „pani redaktor” i nie mógł się nadziwić, że wożę kilometrami kaleką kobyłę do krycia, a potem co tydzień ją odwiedzam, drażniąc na piechotę przez pola z przystanku autobusowego w pobliskim miasteczku. Być może chwyciło go za serce, że Kaja na dźwięk mojego głosu przybiegała krzywym cwałem z drugiego końca pastwiska.

Obydwa źrebaki – kłaczka, a dwa lata później ogierek – przyszły na świat bez najmniejszych powikłań i z dala od oczu ciekawskich. Z pierwszym porodem Kaja pośpieszyła się dwa tygodnie i z dumą zaprezentowała swoje dziecko pracownikowi, który przyszedł na poranny obrządek. Z ogierkiem uwinęła się w kwadrans, odczekawszy, aż wyjdę wreszcie ze stajni i zrobię ludziom tę kolację. Za każdym razem zdążyła po sobie posprzątać: zjadała łózysko jak dzika kłacz w obawie przed atakiem drapieżcy. Okazała się doskonałą matką, a jej dzieci, zgodnie z przewidywaniami, wyrastały na urodziwe, choć obdarzone wyjątkowo ognistym temperamentem konie w typie staropolskich „orientali”, jak z obrazów Juliusza Kossaka.

A potem nadeszło pasmo ludzkich tragedii, z których cało uszły chyba tylko konie. W natłoku dramatycznych wydarzeń skończyła się przyjaźń. Kajowe dzieci poszły w ludzi, a we mnie rozsądek po raz pierwszy zatriumfował nad sercem. Wybrałam rozstanie z kłaczą, żeby nie narażać jej na dodatkowy stres związany z transportem i zmianą miejsca. Przez kilka lat płaciłam za paszę, wychodząc z założenia, że z utrzymaniem jednego konia jakoś sobie poradzę. W pewnej chwili przestałam sobie radzić, a wkrótce do mnie dotarło, że po tamtej stronie nie mam już na kogo liczyć.

Po krótkiej i przykłej rozmowie z nowym gospodarzem stajni – rozmowie, której do dziś się wstydzę – stanęłam przed ultimatum. Musiałam znaleźć dla Kai nowy dom, i to w sytuacji, kiedy nie mogłam kroku ruszyć z Warszawy. Byłam na skraju kompletnego załamania nerwowego. Nie docierało do mnie, że w tym nieszczęściu tli się iskra nadziei, że bez niego zapewne już nigdy nie zobaczyłabym Kai.

STANISŁAW

Mancewicz:

Lubi, nie lubi



KTO MIMO WYRAŹNEGO TU ZANIKU prawa grawitacji próbuje wciąż twardo stąpać po ziemi naszej, rozumie świetnie, że tematów do poważnych rozważań jest coraz mniej. W zasadzie wszystkie poważne tematy są natychmiast infantylizowane i choć lubimy łatwość, są jednak granice, poza które wolelibyśmy z naszym delikatnym rozumem nie jeździć.

Sierpień to miesiąc, w którym najważniejsze są pomidory. Ktoś powie, z szalenie zaciętą miną, że jednak ważniejsza niżli rozmowa o pomidorach powinna być dyskusja, czy trzeba było iść na zaprzysiężenie prezydenta do parlamentu, czy tamże – mianowicie – nie należało chodzić. Otóż, jeżeli ktoś chciałby posłuchać, co mamy w tej sprawie do powiedzenia, to wyznajemy, że chętnie pobylibyśmy w polskim parlamencie z ciekawości. Jest to dziś miejsce skupiające najciekawsze umysłowości nie tylko w Polsce, ale chyba w Europie. Skorzystalibyśmy zatem z tego stanu zdumiewającego skupienia i byśmy poszli. A potem, gdy byłoby już po wszystkim, zamiast jałowo na Fejsbuku dumać, czy oto zrobiliśmy dobrze, czy źle, szybko pobieglibyśmy na pobliskie targowisko, by sobie pomacać pomidory.

O tak, świetnie wiemy, że macanie pomidorów to czynność barbarzyńska, ale tak właśnie byśmy zrobili. Ktoś tu teraz powie, że nasza próba lekceważenia i nieodniesienia się do orędzia głowy państwa jest klasycznym przykładem arogancji elit. Otóż naprawdę bardzo byśmy się chętnie

do orędzia odnieśli. Problem jednak w tym, że było ono najśilniej, jak się da, o niczym. Nie odnosiło się do absolutnie żadnego problemu z listy, którą każdy przytomny człowiek ma dziś głowie, i którą można wydeklować bez wysiłku i po pijanemu. Powiedzenie czegokolwiek o nadchodzącym, największym od II wojny kryzysie społecznym i gospodarczym byłoby miłym świadectwem trzeźwości naszej władzy.

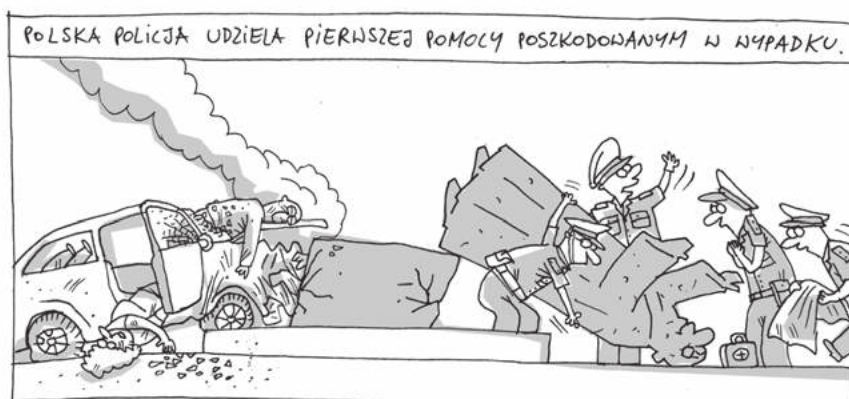
Powtarzamy – że oczekiwilibyśmy czegokolwiek, z czym moglibyśmy się zgodzić bądź nie. Niestety. Był to strumień specyficznej świadomości, z wtętami historyczno-godnościowymi, być może specjalnie meandrujący pomiędzy sprawami ważnymi. Warstwy artystycznej tego występu nie sposób ocenić. Orędzia wszystkich polskich prezydentów były w tym sensie zawsze słabe.

A więc sumując. Orędzie prezydenta było po prostu nieważne, a jeżeli ktokolwiek sądzi, że było, ten niech spisze sobie dlaczego i na głos, wieczorem, sobie to przeczyta.

Ze zrozumiałych i znanych powodów trwający kryzys zdrowotny jest dziś kwestią arcyważną i najciekawszą na wielu – za przeproszeniem – płaszczyznach. Ciekawi nas szczególnie stosunek mas do nauki. Ów stosunek od dawien dawna był świetnym pretekstem do pisania śmiesznych felietoników, dziś zrobiło się nieco mniej łatwo i śmiesznie, co przyznajemy z żalem, lada tydzień będzie bowiem całkiem nieśmiesznie. Oto wobec tych nieśmiesznych perspektyw głowa państwa polskiego dopiero co powiedziała, że noszenia maseczek można nie lubić, wobec czego – dał prezydent do zrozumienia czekającym na takie sformułowania masom – można ich nie nosić. Można by tu rzucić żarcik, że tylko Anthony Hopkins w niezapomnianej roli Hannibala Lectera lubił występować w maseczce, ale napawa smutkiem, że prezydent Polski widzi rzeczywistość wyłącznie przez pryzmat lubienia czegoś bądź nie. I nie dotyczy to tylko maseczki, ale absolutnie wszystkiego, z każdej dziedziny, w której zabiera głos.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ



PREMIERA – już w sprzedaży!
DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne
bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego”



O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, NADZIEJA, CZAS,
WIARA, ŻYWIÓŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają mistrzynie i mistrzowie.

Więcej na powszech.net/dobrezycie

KORZYSTNA PRZESIADKA

ZOSTAW SWOJE AUTO,
A NA **FIATA TIPO**
DOSTANIESZ SPECJALNY
RABAT DO 8900 ZŁ!



PLANUJESZ WAKACYJNĄ PODRÓŻ?
PRZYJEDŹ NA DEZYNFEKCJĘ SWOJEGO AUTO, A PRZY OKAZJI
ZAŁAP SIĘ NA KORZYSTNĄ PRZESIADKĘ!

**BEZPŁATNIE WYCENIMY I ODKUPIMY TWOJE AUTO,
A NA NOWEGO FIATA TIPO DOSTANIESZ SPECJALNY RABAT
AŻ DO 8900 ZŁ!**

Promocja obowiązuje do 30.09.2020 r. i dotyczy Fiata Tipo Seria 1 z roku produkcji 2020. Decyzję o odkupie podejmuje dealer. Regulamin promocji na stronie: <https://www.fiat.pl/promocje/oferta/tipo-odkup>. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego i ma charakter informacyjny. Zdjęcie auta ma charakter poglądowy, rzeczywisty wygląd i cechy pojazdu mogą się różnić od prezentowanych w reklamie. Fiat Tipo: emisja CO₂ w cyklu mieszanym: 107-154 g/km; zużycie paliwa w cyklu mieszanym: 4,2-7,0 l/100 km. Szczegółowe informacje o odzysku i recyklingu pojazdów, postępie dokonany w tej dziedzinie, konstrukcji pojazdów zgodnej z przepisami o recyklingu i lista punktów zbierania pojazdów wycofanych z eksploatacji dostępne są u dealerów FCA i na stronie: <https://www.fiat.pl/uslugi-posprzedazne/recykling-pojazdow>.

FCA BANK
Polska



[fiat.pl](https://www.fiat.pl)